Thomas De Jean

KSIĘGA
TAJEMNIC
2

Pandora

Amazing World

Thomas De Jean

KSIĘGA TAJEMNIC 2

Pandora
1992

Tłumaczenie

EWA BEKIER
ROBERT FOLTYN
ZOFIA KOENIG
LECH NIEDZIELSKI
ŁUKASZ PUŁASKI
AGNIESZKA TYNECKA

Ilustracje i fotografie pochodzą z następujących źródeł:

J.und P. Fiebag: *Aus den Tiefen des Alls*
J. Bergier: *Le Livre de L'inexplicable*
J. and C. Bord: *Modern Mysteries of the World*
Ch. Berlitz: *The Bermuda Triangle*
R. Cavendish: *Encyclopedia of the Unexplained*
J. Fairley and S. Welfare: *Arthur C. Clarke's Chronicles of the Strange and Mysterious*
V. W. von Hagen: *The Ancient Sun Kingdoms of the Americas*
Hill & Williams: *The Supernatural*
T. Sanderson: *Invisible Residents*

Projekt okładki i stron tytułowych
PIOTR eL

Skład i łamanie komputerowe
CHRISTOPHER DE PET

ISBN 83-900427-0-3
Copyright © by Thomas De Jean, Kopenhaga 1991
All rights reserved.
Copyright © for the Polish Edition by **Pandora Books**, Łódź 1992

CZĘŚĆ 1

TAJEMNICZE ZJAWISKA

Zjawisko widma, choć na pierwszy rzut oka może wydawać się podobne do fatamorgany, jest czymś zupełnie innym i jednocześnie dużo trudniejszym do wytłumaczenia. Naukowcy badający widma często nie są w stanie wytłumaczyć ich prawami fizyki lub chemii. Uciekają się wtedy do świata paranormalnego, co przynosi niekiedy zaskakujące rozwiązania.

W 1961 roku w magazynie Towarzystwa do spraw Zjawisk Parapsychologicznych, Rosalind Heywood, znany autorytet w kręgach naukowych zajmujących się światem paranormalnym, zamieściła zadziwiającą historię, która przydarzyła się państwu Fraser.

Był listopadowy, piątkowy wieczór 1960 roku. Małżeństwo jechało na weekend do Herstmonceux w hrabstwie Sussex (Wielka Brytania). Mniej więcej półtorej godziny jazdy za Londynem zauważyli przepiękny, wiekowy hotelik. Według relacji pani Peggy Fraser, budynek porośnięty był roślinnością, a z okien sączyło się miękkie światło. Wyglądał bardzo zachęcająco. Podjazd dla samochodów wysypany był żwirem. Zadaszony ganek prowadził do głównego wejścia. Po prawej stronie stała przybudówka z neonowym napisem „American Bar".

Państwo Fraser z żalem pojechali dalej, obiecując sobie jednak, że wrócą tu później na małego drinka przed snem.

Tak też zrobili, lecz chociaż kilkakrotnie przejeżdżali szosą w tę i z powrotem, próbując odnaleźć hotelik, ten jakby zapadł się pod ziemię. Nie było po nim śladu.

„Przez pierwszy weekend nie mówiliśmy o niczym innym – wspomina pani Fraser – a mojego męża najbardziej denerwowało to, że to właśnie on padł ofiarą złudzenia. Od tego czasu wielokrotnie jeździliśmy tą drogą do Hastings, gdzie mieszkają moi rodzice, ale hotelu już nigdy nie ujrzeliśmy".

Nietrudno zauważyć, że nie może być tu mowy o zjawisku fatamorgany. Przede wszystkim, jakie mogły być różnice temperatury powietrza w listopadowy wieczór po zachodzie słońca? Z pewnością minimalne. Po drugie, co stanowiłoby „lustro", w którym odbijałby się obraz, i co miałoby być owym obrazem, gdy ani morze, ani niebo nie były w tym miejscu widoczne?

Opisany przypadek nie był pierwszym hotelem-widmem, jaki trafił do kronik zjawisk paranormalnych. W 1933 roku niejacy państwo Pye podróżowali autobusem po Kornwalii. Gdy pojazd zatrzymał się na przystanku tuż przed miastem Boscastle, małżeństwo zauważyło za oknami wspaniały dom gościnny, otoczony przepięknym ogrodem, porośniętym geranium o szkarłatnym kwieciu. Czarne i pomarańczowe parasole rzucały cień na stojące na wolnym powietrzu stoliki. Zanim nasi bohaterowie zdążyli pomyśleć, że byłoby to wspaniałe miejsce na przerwę w podróży, autobus skręcił i zawiózł ich prosto do Boscastle. Później, gdy małżonkowie próbowali odnaleźć hotel, ten najzwyczajniej w świecie zniknął i wszelkie jego poszukiwania zakończyły się fiaskiem.

Zdarzenie państwa Pye wywołało sporo zamieszania wśród badaczy zjawisk parapsychologicznych, gdyż zaliczono je do tak zwanej „zbiorowej halucynacji". Mają one dużą wartość dla naukowców, jako że w ich przypadku można z całą pewnością wykluczyć chwilowe zaburzenia układu nerwowego obserwatora. Trudno sobie wyobrazić, aby chociaż u dwóch osób dokładnie w tym samym czasie nastąpiło identyczne zaburzenie pracy mózgu, którego wynikiem byłaby równie identyczna wizja. Poruszenie wśród naukowców było jednak przedwczesne, gdyż zarówno hotel państwa Pye, jak i Fraser istniały naprawdę.

Jeden z członków Towarzystwa do Spraw Zjawisk Parapsychologicznych zwrócił uwagę na niezwykle dużą ilość szczegółów opisu Fraserów, które przekonały go, że z całą pewnością widzieli oni naprawdę istniejący budynek. Przy pomocy policji hrabstwa Sussex udało się ustalić, iż hotel-widmo jest piętnastowieczną herbaciarnią o nazwie „Waldernheath". Znajdowała się na drodze, którą jechali Fraserowie, i prawie idealnie odpowiadała ich relacji. Była tylko jedna różnica: „Waldernheath" nigdy nie posiadała baru i w związku z tym nie ma żadnego neonu z takim napisem.

Osiemnaście z dwudziestu jeden podanych szczegółów potwierdzało odnalezienie właściwego budynku, który znajdował się dokładnie w miejscu wskazanym przez małżeństwo. Państwo Fraser wykazali się niezwykłą zdolnością obserwacji, zwłaszcza że budynek widzieli tylko raz z jadącego samochodu. Tym bardziej dziwi fakt, że nie udało im się później go rozpoznać.

Po ujawnieniu tego odkrycia ponownie zajęto się sprawą domu gościnnego w okolicy Boscastle. Pani A.M. Scott-Eliott szybko odnalazła właściwy budynek, który, jak w poprzedniej historii, naprawdę istniał. Stał w połowie wzgórza, stromo opadającego do miasteczka. Pani Scott-Eliott udało się nawet ustalić, że w czasie przejazdu państwa Pye rzeczywiście rosło tam czerwone geranium. Znowu można powtórzyć pytanie: dlaczego powróciwszy w to samo miejsce małżeństwo nie rozpoznało budynku?

Przede wszystkim trzeba zauważyć, iż „Melbourne House", bo tak nazywał się dom, był prawie całkowicie schowany za żywopłotem i wysokim murem. W ten sposób był prawie niewidoczny dla przechodnia, szczególnie idącego pod górę z miasteczka, jak później uczynili to państwo Pye. Jadąc autobusem, po pierwsze, siedzieli wyżej, po drugie, zjeżdżali w dół. Trudności w rozwiązaniu zagadki do końca sprawiały stoliki z pomarańczowymi i czarnymi parasolami, których nigdy tam nie było. Takowe posiadała natomiast kawiarnia, znajdująca się nieco niżej. Najwyraźniej państwo Pye połączyli dwa obrazy w jedną całość, tworząc wyimaginowany wizerunek przytulnego zajazdu. Była to jednak zwykła prywatna posiadłość, przekształcona w miejsce noclegowe wyłącznie w wyobraźni turystów. Wobec tak nieprecyzyjnej obserwacji nie dziwi fakt, iż później nie byli w stanie odnaleźć szukanego obiektu.

Dwa opisane zdarzenia stały się „lekcją poglądową" dla wielu badaczy zjawisk paranormalnych. Była to nauczka, że nie należy pochopnie nazywać zjawiska zbiorową halucynacją, gdyż w większości wypadków są to zwykłe błędy w obserwacji, wynikające, na przykład, z nastawienia obserwatorów (jeśli desperacko szukają hotelu, to mogą go widzieć w każdym budynku) albo ze zmiennych warunków obserwacji (dzień/noc, inny kierunek poruszania się, podejście pod górę/zejście w dół itp.). Od tego momentu wszelkie relacje typu – „Widzieliśmy dom, który później zniknął" – przyjmuje się z dużo większą ostrożnością i natychmiast sprawdza ich autentyczność.

Pod koniec lat siedemdziesiątych pojawiła się jednak relacja dużo bardziej intrygująca od innych, która bez wątpienia zasługuje na miano jednej z najniezwyklejszych w historii badań zjawiska widma. Rzecz przytrafiła się dwóm małżeństwom z Dover w październiku 1979 roku, państwu Geoffowi i Paulinie Simpsonom oraz Lenowi i Cyntii Gisby. Cała czwórka jechała samochodem na wakacje do Hiszpanii. Przejeżdżając przez Francję, późnym wieczorem skręcili z autostrady w okolicach Montélimar, aby zapytać o wolne pokoje w pobliskim motelu. Nie było, niestety, ani jednego wolnego łóżka. Poinformowano ich, że być może znajdą nocleg nieco dalej przy tej samej drodze.

Nie opodal stał długi, jednopiętrowy dom z kamienia. Zaparkowali samochód, a Len Gisby wszedł do budynku. Znalazł się w dużym hallu z barem. Po chwili pojawił się właściciel. Okazało się, choć Francuz nie mówił po angielsku, a pan Gisby bardzo słabo po francusku, że mogą przenocować.

Hotel, o ile można było tak nazwać ów budynek, zdumiewał staroświeckim wyglądem i wyposażeniem. Okna sypialni nie były oszklone, ale posiadały podwójne okiennice. Prześcieradła były z grubego perkalu, a rolę poduszek spełniały twarde podgłówki, wypełnione prawdopodobnie sianem. W łazience turyści spostrzegli śmieszny widok: mydło nadziane na metalowy pręt. Nie można było jednak narzekać na czystość i schludność domu. Po późnym obiedzie, składającym się ze steku, kilku jaj, frytek i piwa, zadowoleni udali się na nocny wypoczynek.

Najbardziej niezwykłe rzeczy miały się wydarzyć następnego ranka. Podczas wspólnego śniadania państwa Gisby i Simpson do hotelu weszły trzy osoby: kobieta z małym pieskiem, a po chwili dwóch żandarmów. Cała trójka wyglądała równie staroświecko jak hotel. Kobieta miała na sobie długą suknię i sznurowane trzewiki, żandarmi kamasze, peleryny i wysokie czapki. Len Gisby już wtedy zaczął coś podejrzewać, gdyż policjanci francuscy, których spotykali dzień wcześniej na drodze, byli zupełnie inaczej ubrani.

Największym szokiem okazał się wystawiony rachunek. Za obiad, piwo, nocleg, śniadanie dla czterech osób opiewał na całe... dziewiętnaście franków (cena kilku bagietek). Pomyłka była wykluczona, gdyż miły gospodarz z uporem kilkakrotnie powtarzał tę sumę. Zdumionym Anglikom nie pozostawało nic innego jak podziękować i ruszyć w dalszą drogę.

Zadowoleni z tak niskiej ceny, postanowili oczywiście zatrzymać się w niecodziennym hoteliku również w drodze powrotnej. Zjechali z autostrady w tym samym miejscu, pojechali drogą obok hotelu „Ibis", dokładnie jak tamtego wieczoru, lecz... po tanim noclegu nie było śladu. Nie było też miejsca, na którym poprzednio zaparkowali samochód. Kilkakrotnie objechali okolicę, aż w końcu, nie bardzo wiedząc, co się stało, zaniechali poszukiwań. Musieli zadowolić się hotelem koło Lyonu, gdzie za nocleg zapłacili 247 franków, co na rok 1979 było ceną zupełnie normalną, choć trzynastokrotnie większą od poprzedniego rachunku.

Nie był to bynajmniej koniec niespodzianek. Po kilku tygodniach młodzi Anglicy odebrali zdjęcia wykonane w czasie wypoczynku. Obaj mężowie pamiętali, że tu przed śniadaniem robili zdjęcia żonom wyglądającym z okien sypialni tajemniczego hotelu. Na obu filmach negatywowych nie było ani jednego śladu zdjęć z owego miejsca. Numeracja na perforacji filmów była ciągła, a emulsja nie wykazywała żadnych wad.

Cyntia Gisby uważa, że przede wszystkim brakujące zdjęcia wskazują na niezwykłość przygody. Wcześniej słyszała o kilku przypadkach przemieszczenia się ludzi w czasie i choć sama nie jest tego pewna, wiele czynników wskazuje, że właśnie to spotkało obie pary.

Tajemnicza historia przez kilka lat nie dawała małżeństwom spokoju. W 1983 roku powrócili do Francji, aby jeszcze raz na własną rękę przeprowadzić poszukiwania zaginionego hotelu. Do tego czasu Francuzi, którzy zostali powiadomieni o zaistniałym przypadku, przeczesali teren i znaleźli budynek, który mniej więcej odpowiadał opisowi Anglików. Był posiadłością państwa Judges, właścicieli stacji benzynowej, i chociaż nie był hotelem z prawdziwego zdarzenia, często przyjmowano tu gości na nocleg, a nawet oferowano śniadanie i kolację.

Philippe Despeysses, człowiek, który odkrył ów dom, zabrał ze sobą na „wizję lokalną" naukowca, znającego zdarzenie bezpośrednio od Anglików. Pierwsza próba – rozpoznanie domu na podstawie samego opisu – nie powiodła się. Dopiero po wskazaniu go przez Francuza angielski badacz zaczął bliżej przyglądać się posiadłości. Jednak niewiele szczegółów zgadzało się z opisem obu par małżeńskich. Od razu rzucał się w oczy inny podjazd do budynku, brak miejsca parkingowego i kamiennego muru naprzeciwko niego.

Od właścicieli dowiedziano się, że dom jest stosunkowo nowy, a droga prowadząca do niego została znacznie poszerzona dwa lata wcześniej, co ewentualnie mogłoby tłumaczyć jej inny wygląd.

Wewnętrzny rozkład domu również różnił się od uzyskanego opisu. Przede wszystkim inne było rozmieszczenie kamiennych schodów. Nie znajdowały się po prawej stronie baru, lecz dokładnie pomiędzy dwoma pokojami na piętrze.

Bar, który także znajdował się na dole, budził dalsze wątpliwości, gdyż praktycznie była to zwykła jadalnia. Pod ścianą na grubej mahoniowej desce poustawiano butelki alkoholu i kieliszki. Były to jedyne elementy, które ewentualnie mogłyby sprawiać wrażenie wnętrza baru. Na piętrze znajdowały się sypialnie z wysokimi, staromodnymi łóżkami z drewna. Okna posiadały drewniane okiennice. Łazienka była świeżo odnowiona, lecz w 1979 roku przedstawiała się raczej antycznie, z charakterystycznym, wystającym ze ściany metalowym prętem na mydło.

Pani Judges, zapytana, ile kosztuje nocleg w ich domu, powiedziała, że rachunki są śmiesznie małe, gdyż wraz z mężem wynajmują pokoje głównie dla zdobycia towarzystwa i z chęci pomocy innym. Zapłata nie była więc dla nich najważniejsza i dlatego z reguły opiewała na symboliczne sumy.

Dodało to nieco pewności francuskiemu badaczowi, który dopiero teraz przyprowadził do domu głównych bohaterów, czyli państwa Gisby i Simpson. Pierwsze zetknięcie z posiadłością spowodowało wahanie Anglików. „Jest bardzo podobny" – mówili. Jednakże bliższe oględziny oraz rozmowa z właścicielami upewniła ich, że nie jest to dom, w którym gościli cztery lata wcześniej. Historia tajemniczego hotelu pozostała nie wyjaśniona.

Bardzo trudno będzie dowieść, że poszukiwany budynek rzeczywiście nie istnieje i że zdarzenie nie było wynikiem kolejnej nieprecyzyjnej obserwacji. Jednak gdyby się to udało, historia czworga Anglików stałaby się bezsprzecznie jednym z najdonioślejszych wydarzeń w historii badań świata parapsychologii. Do tej pory obiekty-widma obserwowane były jedynie z pewnej odległości. W tym przypadku obserwatorzy spędzili w tajemniczym domu prawie dwanaście godzin i potrafią podać najdrobniejsze szczegóły jego wyglądu.

Oczywiście bardziej szczegółowe przeszukanie terenu wokół zjazdu z autostrady w okolicach Montélimar mogłoby doprowadzić do odnalezienia poszukiwanego hotelu. Gdyby tak się stało, zdarzenie byłoby przykładem dyslokacji, czyli niemożności odnalezienia wcześniej widzianego miejsca, co z kolei bardzo łatwo może doprowadzić do błędnego zakwalifikowania nie istniejącego obiektu jako widma.

Taka sama dyslokacja może być wytłumaczeniem innej nie wyjaśnionej dotąd zagadki. Jesienią 1926 roku pani Ruth Wynne założyła we własnym domu szkołę dla dzieci z miasteczka Rougham w hrabstwie Suffolk. Pewnego dnia wybrała się wraz z czternastoletnią uczennicą, Audrey Allington, na zwiedzanie okolicznych terenów. Ruszyły w kierunku kościoła, znajdującego się w pobliskiej wiosce Bradfield St. George. Po drodze natrafiły na wysoki mur z zielonkawożółtych cegieł, w którym tkwiła majestatyczna brama z kutego żelaza. Za nią wysokie drzewa rosły wzdłuż alei prowadzącej do ogromnego budynku. Pani Wynne zdołała dostrzec tylko jeden z rogów dachu i część sztukaterii ściany frontowej, w której z całą pewnością widniały gregoriańskie okna.

Było to o tyle dziwne odkrycie, że posiadłość stanowiła jedną z największych w okolicy, ale ani pani Wynne, ani jej uczennica nigdy wcześniej jej nie widziały ani nie słyszały o jej właścicielu.

Wiosną następnego roku obie panie znów wybrały się na spacer tą samą drogą. Gdy doszły do miejsca, gdzie jesienią dokonały niezwykłego odkrycia, otworzyły szeroko oczy i zamarły. Nie było ani muru, ani bramy, ani olbrzymiego domu. Obok drogi znajdował się jedynie rów, za nim pustynia nie zagospodarowanej ziemi i trochę chwastów. Z tamtej scenerii pozostało jedynie kilka wysokich drzew, dominujących teraz wyraźnie nad resztą terenu. Czy to możliwe, aby dom został zburzony w czasie zimy? Nic na to nie wskazywało. Na jego miejscu widniało teraz kilka małych bajorek – wyglądało na to, że były tam od wielu lat.

Pani Wynne pozostała w przekonaniu, iż poprzedniej jesieni widziała prawdziwy dom, mimo że żaden z okolicznych mieszkańców nie słyszał o podobnej budowli. Niefortunna obserwatorka wielokrotnie powracała na tajemnicze miejsce, jednakże zawsze z takim samym rezultatem. Również naukowcy badający teren przez ponad osiemdziesiąt lat nie mieli szczęścia znaleźć domu-widma.

Przy próbie rozwiązania zagadki należy wziąć pod uwagę, o czym wspominała sama bohaterka, że pani Wynne sprowadziła się do Rougham niedługo przed dokonaniem odkrycia. Okolicznych terenów praktycznie w ogóle nie znała. Czy można zatem przypuszczać, że przy próbie ponownego odnalezienia tajemniczego domu po prostu straciła orientację? Ciekawi również to, że po powrocie z owego jesiennego spaceru pani Wynne nie była aż tak zaintrygowana odkryciem, aby od okolicznych mieszkańców dowiedzieć się czegoś więcej o nieznanym sąsiedztwie. Sama przyznała, że zadała jedynie kilka ogólnych pytań i zrażona negatywnymi odpowiedziami, zaniechała dalszego dochodzenia. Dziwi też fakt, że starsza pani zapamiętała, że przez bramę widać było „róg dachu nad sztukaterią ściany frontowej“ i kilka „gregoriańskich okien“, podczas gdy jej uczennica stwierdziła, że nie pamięta żadnych szczegółów domu. Taka rozbieżność opinii może wskazywać, że obie panie nie były w stanie dokładnie dostrzec domu, a więc i zapamiętać jego wyglądu i co za tym idzie, później go odszukać. Niestety, również w wypadku tej relacji należy odnieść się do niej przynajmniej sceptycznie, choć nikt nie ma wątpliwości, że została przekazana w dobrej wierze.

CZY MOŻNA PRZENIEŚĆ SIĘ W PRZESZŁOŚĆ?

Do najczęściej opisywanych i najbardziej niesamowitych wydarzeń świata paranormalnego zalicza się przygodę, która przytrafiła się dwóm Anglikom po południu 10 sierpnia 1901 roku. Rzecz działa się w słynnych ogrodach wersalskich. Na wstępie należy zauważyć, że obie panie były wysoce szanowanymi i poważnymi osobami: Charlotte Moberly kierowała jednym z oksfordzkich college'ów, a Eleanor Jourdain była dyrektorką pewnej podlondyńskiej szkoły dla dziewcząt. Żadna z nich nie miała skłonności do szukania rozgłosu ani tendencji do fantazjowania, więc tym bardziej poważnie należy potraktować ich oświadczenie. Obie niewiasty twierdziły, że przeniosły się w przeszłość.

Było wczesne sobotnie popołudnie. Nasze bohaterki próbowały dotrzeć do Petit Trianon, jednej z najbardziej atrakcyjnych budowli ogrodów. Posługując się mapą, nie potrafiły zorientować się, którędy należy pójść, i zaczęły błądzić wśród krętych ścieżek. To właśnie wtedy, jak twierdziły, przytrafiły im się niezwykłe przygody. Spostrzegły, że osoby, które mijały, mają na sobie osiemnastowieczne stroje. Z okna pewnego budynku wychylała się kobieta i machała białą chusteczką. Tuż koło Angielek przeszło dwóch ważnych oficjeli, ubranych w długie, szarawozielone płaszcze i pierogi. W drzwiach znajdującego się nie opodal budynku stała kobieta z małą dziewczynką, obie ubrane również w stylu minionej epoki. Owinięte były w chusty, a dziewczynka, choć miała zaledwie trzynaście, może czternaście lat, miała na sobie spódnicę długą do kostek, a na głowie obcisły, biały czepek.

Angielki nadal szukały Petit Trianon i dalej szły wybraną drogą. Na progu altany siedział mężczyzna odziany w płaszcz. Jego twarz nosiła ślady ospy, co i tak złowrogiemu wyrazowi dodawało przerażającego wyglądu. Nagle jakby spod ziemi wyrósł młody człowiek i zaczął biec za kobietami krzycząc, że idą w niewłaściwym kierunku. Nosił charakterystyczne buty zapinane na sprzączkę.

Gdy obu paniom udało się dojść do celu, spostrzegły kobietę wykonującą rysunek słynnej budowli. Po chwili z sąsiedniego budynku wyszedł trzaskając drzwiami młody mężczyzna i skierował nasze bohaterki do drzwi wejściowych Petit Trianon.

Historia ta została opublikowana dopiero dziesięć lat później. Wraz z relacjami obu Angielek ukazały się artykuły krytyczne, wsparte badaniami archiwów Wersalu. Czy możliwe, aby kobiety z dwudziestego wieku przeniosły się w przeszłość i były świadkami scen z wieku osiemnastego? Zbieżność szczegółów obu relacji oraz ich zgodność z prawdą historyczną na to wskazują. Udało się nawet ustalić, że obserwowane sceny pochodziły z lat osiemdziesiątych osiemnastego stulecia, tuż przed wybuchem rewolucji, w czasie panowania Marii Antoniny i Ludwika XVI.

Przez dziewięćdziesiąt lat uzbierało się wiele głosów potwierdzających autentyczność doznania i równie dużo opinii przeciwnych. Za prawdziwością zdarzenia świadczą między innymi szczegóły ubioru zaobserwowanych osób. „Dwóch ważnych oficjeli“, których spotkały kobiety, miało na sobie osiemnastowieczne królewskie liberie, zupełnie inne od tych z 1901 roku. Kobieta siedząca obok Petit Trianon została zidentyfikowana jako sama Maria Antonina. Konfrontacji dokonano przy użyciu jednego z jej portretów. Zapiski krawcowej Marii Antoniny potwierdziły, że królowa posiadała taką suknię, jaką nosiła postać widziana w 1901 roku. Zadano sobie dużo trudu, aby zrekonstruować wygląd okolicy w osiemnastym wieku, a wynik pracy był bardzo zbliżony do relacji pań Moberly i Jourdain.

Po kilku miesiącach napłynęły dalsze rewelacje. Pani Jourdain ponownie odwiedziła Wersal i jeszcze raz ujrzała sceny z końca osiemnastego wieku. Zauważyła dwóch przedziwnie ubranych mężczyzn, ładujących drewno na wóz z końskim zaprzęgiem. Gdy przejrzano księgi rachunkowe Wersalu, pani Jourdain była pewna, że widziała wóz wynajęty do przewozu drewna w 1789 roku. W późniejszej relacji powiedziała też, że słyszała nieznaną muzykę „dolatującą gdzieś z okolicy". Później rozpoznała ją jako „główny motyw lekkiej, osiemnastowiecznej opery", z których większość nigdy nie rozbrzmiewała więcej niż raz.

Nie tylko pani Jourdain miała szczęście przenieść się do dawnego Wersalu. Rodzina państwa Cooke, która mieszkała koło pałacu w latach 1907–1908, twierdziła, iż również widziała postaci sprzed ponad wieku, w tym także „rysującą damę" i mężczyznę w pierogu.

Kolejny podobny przypadek zdarzył się w 1928 roku. Ann Lambert, siedemnastoletnia uczennica z Anglii, oraz jej była nauczycielka, pani Clare Burrow, natknęły się na bardzo dziwnie ubranego ogrodnika. Miał na sobie wyświechtaną, brązową kurtkę ze sztruksu, bryczesy sięgające kolan, czarne pończochy, buty zapinane na sprzączkę i kapelusz z wywiniętym do góry rondem. Jego mowa była równie niezwykła. Pani Burrow, znana lingwistka, rozpoznała w niej starą francuszczyznę, którą posługiwano się mniej więcej półtora wieku wcześniej.

Petit Trianon nie zawiódł i tym razem. Na trawniku obok budynku stała sześcio-, może ośmioosobowa grupa ludzi. Niektórzy grali na instrumentach, pewien szykowny pan i elegancka dama pochłonięci byli intymną rozmową. Wszyscy w wytwornych, osiemnastowiecznych strojach.

W tym miejscu nasuwa się pytanie, czy przypadkiem nie przygotowywano się właśnie do widowiska kostiumowego, a wszyscy ci ludzie nie byli po prostu aktorami. Z początku takie myśli przyszły do głowy również pani Burrow. Zaintrygowana zagadką, sama sprawdziła harmonogram występów w Wersalu i tego dnia ponad wszelką wątpliwość żadnego przedstawienia nie było. Przy okazji swych dociekań dokonała jeszcze jednego odkrycia. Brama, którą weszła do ogrodu wraz ze swą uczennicą, od ponad stu lat była na stałe zamknięta.

Jak wynika z przytoczonych wyżej historii, wersalskie podróże w czasie opanowali sami Anglicy. Znalazł się jednak jeden Francuz, Robert Philippe, artysta, nauczyciel i stolarz. Pewnego czerwcowego dnia w latach trzydziestych naszego wieku przechadzał się wraz z rodzicami po ogrodach wersalskich. Nagle z nieznanych przyczyn (może był to zew natury) poczuł silną wolę zatrzymania się pod jednym z drzew. Gdy już się tam znalazł, poczuł, że ktoś stoi obok niego. Niemal w tym samym momencie pojawiła się, wręcz wyrosła jak spod ziemi, nieznana kobieta. Zupełnie nie speszona, śmiało rozpoczęła rozmowę.

– Mieszka pani w Paryżu? – zapytał pan Philippe.

– Nie, w Trianon.

– Myślałem, że Trianon jest nie zamieszkany.

– Tak – padła odpowiedź. – Ale nie dla mnie.

Młody Francuz odwrócił na chwilę wzrok, aby zapalić papierosa, i w tym momencie tajemnicza kobieta zniknęła. Rodzice Roberta, czekający nie opodal, nikogo nie zauważyli i zdumieni przyglądali się, jak syn rozmawia sam ze sobą.

Wszystkie te zdarzenia miały posłużyć jako dalsze dowody prawdziwości relacji dwóch Angielek z 1901 roku. Choć dla jednych ich autentyczność jest bezsporna, sceptyków nie brakuje. Ci z kolei wskazują na bardzo nieprecyzyjne opisy napotkanych osób, które uniemożliwiają ocenę strojów, czy były autentycznymi osiemnastowiecznymi szatami, czy jedynie zwykłymi starymi łachami, ewentualnie po prostu niemodnymi ubraniami. Zastanawia również, dlaczego kobiety nie wymieniły uwag o przeżytym doznaniu zaraz po jego zakończeniu, a dopiero po tygodniu porównały notatki. Dlaczego obie wersje wydarzeń, zanim doszło do publikacji, różniły się znacznie w wielu szczegółach? Dlaczego pierwotne relacje uboższe są od późniejszych o wiele detali?

Próbując dociec, co naprawdę wydarzyło się tego dnia w Wersalu, należy jeszcze pamiętać, że dla naszych bohaterek było to nowe, nieznane miejsce, gdzie zgubiły drogę wśród labiryntu ścieżek i gęstych zarośli. Powietrze tego popołudnia było parne i ciężkie; przedburzowa cisza tworzyła niezwykłą atmosferę. W takich okolicznościach nietrudno wyobraźni wykreować fantastyczne obrazy, nawet gdy włada nią szanowna pani profesor.

Obie Angielki z niezwykłym uporem nie chciały przyjąć do wiadomości żadnego „naturalnego" i logicznego wytłumaczenia zagadki. Chyba najbardziej przekonujące powstało dopiero kilkadziesiąt lat później, a jego autorką jest Joan Evans, przyjaciółka obu pań, historyczka z Oksfordu. W pewnej książce z lat sześćdziesiątych przeczytała ona o ekscentrycznym arystokracie, niejakim Robercie de Montesquieu-Fezenzac. Ów dżentelmen często odwiedzał ogród wersalski, a w dodatku miał obsesję noszenia strojów w stylu wieku osiemnastego. Co więcej, nierzadko urządzał tam przedstawienia kostiumowe z większą ilością osób. Jest więc rzeczą bardzo prawdopodobną, że panie Moberly i Jourdain miały zaszczyt uczestniczyć w próbie przed jednym z występów.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby pani Moberly pomyliła postać historyczną z aktorem, jako że dwa lata później nie odróżniła żywego człowieka od ducha. Zdarzyło się to również we Francji, w paryskim Luwrze. Nasza bohaterka zobaczyła tam przedziwną (w jej wyobrażeniu) postać. Był to mężczyzna w złotym wieńcu na głowie, ubrany w luźną tunikę w jasnym kolorze. Po dłuższych poszukiwaniach wśród portretów postaci historycznych pani Moberly doszła do przekonania, iż ujrzała ducha cesarza rzymskiego, Konstantyna, maszerującego starożytnym duktem, na którym później wzniesiono Luwr. Sprawa ta doczekała się wyjaśnienia dopiero w latach sześćdziesiątych, gdy jedna z niedzielnych gazet ujawniła, że na początku wieku mieszkał w Paryżu artysta, który na znak protestu przeciwko brzydocie obowiązującej mody ubierał się w rzymską tunikę i złoty wieniec.

Wyjaśnienie owego zajścia spowodowało powstanie wątpliwości, czy rysująca kobieta, którą obie kobiety widziały w Wersalu, była Marią Antoniną czy również współcześnie żyjącą kobietą. W 1965 roku w londyńskiej gazecie „The Times" ukazał się list przesłany przez jednego z zainteresowanych sprawą czytelników, który twierdził, że w owym czasie mieszkała w Wersalu pewna kobieta, lubująca się w przebieraniu za Marię Antoninę. Latem zwykła siadać w ogrodzie Petit Trinon i rysować słynny budynek. To, że ujrzano właśnie tę kobietę, wydaje się bardziej prawdopodobne, niż że była to Maria Antonina we własnej osobie.

Czy możliwe jest, aby obie Angielki uległy swoistemu zjawisku snu na jawie? Uważne przestudiowanie ich relacji mogłoby na to wskazywać, gdyż zawierało się w nich szereg odniesień do tajemniczej, nierealnej atmosfery panującej w ogrodzie. „Wszystko było płaskie i bez życia jak w drewnianej płaskorzeźbie. Na przedmiotach nie było żadnej gry świateł i cieni. Statyczność i bezruch górowały nad całym ogrodem".

Inną pożywką dla niecodziennych wizji mogłaby być książka *Lumen*, w owych czasach bestseller traktujący o podróży w czasie. Pozycja ta została wydana w Anglii w 1897 roku, a jej główny bohater przeniósł się w czasy Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Z kolei „Pearson's Magazine" opublikował w 1893 roku artykuł o Marii Antoninie. Nietrudno było zauważyć niezwykłą zbieżność zwrotów felietonu i określeń używanych przez obie Angielki.

Pani Moberly i pani Jourdain od dawna już nie żyją i nigdy nie dowiemy się, czy sceny, które widziały w Wersalu, były jedynie wytworami wyobraźni lub fantazji, czy był to przypadek prawdziwego przeniesienia się w czasie. Dzisiaj nikt się tą sprawą już nie zajmuje, naukowcy i badacze mają pełne ręce roboty z nowymi dowodami istnienia świata paranormalnego.

KOLEJNE ZAGADKI CZASU

Niezwykle ciekawe zdarzenie miało miejsce w północnej części Szkocji w 1955 roku. Pewnego kwietniowego wieczora pani Susannah Stone, mieszkająca koło miejscowości Tain in Ross, odwoziła po kolacji swą przyjaciółkę do domu. Chociaż było już wpół do dziesiątej, niebo nie było jeszcze zupełnie ciemne, co przynajmniej częściowo powodował pożar domu tuż za miastem Alness.

Według opisu pani Stone, nie było nic dziwnego w wyglądzie samego budynku. Pośrodku miał wysokie drzwi i duże, wysokie okna. Sprawiał wrażenie zwykłej posiadłości na farmie w północnej Szkocji. Ogień opanował już cały budynek, języki płomieni wychodziły z wypalonych okien, zakręcały i strzelały w górę. Kobiety znajdowały się około czterystu metrów od pożaru. Gdy podjeżdżały bliżej, nagle wszystko zniknęło.

Zdziwione pojechały dalej. W drodze powrotnej pani Stone złapała gumę, choć chciała jak najszybciej wrócić na miejsce pożaru, aby przyjrzeć się dokładnie terenowi. Gdy dotarła do celu, nie znalazła zupełnie nic. Żadnego śladu ognia, żadnej spalenizny ani popiołu. Dopiero po jakimś czasie zaczęła zdawać sobie sprawę, że przecież nigdy wcześniej nie widziała w tym miejscu żadnego domu. Nie dając za wygraną, następnego dnia postanowiła sprawdzić w straży pożarnej, czy poprzedniego wieczora były w okolicy jakieś pożary. Okazało się, że tak. Paliło się kilka kop siana, lecz było to prawie pięćdziesiąt kilometrów od miejsca „pożaru pani Stone". Ta zagadka pozostała również nie wyjaśniona.

W końcu lat czterdziestych świadkiem równie ciekawego widma był wielebny Alfred Byles, pastor kościoła anglikańskiego w Yealmpton w południowej części hrabstwa Devon. Pewnego sobotniego popołudnia spostrzegł... dziurę w ścieżce na dziedzińcu kościelnym. Z początku myślał, że jest to osunięcie gruntu. Poszedł powiadomić o tym żonę, zajętą pracą wewnątrz kościoła. Gdy duchowny wrócił do swego odkrycia, dziura wyraźnie się powiększyła. Zawołał żonę i razem spoglądali w otchłań. Spuszczony w otwór kamień uderzył w twardą płaszczyznę. Pastor dostrzegł, iż jest to fragment muru lub innej budowli z kamienia.

Wielebny okazał się jednak mało dociekliwym badaczem i wkrótce jego główny problem polegał na tym, aby zabezpieczyć otwór, zanim ktoś w niego wpadnie. Wyruszył więc do miasta w celu zdobycia desek, aby przykryć nimi niebezpieczną otchłań. Na ulicy spotkał pana Knighta, który miał duże doświadczenie w dziedzinie dziur w ziemi z racji wykonywanej profesji – był właścicielem zakładu pogrzebowego. Jednocześnie pełnił funkcję miejscowego budowniczego. Gdy obaj powrócili na dziedziniec, aby obejrzeć dziwne zjawisko, otworu już nie było. Ścieżka biegła jak zawsze przedtem, trawa rosnąca po obu stronach wydawała się być nietknięta. Kolejna tajemnica nie doczekała się rozwiązania.

Czytając powyższe relacje dwóch niezwykłych wydarzeń, czuje się pewien niedosyt. Jego punkt kulminacyjny przypada na moment przejścia od „dziwnego" do „normalnego". W historii z pożarem kobiety znajdowały się od niego zaledwie kilkaset metrów i nie mogły stracić go z oczu podjeżdżając bliżej. W opowieści wyraźnie brakuje momentu przejścia od chwili, gdy ogień był widoczny, do czasu gdy zniknął. Przecież nie było potrzeby podjeżdżać aż pod sam dom (jeśli w ogóle istniał), aby sprawdzić, że się nie pali. Podobnie sytuacja wygląda w przypadku dziury na dziedzińcu kościelnym. Czy żona pastora aż tak bardzo była zajęta pracą, że nie pozostała dłużej przy tajemniczym otworze, który nie wiadomo skąd się wziął? Czy nikt nie widział, jak otchłań się zasklepia?

Na pytania te można oczywiście odpowiedzieć „racjonalnie": pożar zniknął „w mgnieniu oka", a żona pastora musiała odejść od niezwykle intrygującego ją otworu, gdyż zostawiła w kuchni mleko na ogniu. Istnieje jednak hipoteza twierdząca, że zaobserwowane sceny należały do przeszłości lub przyszłości danego terenu. Wydawałoby się to całkiem logiczne, zwłaszcza że „widziane" obiekty w rzeczywistości (tj. teraźniejszości) nie istniały. Jeżeli więc byłaby to prawda, mielibyśmy do czynienia z przejściem człowieka przez barierę czasu. Niestety, nauka końca dwudziestego wieku nie jest w stanie określić, jak zachowałby się człowiek przekraczający taką barierę ani co by się z nim działo. Całkiem możliwe, że jest to chwila (nie wiadomo jak długa), której się nie pamięta i która sprawia, że w ogóle nie jest się świadomym przejścia w inny czas. (O niepostrzegalności tego zjawiska pisze między innymi Joan Forman w książce *The Enigma of Time* – „Zagadka czasu").

Złudzenie optyczne, halucynacja, „dyslokacja" – są to słowa-strzały pochodzące z ogromnego arsenału broni sceptyków i osób nie wierzących w świat zjawisk paranormalnych. Z odpowiedzią na pytanie, czy człowiek potrafi poruszać się w czasie (chociażby nieświadomie), musimy niestety jeszcze zaczekać.

NIEZWYKŁE FATAMORGANY

Zjawisko to nierozerwalnie kojarzy nam się z gorącymi piaskami pustyni, po której resztkami sił porusza się karawana podróżników. Wszyscy bliscy są śmierci, gdy nagle – ku uciesze ludzi i wielbłądów – w oddali jawi się zielona oaza z małym, błękitnym jeziorkiem. Oczywiście wszystko jest tylko złudzeniem. Jak się jednak okazuje, fatamorgana nie jest wyłącznie atrybutem Sahary czy pustyni Gobi.

Opisane niżej zdarzenie miało miejsce w okolicach bieguna północnego. Był 24 czerwca 1906 roku, gdy Robert Peary przez lornetkę przyglądał się arktycznemu horyzontowi. Nagle spostrzegł niewyraźne, białe szczyty dalekiego, nieznanego lądu. Odkrycie zapisał w dzienniku, dzięki któremu znamy szczegóły wyprawy. Cztery dni później Peary znalazł się na Przylądku Hubbarda (na granicy lodów polarnych) i stamtąd ponownie dostrzegł tajemnicze góry. Tym razem jawiły się dużo wyraźniej, w kierunku północno-zachodnim. Radość z odkrycia nowej wyspy, a może kontynentu, rozsadzała pierś podróżnika. W wyobraźni zdobywał dziewicze szczyty, przechadzał się brzegiem nieznanego morza. Choć z drugiej strony wiedział, że nie jemu pierwszemu będzie dane postawić stopę na nowym lądzie; o tej porze roku nie był w stanie tam dotrzeć. Odkryta wyspa otrzymała nazwę „Ziemia Crockera" od nazwiska sponsora wyprawy Peary'ego i trafiła nawet do amerykańskich map hydrograficznych. Nie na długo. W 1914 roku zorganizowano wyprawę celem zbadania nowego lądu. Żeglarze przebyli wyczerpującą, prawie dwustupięćdziesięciokilometrową trasę po zdradzieckim Morzu Arktycznym i nie natrafili na żaden ślad nieznanego terytorium. Było jasne, że „Ziemia Crockera" po prostu nie istnieje. Robert Peary najwyraźniej padł ofiarą fatamorgany, gdyż nie ma najmniejszych podstaw sądzić, aby podróżnik celowo chciał wprowadzić w błąd przyszłe wyprawy arktyczne.

Podobne zdarzenie miało miejsce na drugim, równie zimnym morzu po przeciwnej stronie globu. Był styczeń 1915 roku. Statkiem Sir Ernesta Shackletona dowodził Frank Worsley. Gdy przepływali wzdłuż wybrzeży Antarktydy, kapitan zanotował: „Ląd jawi się jako wspaniałe, bogate miasto, w którym dominacja katedr, wież, świątyń i mineratów jest przytłaczająca". Worsley był jednak na tyle światłym człowiekiem, iż zdawał sobie sprawę, że uległ złudzeniu, i nie organizował kolejnej wyprawy, aby zbadać „nową cywilizację polarną".

Ciekawą przygodę przeżyli fińscy wieśniacy latem 1929 roku. Wszyscy pochodzili z maleńkiej miejscowości Niemiskylia w środkowej części kraju i tego dnia wybrali się do pobliskiego lasu na jagody. W pewnej chwili z niemałym zdziwieniem spostrzegli, jak z tajemniczej szarej masy, unoszącej się nad północno-wschodnim horyzontem, wyłoniło się wspaniałe miasto z wyraźnie zarysowanymi budynkami, placami i ulicami. Dziennikarzom powiedzieli, że „ludzie zachowywali się jak na niedzielnej przechadzce". Wśród Finów znalazł się jeden obieżyświat, który rozpoznał miasto jako Berlin wraz ze słynną aleją Pod Lipami i ZOO.

Przenieśmy się teraz do siedemnastowiecznych Włoch. W pewien sierpniowy dzień ojciec Angelucci spoglądał na wody Cieśniny Messyńskiej, oddzielającej Półwysep Ape-niński od Sycylii. Nagle oczom duchownego ukazało się lśniące miasto, które wyrastało jakby prosto z wody. Nad kolumnami, łukami i akweduktami dominowały świetliste zmaki. Oczywiście po kilku minutach złudzenie rozpłynęło się w powietrzu.

Ostatnie z opisywanych wizji wydarzyło się w Irlandii. Niejaki pan M'Farland stał wraz z grupką przyjaciół na skałce nad brzegiem morza w okolicach miejscowości Portbalintrea.

W pewnej chwili spostrzegli oni małą, okrągławą wysepkę, wynurzającą się z wody w pewnej odległości od lądu. Z początku była zwykłą zieloną łąką, potem pojawiły się na niej inne kolory: czerwony, żółty, niebieski. Zaczęły tworzyć się zarysy drzew, ludzi i pasącego się bydła. Zjawisko trwało około piętnastu minut. Obraz wydawał się niezwykle sielankowy: ludzie spacerowali pomiędzy drzewami, wyspa tonęła w promieniach słońca, wody oceanu łagodnie obmywały kipiący zielenią brzeg. Wszystko było czyste, świeże i powabne. Po kwadransie z bajkowego krajobrazu utworzyła się szara masa, w którą jeden po drugim wtapiały się kolorowe obiekty. Widzenie zniknęło równie tajemniczo, jak się pojawiło.

Wszystkie opisane zjawiska nie są wytworami chorej wyobraźni obserwatorów. Są to złudzenia optyczne, które można wytłumaczyć w zupełnie racjonalny sposób. Miraże tego typu należą raczej do rzadkości, a powstają dzięki niezwykłym warunkom atmosferycznym, które mogą występować na niektórych terenach. Zjawisko fatamorgany po raz pierwszy zostało dokładnie opisane przez ojca Angelucciego, a swą nazwę zawdzięcza Morgan Le Fay, złej siostrze króla Artura, uważanej też za czarownicę, która podobno zwodziła żeglarzy, kierując ich na złe szlaki. Wojownicy średniowiecznych krucjat, przemierzając dziennie kilkadziesiąt kilometrów w upale, ulegali złudzeniu, iż widzą legendarną cytadelę Morgan.

Złudzenia nie zawsze muszą przynosić obrazy „świetlistych zamków“ czy też „lśniących miast“. Dużo bardziej pospolite są prostsze miraże. Kierowcy, na przykład, w upalny dzień mogą „zobaczyć“ na suchej jak pieprz szosie kałuże wody. „Kałuże“ oczywiście też są zupełnie suche, a tworzy je niebo odbijające się na powierzchni rozgrzanego asfaltem powietrza. Takie złudzenie nazywane jest „mirażem dolnym“. „Miraż górny“ powstaje w powietrzu ogrzanym wysoko nad ziemią. Prawdziwa fatamorgana jest zjawiskiem dużo bardziej skomplikowanym i o większym efekcie wizualnym. Powstaje w momencie nastania stosunkowo rzadko występujących dużych różnic temperatury powietrza na małym obszarze. W takim wypadku odbicia nieba lub morza są niejednorodne i niekiedy tworzą fantastyczne obrazy.

CZĘŚĆ 2

LUDZIE I DUCHY

POLTERGEIST

„Sunday Morning Herald“ (Australia) z 25 lutego 1970 roku donosił:

Młode małżeństwo z czteromiesięczną córką porzuciło swój dom na przedmieściach Newcastle, ponieważ uważało, że dom jest nawiedzony przez duchy. Dziewiętnastoletni Michel Cook i jego osiemnastoletnia żona Dianne spędzili ostatnią noc w domu na Hereford Street w Stockton. W poniedziałek schronili się w domu sąsiada i pan Cook cały dzisiejszy dzień spędził na daremnym poszukiwaniu nowego pomieszczenia.

Państwo Cook są święcie przekonani, że dom jest nawiedzony przez ducha mężczyzny. Nie chcą tam wejść, chyba że w towarzystwie policji lub przyjaciół. Każdy, kto z nimi rozmawia, widzi, że ich przerażenie jest autentyczne i zaraźliwe.

Podali nazwiska ośmiorga przyjaciół i sąsiadów, którzy w ciągu ostatnich dwu tygodni słyszeli lub też widzieli tajemnicze wydarzenia w tym wielkim, białym domu z desek układanych na zakładkę. „Wczoraj wieczorem mimochodem zobaczyłem okropną bladą twarz, zaglądającą przez jedno z okien – oświadczył pan Cook. – Oczy były białe z zielonymi źrenicami. Przeraziłem się okropnie, aż łzy nabiegły mi do oczu. To już koniec. Marzyłem, by kupić ten dom, lecz nigdy już nie będą mógł tam żyć".

Wczoraj wieczorem oficer miejscowej policji W. Manning przeszukał mieszkanie i zamknął je na klucz o godzinie 22. Dziś rano łóżka były rozgrzebane, mimo że okna były zamknięte od wewnątrz. Oficer policji i pan Cook przetrząsnęli dziś od nowa dom, obejrzeli sufity, ale nie znaleźli żadnego śladu ewentualnego wtargnięcia tam człowieka. Policja nie potrafiła przedstawić żadnego zwykłego wyjaśnienia.

W drugiej połowie domu mieszkała sześćdziesięciosiedmioletnia właścicielka, która od tygodnia przebywała na leczeniu w szpitalu w Newcastle. Pani Cook oświadczyła, że właścicielka prosiła ją o zaopiekowanie się mieszkaniem w czasie jej nieobecności. „W tym tygodniu czterokrotnie ścieliłam łóżka i co rano były one rozgrzebane. Na początku myśleliśmy, że to włamywacz, ale kiedy zaczęły się dziać te bezsensowne historie, przestraszyliśmy się".

Państwo Cook opowiadali, jak klamka u drzwi poruszała się gwałtownie, chociaż okratowane podwójne drzwi były solidnie zamknięte na klucz. „Moja mała ma dopiero cztery miesiące i nie umie jeszcze sama siadać, lecz w środku nocy zobaczyliśmy, jak podniosła się, jakby ktoś pociągnął ją za ramiona, opowiadała pani Cook. Później dziecko krzyczało i upadło na wznak na łóżeczko. Często jej zabawki zostają przeniesione z jednego miejsca w inne. Poprzedni lokator powiedział mi, że pewnej nocy obudziło go coś, czego nie mógł dostrzec, a co chwyciło go za ramiona i potrząsnęło. Lokator, który mieszkał tu przed nim, obudził się pewnego razu i zobaczył jakąś postać, która mu się przyglądała".

Jenny Zrodlowski, siedemnastoletnia sąsiadka, powiedziała, że widziała wczoraj postać stojącą za szklaną przegrodą, oddzielającą dwa apartamenty, lecz kiedy razem z panem Cookiem przeszukali mieszkanie, nie znaleźli nikogo.

„The Edmonton Jorunal", Edmonton (Kanada) z 16 lutego 1970 roku pisze:

Zdaje się, że jakiś duch, który podnosi ciężkie przedmioty i przesuwa meble, kręcił się w tych dniach po mieszkaniu rodziny z St. Catharines. Dwóch lekarzy, dwóch adwokatów, dwóch księży i grupa policjantów z St. Catharines twierdzą, iż widzieli na żywo jego działania.

Twierdzą, że krzesło, na którym siedział jedenastoletni chłopak, unosiło się kilkakrotnie 15 czy 20 centymetrów nad ziemię, lecz kiedy policjant próbował je podnieść, nie mógł tego dokonać. Łóżka przesunęły się w jeden kąt, a komody przemieszczały się od jednej ściany do drugiej.

Policjant, od dwudziestu czterech lat pracujący w tym mieście, oświadczył w sobotę: „Znam co najmniej pięciu spośród moich kolegów, którzy byli świadkami tych demonstracji i którzy... są przekonani, że dzieje się tu coś nadprzyrodzonego".

Policja twierdzi, że pewna rodzina, której nazwiska nie chce ujawnić, zawezwała fizyków i innych ekspertów, by zbadali sprawę. Ani hydraulicy, ani fachowcy od gazu, elektryczności, służby pożarnicze, ani inspektor zarządu rozbudowy miasta – nie umieli znaleźć logicznego wytłumaczenia.

Rodzina mieszka w apartamencie od przeszło dziesięciu lat, lecz sensacje z meblami dzieją się dopiero przez ostatnie tygodnie.

„The Evening Review" z 14 marca 1970:

Kiedy jedenastoletni chłopiec z pewnej rodziny w St. Catharines stał się obiektem nadprzyrodzonych demonstracji, rodzina przeprowadziła się opuszczając mieszkanie. Policjant z St. Catharines, jeden ze świadków, który widział, jak meble przesuwają się w pomieszczeniu bez żadnego racjonalnego uzasadnienia, powiedział, że Peter Walchuk i jego rodzina wyprowadzili się ze swego mieszkania na Church Street.

Pod koniec stycznia chłopiec stał się katalizatorem dziwnego przemieszczania się różnych sprzętów. Łóżka kołysały się na trzech nogach, obrazy sfruwały ze ścian, a krzesło, na którym siedział chłopiec, przewróciło się. Policjanci, lekarze i księża mówią, że byli świadkami tych wydarzeń. Teraz, gdy chłopczyk wyprowadził się, sprzęty nie stwarzają już problemów. Nie ma żadnych oznak, że niewytłumaczalne przesuwania, które według niektórych świadków miały być spowodowane przez ducha typu *poltergeist*, przeniosły się razem z chłopcem do jego nowego mieszkania.

„The Edmonton Journal", Edmonton (Kanada) z 11 listopada 1969.:

Gillingham, Anglia. – Cichą posiadłością na brzegu morza zawładnęła trwoga. Trzyletnia dziewczynka dostała konwulsji na widok krzyża i jej matka, Christine Adams, sądzi, że dziecko jest w mocy złego ducha. Istota nadnaturalna zawładnęła dziewczynką i całym skromnym domem w tym małym mieście u wybrzeży hrabstwa Kent.

Strach pojawił się już rok temu – światła same zapalały się i gasły, meble przesuwały się, zamknięte drzwi się otwierały, popielniczki spadały ze stołów, a ogrzane pokoje stawały się lodowate. Jednak najbardziej przerażające z tego wszystkiego było przeobrażenie małej Carol. Dziecko prowadziło rozmowy z niewidoczną osobą i posługiwało się słowami, których dziewczynka w jej wieku nie może znać, a czasami sama sobie odpowiadała zmienionym głosem dorosłej osoby.

Kilkakrotnie słyszano czyjś śpiew, który brzmiał jak kołysanka. Razem z mężem ustawili drewniany krzyż w salonie, próbując zwalczyć tę tajemniczą obecność.

„Kiedy Carol zbliżyła się do krzyża, jej twarz skurczyła się – opowiadała dalej pani Adams. – Naprężyła palce jak szpony i wyszczerzyła zęby. To było potworne".

Sąsiadka, Marjorie English, opowiadała, jak któregoś dnia widziała Carol wychylającą się z okna na piętrze. „Pospieszyłam uprzedzić jej matkę, lecz ta powiedziała mi, że to niemożliwe – że okna były zamknięte i przybite gwoździami. Kiedy pan Adams wrócił do domu, sprawdził to i okazało się, że okna nie mogły być otwarte. Zawsze śmiałam się z tego typu historii. Lecz teraz za dużo tego widziałam".

Syn pani English, siedemnastoletni Graham, powiedział, że pewnej nocy razem z matką słyszeli hałasy dochodzące z pokoju Carol i poszli tam, by zobaczyć, co się dzieje. Dziewczynka była „wciśnięta całkowicie w poszewkę jaśka".

„Wydobyliśmy ją i sprowadziliśmy na parter, lecz kiedy kilka minut później znów weszliśmy do pokoju na górze, zastaliśmy łóżeczko zaścielone, a poszewka, która przedtem została rzucona na ziemię, była teraz naciągnięta na jasiek".

Zaprezentowane tu przypadki należą do kategorii zjawisk przypisywanych duchowi nazywanemu: *poltergeist*. Ma to być złośliwy duch, odpowiedzialny za nie wyjaśnione przeloty różnych przedmiotów, stuki, dziwne dźwięki, przesuwanie się mebli i temu podobne efekty. I nie są to wcale, jak mogłoby się wydawać, wypadki rzadkie.

WIDMOWY ATAK NA OHIRO LODGE

Podczas gdy dwustu policjantów i dwudziestu cywilów przetrząsało okolice, pensjonat Ohiro Lodge w Brooklynie (przedmieście Wellington) był przez osiem godzin obrzucany kamieniami, jakby wystrzelonymi z procy.

W ten sposób zaczynał się artykuł w „The Evening Post" z Wellington (Nowa Zelandia) z 25 marca 1963 roku, zapoczątkowujący całą historię, którą można określić jednym słowem: *poltergeist*.

Właściciele hotelu i piętnastu pensjonariuszy spędzili bezsenną noc, pomagając policji w daremnych poszukiwaniach, i za każdym razem, kiedy tylko próbowali wrócić do łóżek, wszystko zaczynało się od nowa! Kamienie uderzały w dom i wybiły wszystkie szyby. Policjanci i mieszkańcy pensjonatu kilka razy zostali trafieni, lecz obyło się bez większych obrażeń. Kamieni było mnóstwo, ale wszystkie trafiały tylko w hotel – nie został zaatakowany żaden inny dom w sąsiedztwie. Pierwszej nocy trzydzieści kamieni i cztery monety pensowe uderzyły w hotel. (Nowozelandzkie pensy to wielkie monety z brązu o niebagatelnej wadze).

Bombardowanie rozpoczęło się o godzinie 21.30 od uderzenia monet, które wybiły szybę w północnym skrzydle werandy. Kiedy kamienie i monety zaczęły padać jak grad, pensjonariusze schronili się do kuchni, położonej na tyłach hotelu.

Policjanci byli kompletnie zdezorientowani. Stało się jasne, że nikt nie mógł rzucać tych pocisków i jednocześnie pozostawać niewidzialnym. Zastanawiano się, czy nie mogła zostać użyta jakaś maszyna, lecz mimo poszukiwań, nigdzie niczego nie znaleziono. Właściciele pensjonatu, państwo R.A. Beatty, oświadczyli: „Nie mamy pojęcia, kto mógł to zrobić i dlaczego". Dodali jeszcze, że wprawdzie kilka ponad stuletnich drzew macrocarpo (dąb wielkoowocowy) zostało wyrwanych ostatnio w ich posiadłości, ale nie sądzą, aby mogło to mieć jakiś związek z tym atakiem.

Następnej nocy bombardowanie rozpętało się znowu! Zaczęło się o 19.30 i ciągnęło się aż do godziny pierwszej. Wszyscy goście byli rozgoryczeni z powodu konieczności spędzenia drugiej bezsennej nocy i zaczęli mówić o wyjeździe.

Po raz kolejny przybyła policja. Wraz z pensjonariuszami i policyjnym psem funkcjonariusze przeszukali wszystko, ale nie znaleźli niczego. Przywieziono i zainstalowano radar policyjny, ale kiedy go tylko włączono, bombardowanie natychmiast ustało. Również i tym razem nikt nie podał przyczyny takiego ataku na hotel i jego lokatorów.

W końcu padło narzucające się słowo: *poltergeist*. Przypomniano sobie wówczas, że w Wellington podobne manifestacje zdarzały się już wcześniej. Czterdzieści lat temu dom położony na wzgórzu Victoria był przedmiotem podobnego ataku – długotrwałego bombardowania kamieniami. W domu tym mieszkała kobieta z synem i mimo poszukiwań, nie znaleziono niczego, co wyjaśniłoby tę agresję.

Następnej nocy (trzeciej) sześćset osób zgromadziło się, by uczestniczyć w tym, co, jak sądzono, powinno się wydarzyć. Anonimowe zapowiedzi przez telefon uprzedzały, że ktoś ma być zabity.

Zaczęło się o 18.30 od uderzenia pierwszego pensa. Tłum klaskał przy każdym uderzeniu monety lub kamienia. Kilka kamieni poddanych badaniom okazało się być pumeksem.

W Wellington nie ma kamieni pumeksowych, znajdują się one natomiast w pewnych wulkanicznych obszarach Nowej Zelandii. Czasami pumeksy są też pozostawiane przez morze na plaży w Wellington. Największy kamień uderzył o godzinie 20 i miał ponad 7,5 centymetra średnicy. Bombardowanie ustało o godzinie 21.30.

Tłum zebrany wokół domu przedłużał widowisko – niektórzy ludzie sami rzucali kamieniami i pensami. Policjanci próbowali zatrzymać ich, lecz tłum był tak gęsty, że okazało się to niemożliwe.

Nie było słychać w ogóle żadnego dźwięku towarzyszącego nadlatywaniu pocisku. Policja nie potrafiła wyjaśnić, jakiego przyrządu do miotania kamieni można by użyć i gdzie mógłby zostać ukryty, skoro cała okolica była przeszukiwana i wszystkie możliwe miejsca ukrycia rzekomej maszyny zostały obstawione. Kamienie po prostu zjawiały się nagle i uderzały w dom.

Ktoś poradził, żeby zawezwać „metalurga“, który by określił miejsce, skąd pochodziły pociski, choć bardziej pożądane byłoby chyba wezwanie proboszcza albo przynajmniej meteorologa.

Trzeciej nocy o godzinie 21.30 tajemnicze zjawisko ostatecznie ustało i już nigdy się nie powtórzyło.

CEL: KLINIKA W ARCACHON

Autorytet głównego świadka dodaje wagi i wiarygodności tej niesamowitej historii. Jej prawdziwość zaświadcza bowiem doktor A. Cuénot należący do sławnej rodziny francuskich biologów.

Miejsce: klinika ortopedyczna w Arcachon. Klinika jest prowadzona od dwudziestu pięciu lat przez doktora Cuénot. Zajmuje się ona głównie leczeniem gruźlicy kości.

Czas wydarzeń: od maja do września 1963 roku.

Zajścia: bombardowanie kliniki kamieniami, kamiennymi łupkami, kawałkami cegieł oraz przedmiotami, których pochodzenia nie udało się określić, co jest nadzwyczaj interesujące.

Ponad trzysta takich przedmiotów wleciało do środka o różnych porach dnia i nocy. Wyglądało to tak, jakby specjalnie celowano w chorych siedzących na wózkach.

Może warto też dodać, a może i nie, że wydarzenia były poprzedzone zapowiedzią (z 19 kwietnia 1963 roku) sprzedaży kliniki, która miała być zamknięta 30 września tegoż roku. Ta właśnie zapowiedź mogła wyzwolić reakcję... no właśnie, czyją?

Kamienie były wymierzone najpierw w młodą kobietę, którą nazwiemy Angelina. Po wypisaniu jej z kliniki i przyjęciu 16 czerwca siedemnastoletniej, powiedzmy, Jacqueline, manifestacje wystąpiły jeszcze wyraźniej.

Kamienie padały najczęściej pionowo; ich lot ukośny należał do rzadkości. Przelatywały przez korony trzech platanów w szpitalnym parku. Miały niewielką szybkość lotu w porównaniu z prędkością, jaką powinny mieć spadając z tej wysokości.

Pewnego dnia doliczono się czterdziestu ośmiu pocisków, co było rekordem dziennym. Miejscowa policja po przyjęciu zażalenia z 28 sierpnia uznała zrazu doktora Cuénota za wariata, czym nie wystawiła sobie najlepszego świadectwa, gdyż wkrótce okazało się, że o żadnym oszustwie nie może być mowy.

Począwszy od 1 września 1963 roku miotanie kamieni ustało. Wystąpiły natomiast inne zjawiska, a szczególnie stukanie w drzwi i uderzenia w bramę. Drzwi nagle same się otwierały, dopóki 4 września nie założono rygli. Doktor Cuénot w dobrej wierze postawił rozsądną hipotezę, że to jakiś maniak uzbrojony w katapultę strzela z odległości. Nigdy jednak nie odkryto żadnego takiego maniaka. Nie sprawdziło się też podejrzenie, że była to komedia zorganizowana przez chorych: ci ostatni znajdowali się w takiej sytuacji, że pilnowali jedni drugich, i komedia zostałaby zdemaskowana. Krok po kroku wykluczano wszystkie normalne wyjaśnienia i wówczas stało się jasne, że wchodzi w grę wyjaśnienie nienormalne. Kamienie, odłamki muru i kawałki cegieł nie pochodziły z murów i budynków kliniki, chociaż ta ostatnia była zniszczona. Musiały więc pochodzić skądinąd.

Zakładając, że to miejsce, na przykład plac budowy, znajduje się w odległości jednego kilometra, trzeba dojść do wniosku, że kawałki cegieł z tego placu unoszą się w powietrze i przemierzają przestrzeń z szybkością raczej niewielką, a następnie docierają do kliniki. Wymaga to pewnej siły skierowanej przeciwko sile grawitacji. Siły tej mógłby dostarczyć układ nerwowy jednego czy kilku chorych lub też, co wydaje się chyba bardziej prawdopodobne – może tu wchodzi w grę posłużenie się energią istniejącą w przyrodzie. Ale jak to się dzieje i na czym polega – tego nie wie nikt.

Kiedyś w sierpniu jeden z chorych, policjant z Paryża, a więc świadek raczej wiarygodny, zauważył, jak jeden z kamieni „odchodził" – opuszczał pokój! Natychmiast pobiegli tam ludzie: pokój był pusty, a drzwi zamknięte na klucz.

Inny ciekawy przypadek: jeden z chorych, na którego spadł grad odłamków, zaczął wrzeszczeć: „Dosyć, czy ten dureń wreszcie przestanie?" I to coś przestało... by za pół godziny zacząć na nowo, ale już bardziej nieśmiało. Trudno uwierzyć, by tak mogło się przejawiać zjawisko czysto przyrodnicze.

Zjawiska tego rodzaju są zbyt częste, żeby można je było wszystkie przypisać dowcipnisiom albo szaleńcom. Zdarzył się wprawdzie wypadek w Bordeaux, gdzie zatrzymano młodego szaleńca, który za pomocą procy obrzucał kamieniami całą dzielnicę; istnieją również liczne przypadki szalonych strzelców, z których kilku zostało zatrzymanych. Lecz w przeważającej ilości wypadków loty kamieni, a często i brył lodu, nie mogą być obecnie naukowo wyjaśnione.

Nie można także mówić o zbiorowych lub indywidualnych halucynacjach, ponieważ kamienie zostają po zakończeniu działań.

Jacqueline, dziewczyna, z której obecnością powiązano owe manifestacje, nie wydawała się przestraszona, a nawet uważała za dość zabawne być przyczyną zjawiska, którego nikt z dorosłych nie potrafił wytłumaczyć.

Co jednakże to wszystko znaczy? Tak jak w słynnym przypadku z Rosenheim (zob. dalej), znajdujemy się w obliczu siły nie znanej nauce, siły, która wydaje się przejawiać tak osobliwą zdolność jak świadomość. Siła ta wydawała się przyłączać do istoty ludzkiej, najpierw do Angeliny i w następnym wydarzeniu w klinice – do Jacqueline. Owa siła wydaje się być wrażliwa na przejawy działania człowieka i nie objawia się już więcej, kiedy człowiek odchodzi.

Następnie przyłącza się do innej osoby. Tak mogłoby zachowywać się zwierzę, na przykład ptak, chociaż nie jest znany przypadek tego rodzaju zachowania się ptaków. Znane są ptaki, które kradną błyszczące przedmioty, jak sroka, ale nie ptaki, które kogoś prześladują. A zresztą ptak zostałby dostrzeżony.

A może – puśćmy wodze fantazji – istnieją wokół nas niewidzialne zwierzęta, „potępione rzeczy", jak to określił Ambroise Bierce?

Hipoteza dość śmiała, ale bez najmniejszej możliwości udowodnienia. W roku 1969 w Carcassonne człowiek będący obiektem obrzucania kamieniami przyszedł z workiem mąki i aparatem fotograficznym. W chwili gdy zaczęły padać kamienie, wyrzucił w powietrze worek z mąką. Zrobił zdjęcie, które zostało zamieszczone we „France-Soir" – pokazuje ono zarys jakiejś postaci. Nie jest ono zbytnio przekonujące. Można uważać, że zdjęcie jest autentyczne i że mąka faktycznie uwidoczniła niewidzialny zwykle przedmiot. Można także sądzić, że jest to oszustwo.

Trudno też uwierzyć w wyjaśnienia spirytystyczne: widma, ektoplazmy itp., ponieważ w laboratoriach te demonstracje okazywały się często szachrajstwem i sztuczkami.

Można przytoczyć hipotezę profesora Nandora Fodora, choć jest ona po prostu humorystyczna: zdaniem tego węgierskiego psychoanalityka, godnego ucznia Freuda, duchy rzucające kamienie są zjawami nie osób, lecz zjawami kompleksów psychicznych człowieka.

Amerykański fizyk, George O. Smith, wynalazca rakiety bliskiego zasięgu i autor powieści science-fiction, wysunął hipotezę, że duchy wystukujące na seansie słowa, zjawiska typu *poltergeist* itp. to przejaw działania sił przyrody, które zwykle całkowicie się neutralizują; jednakże prądy bioelektryczne mózgu mogą zakłócać tę równowagę i produkować efekty, którymi kiedyś nauczymy się kierować, ale które, przynajmniej na razie, są sterowane przez ludzką podświadomość.

Owo teoretyczne wyjaśnienie może być wystarczającą zachętą do przyszłych badań. I należy mieć nadzieję, że badania te dadzą nam do rąk klucz do zagadki duchów stukających, przesuwających meble i rzucających różnymi przedmiotami.

ELEKTRYCZNY DUCH Z ROSENHEIM

W listopadzie 1967 roku w biurze notariusza w Rosenheim w Niemczech lampy jarzeniowe same zaczęły się odśrubowywać od sufitu. Automatyczne bezpieczniki wyłączały się bez powodu. Płyny do fotokopiarek wypłynęły ze zbiorników, a cztery telefony dzwoniły jednocześnie, choć nikogo nie było na linii. Rachunki za telefon były ogromne: zegarynkę wydzwaniano tysiące razy.

Pierwsze badania zjawiska przeprowadziło przedsiębiorstwo elektryczne i firma „Siemens", a także telewizja niemiecka, która w dwu programach przedstawiła okoliczności występowania tego tajemniczego fenomenu.

Później został zaproszony znany badacz zjawisk paranormalnych, Hans Bender. Stwierdził on, że zjawisko ujawniało się zawsze w obecności dziewiętnastoletniej urzędniczki, Anny Marii Sch. Na prośbę dyrektora biura przeprowadziła dochodzenie także policja. Żadnego fałszerstwa nie dało się jej wykryć, ale funkcjonariusze zaobserwowali dziwne rzeczy – na przykład obrócenie się o trzysta dwadzieścia stopni obrazu zawieszonego na ścianie.

Lampy jarzeniowe zostały zastąpione przez lampy żarowe, które wybuchały.

W obecności ekspertów szuflady same się wysuwały, a segregator, ważący sto sześćdziesiąt pięć kilogramów, odsunął się o trzydzieści centymetrów od ściany.

Na skutek tych wszystkich wypadków panna Sch. rozchorowała się i została odesłana do domu, jednakże te same niesamowite zjawiska wystąpiły również w jej mieszkaniu. Zmieniła pracę – zjawiska zaczęły występować w miejscu jej nowego zatrudnienia. Zainstalowane tam przyrządy pomiarowe wykazywały spadek i zniżki energi elektrycznej. Innym objawem było wywoływanie zegarynki pięć razy na minutę, choć nikt nie dotykał tarczy! Impulsy pojawiały się bezpośrednio na linii.

Pewne pomiary dokonane na osobie panny Sch. sugerowały, że zjawiska są być może związane z objawami nadciśnienia. Można sądzić, że nie miała ona żadnych złych zamiarów. Całe jej zachowanie wydaje się świadczyć, że raczej chciała pomóc swemu szefowi, w najwyższym już stopniu zaniepokojonemu. Chociaż otrzymała zwolnienie lekarskie, za każdym razem, kiedy ją proszono, zjawiała się w biurze, co pomogło ustalić dużą współzależność między występowaniem tajemniczej siły a jej obecnością.

Przeprowadzano z nią również testy, które wykryły, że w chwilach napięcia przejawiała zdolności jasnowidzenia. Późniejsze wiadomości o tej młodej dziewczynie były niewesołe. Zjawisko, towarzyszące jej najwidoczniej na ulicy, weszło razem z nią do kręgielni, którą opiekował się narzeczony panny Sch. Cały elektryczny mechanizm zapisu w kręgielni rozregulował się, a przerażony narzeczony zerwał zaręczyny. Dziewczyna popadła w silną nerwicę i ponownie zachorowała. Dramat ten w każdym razie pokazuje, że panna Sch. nie miała żadnego interesu w organizowaniu tych wybryków, nawet jeśli posiadała takie możliwości.

Owe niewytłumaczalne demonstracje, a zwłaszcza łączenie się z automatycznym numerem telefonu, wydają się wymagać emisji sygnałów elektrycznych i wysyłania ich w sieć telefoniczną z dokładnością rzędu milisekundy. Żadna istota ludzka nie posiada normalnie takich możliwości i fakt ten jest w tym całym zdarzeniu bardzo niepokojący.

Badania przeprowadzone przez fizyków F. Kargera i G. Zichy'ego wykazały, że duch z Rosenheim może, jak się wydaje, poruszać wskazówką przyrządu pomiarowego, czego nie daje się wyjaśnić żadnymi normalnymi przyczynami. Zostały zbadane i wyeliminowane następujące potencjalne przyczyny:

1. Zmiany napięcia prądu w sieci (mimo odchyleń aparatu rejestrującego, napięcie pozostawało stałe).
2. Ładunki elektrostatyczne.
3. Zewnętrzne statyczne pole magnetyczne (nie ma sygnału na czujniku pola magnetycznego).
4. Złe połączenie w systemie wzmacniacza elektronicznego, rozregulowany mechanizm w aparacie rejestrującym. (Te same zjawiska występowały przy użyciu drugiego, zupełnie nowego aparatu rejestrującego: hipoteza do odrzucenia).
5. Efekty ultradźwiękowe, infradźwiękowe lub silne wibracje.
6. Oszustwa dokonane w protokołach badawczych.

W zamian za to za pomocą mikrofonu wykryto sygnał o amplitudzie 10 wolt, który, jak się zdaje, powstał na skutek jakiegoś mechanicznego ucisku na kryształ mikrofonu. Nie usłyszano żadnego dźwięku. Mikrofon był pilnowany i nikt się do niego nie zbliżał.

Kiedy zarejestrowano niezwykłe impulsy elektryczne, stwierdzono przesunięcie pisaka aparatu rejestrującego, odpowiadające natężeniu prądu 50 amperów. Żadne natężenie nie zostało wykryte.

Wszystkie wykorzystane typy aparatów rejestrujących były standardowe i doskonale wyregulowane. Obrót obrazu na ścianie zarejestrowany został przez urządzenie typu ampex-video, co jest chyba pierwszym przypadkiem nagrania na video skutków działania czegoś, co zwykło się nazywać duchem.

Znany jest przypadek z Wielkiej Brytanii, kiedy to kamera telewizyjna, za pomocą której próbowano nagrać obraz „ducha" w pewnym nawiedzonym domu, została jakby odepchnięta niewidzialnymi rękami, przemknęła o włos od operatora i spadła na klatkę schodową. Nigdy dotąd podobne próby nie zakończyły się sukcesem. Z tego powodu wydarzenie z Rosenheim można uznać za historyczne.

Jest ono także szczególne z innego powodu. „Elektryczne cuda" występowały bowiem nawet wówczas, gdy prąd w pomieszczeniu pochodził z akumulatorów, a nie z sieci! Wyklucza to raz na zawsze podejrzenie nieregularności dostaw prądu do sieci; zresztą zostałyby one wykryte przez konserwatorów, którzy w trakcie trwania zjawiska pilnowali aparatu rejestrującego, podłączonego do linii zasilającej mieszkanie w prąd. Jedyną ciekawą wiadomością, znajdującą się w raporcie obsługi, jest świadectwo pewnego urzędnika, który widział przechodzącą korytarzem pannę Sch. i stwierdził, że lampy kołysały się za nią.

Badanie lekarskie panny Sch. wykazało niepokojące kurcze mięśniowe typu histerycznego, które ustępowały, kiedy wychodziła z pracowni notariusza.

Rodzice panny Sch. nie zgodzili się na przesłuchanie ani na leczenie hipnotyczne. Może mieli rację, gdyż hipnoza jest metodą obecnie jeszcze nie w pełni poznaną.

Krótko mówiąc, relacje świadków, raporty policyjne, doniesienia konserwatorów w Rosenheim, oświadczenia parapsychologów i fizyków zgadzają się ze sobą: w Rosenheim działo się coś absolutnie niewytłumaczalnego.

Zjawiska te określane terminem *poltergeist* zdają się występować na całym świecie i we wszystkich epokach. Często są zależne od obecności młodych chłopców czy dziewcząt, ale nie zawsze...

Angielski pisarz Arthur Machen, który przeprowadził liczne wywiady dla gazet, natrafił na wiele przypadków, kiedy to podobne zjawiska występowały niezależnie od obecności jakiegoś młodego człowieka. Wśród zebranych dowodów jeden przedstawiał natrętne powtarzanie się dziwnych zjawisk, w londyńskim pensjonacie, gdzie przebywali jedynie ludzie starsi. Inny dowód stanowi świadectwo biskupa anglikańskiego, który widział w Afryce, jak na oczach kilkuset świadków niewielka chatka została dosłownie rozerwana na strzępy i zamieniona w kupę desek i śmieci. W chatce mieszkało stare małżeństwo, a żadnego młodzieńca nie było nawet w pobliżu.

Przypadek z Rosenheim jest unikalny także z powodu jego powiązań z elektrycznością. Możliwe, że podobny związek wykryto by wcześniej, gdyby istniały już przyrządy do pomiarów elektrycznych.

Pliniusz Starszy opisuje przypadek przypominający historię z Rosenheim, choć oczywiście nie dysponował on żadnym przyrządem do obserwacji zjawisk elektrycznych.

Jeśli istnieje nieznana siła emanująca z ludzkiego umysłu i oddziałująca na materię, to może ona również wpływać na elektrony (prąd elektryczny), które przecież także są materialne, także oddziaływać na sprężyny tarczy telefonicznej lub na igłę przyrządu pomiarowego.

Ale pozostają bez odpowiedzi pytania najważniejsze:

Czym jest ta niepojęta siła?

Czy jest ona martwa podobnie jak siła przyciągania lub inne zjawiska przyrody, czy też kryje się za nią coś (ktoś?) rozumnego?

Doprawdy, świat pełen jest nie zgłębionych tajemnic.

NAWIEDZONA PLEBANIA

Ze wszystkich przedstawionych tu przypadków typu *poltergeist* wydarzenia na plebanii w Borley, w hrabstwie Essex w Anglii, są jedynymi, które mają logiczne wytłumaczenie. Na dobrą sprawę, przebieg wydarzeń tak bardzo przypomina fragment powieści kryminalnej, że historię nawiedzonej plebanii można by przypisać Agacie Christie. Wszystkie fakty, łącznie z zaskakującym finałem, są całkowicie prawdziwe.

Zacznijmy od legendy.

W XIII wieku w Borley mieści się opactwo i żeński klasztor. Mnich ucieka z zakonnicą, zostają schwytani i zamordowani. Zakonnica, pojazd, w którym ona i mnich zostali złapani, a także woźnica bez głowy będą się zjawiać jako duchy w ciągu następnych wieków.

W 1863 roku wielebny Henry D.E. Bull buduje na tym miejscu plebanię.

Ten pobożny człowiek mieszka tu ze swą żoną i czternaściorgiem dzieci bez szczególnych trosk. Jego syn zostaje, tak jak ojciec, pastorem. 28 lipca 1900 roku ukazuje się duch zakonnicy, ale poza tym panuje spokój poprzedzający burzę.

2 października 1928 roku plebanię w Borley obejmuje wielebny Eric Smith. W roku 1929 pisze do gazety „Daily Mirror", że wydaje mu się, jakoby plebania została nawiedzona przez duchy. 10 czerwca 1929 roku „Daily Mirror" wysyła na in-

spekcję słynnego łowcę duchów – Harry'ego Price'a. 12 czerwca 1929 roku zaczyna się afera. Ktoś rzuca kamieniami i innymi przedmiotami. Słychać stukania z drugiej strony lustra. Gosposia widzi zjawy. Wielebny Smith przerażony opuszcza Borley. 16 października 1930 roku, po sześciu miesiącach, podczas których probostwo nie ma duszpasterza, władze kościelne mianują nowego pastora, Lionela A. Foystera.

Od tej chwili zaczynają dziać się rzeczy straszne. W ciągu dwu lat zjawiska mnożą się we wszystkich możliwych postaciach. W styczniu 1923 roku odbywają się egzorcyzmy, dosyć zresztą dziwne, bo odprawiane przez grupę spirytystów. Uspokaja to trochę „duchy", ale później wracają one znowu. W maju 1937 roku Harry Price oznajmia, że pragnie wyświetlić całą aferę i że sam zamieszka na plebanii. Sprowadza spirytystów, którzy nawiązują kontakt z zamordowaną zakonnicą, Francuzką Marie Lairre. Wszystko zaczyna się od nowa.

27 lutego 1939 roku o północy rozpętało się piekło. Nawiedzona plebania staje w płomieniach i spala się do gołej ziemi. Świadkowie pożaru widzą dziwne postaci, jakby nie ludzkie, które chodzą pośród płomieni. Po tym spektakularnym finale zdarza się jeszcze kilka znaczących wypadków.

W roku 1943 Price znajduje zakopany w ziemi szkielet ludzki, który rzekomo ma być szkieletem zakonnicy.

W 1944 roku cegła wylatuje z ruin i zmierza w stronę Price'a, którego chybia o włos.

Liczne grupy poszukiwaczy duchów i spirytystów przeszukują przeklęte ruiny.

W 1948 roku Price umiera i w tym samym roku wybucha bomba: to Harry Price, wielki łowca duchów, sam produkował te wszystkie zjawiska!

Przypomina to powieść kryminalną, w której detektyw okazuje się zbrodniarzem. To Harry Price rzucał cegłami, rozgłaszał plotki, hałasował i stukał, a potem, co jest zupełnie prawdopodobne, rozniecił pożar.

Price już od roku 1938 wiedział, że legenda o zakonnicy była bzdurą, skompilowaną na podstawie różnych szesnastowiecznych źródeł. Dostarczono mu na to formalnych dowodów, ale on dopilnował, żeby ich nie opublikowano.

Znaleziono świadków, którzy widzieli, jak stukał albo rzucał cegłami. Koniec legendy.

Najdziwniejszy jest jednak sposób, w jaki legenda powstała. Price oczywiście wszystko rozpoczął, jednakże ludzie bardzo chcieli w to wierzyć i ich przemożne pragnienia mają w powstaniu legendy swój udział. W ciągu lat bezstronni świadkowie donosili o obecności licznych szczurów na plebanii w Borley. Nie zwrócono na to uwagi. Jeden z tych sceptycznych świadków, szofer autobusu wiozącego spirytystów, spłatał świetnego psikusa: kiedy próbowano wywołać ducha wielebnego Bulla, ukrył się w ciemnościach i zawołał gardłowym głosem: „Wielebny Bull umarł, a wy jesteście stuknięci". Incydent ten wydarzył się dużo później, kiedy legenda upadła, lecz dopiero kiążka Erica Dingwalla, Kathleen Goldney i Trevora Halla *Nawiedzona przez duchy plebania w Borley* (1958) ostatecznie ujawniła całą prawdę.

W przypadku Borley chodzi jednocześnie o legendę, którą wszyscy upiększali, jak i o człowieka bez skrupułów, który odniósł z tego korzyści – ukazało się wiele książek, reportaży, audycji telewizyjnych i radiowych. Jest też możliwe, że już przed Price'em różni blagierzy urządzali hece w Borley. Przebadano skrupulatnie przygody małych grup spirytystów i łowców duchów, które buszowały po Borley. W wielu wypadkach doskonale widać, jak rodzi się i rozprzestrzenia sugestia, co z punktu widzenia badań parapsychologicznych ma ogromne znaczenie.

W aferze z Borley interesujący jest także fakt, jak łatwo można znaleźć ludzi gotowych uwierzyć w byle co. Wierzono, że marynarka pozostawiona przez robotnika, który przyszedł sprzątać mieszkanie, zjawiła się w Borley w sposób paranormalny. Czterech świadków widziało, jak się materializowała! Po tym wszystkim trudno się dziwić, że widziano zjawy spacerujące wśród płomieni w czasie pożaru...

Dziennik „Suffolk Free Press" podaje, że w roku 1942 zobaczono w Borley w biały dzień legendarny pojazd-widmo, w komplecie, wraz z pasażerami w strojach z tamtej epoki, jak składali wizyty na plebanii, a potem wzlatywali w przestworza i rozpadali się na kawałki, zaś poszczególne części ciała, koła itd. rozlatywały się na wszystkie strony.

Pojawiają się również doniesienia o kobiecie, która zwiedzała Borley i której zerwano obrączkę z palca. Ludzie słyszeli, jak dyliżans-widmo przejeżdżał aleją. Ponad trzydzieści osób słyszało dźwięki niewidocznych dzwonków w korytarzu, którego nie ma na planie plebanii.

27 kwietnia 1941 roku badacz spirytysta M. Croft zgubił ołówek w Borley. Jego zdaniem, ten ołówek został porwany do innego świata. Inny badacz w roku 1947 zostawił swój nieprzemakalny płaszcz przy murze cmentarnym: w czasie jego nieobecności ktoś usiadł na nim. Zjawiało się też wielu świadków, którzy nie wiadomo co widzieli, ponieważ nie chcieli opowiadać bez opłaty, zresztą skromnej.

Mówi się też o grupie studentów, którzy zorganizowali na trawniku ukazanie się ducha – zostało to opisane szczegółowo w doniesieniach spirytystycznych. Zjawił się też pies-widmo, ale został zastrzelony przez mieszkańców w roku 1952. Po przeszukaniu piwnic znaleziono akumulatory, przewody, lampy elektryczne i wszystko, czego potrzeba, do urządzenia świetlnych seansów z duchami. No, chyba że akumulatory również pochodzą z tamtego świata.

Na koniec jeszcze kilka szczegółów dotyczących cegieł fruwających w ruinach. Opowiada naoczny świadek: „Jak już mówiłem podczas naszego pierwszego spotkania jakiś rok temu, mogłem zaobserwować osobiście najbardziej cyniczne oszustwo, dokonane przez zmarłego Harry'ego Price'a. W kwietniu 1944 roku zawiózł mnie i M. Davida Schermana do Borley. Za murem pracował robotnik – widzieliśmy go wszyscy (także Price), gdy przechodziliśmy koło domu. Kiedy robiliśmy zdjęcia, nie było absolutnie żadnej wątpliwości, że latające cegły były wyrzucane przez tego robotnika.

Historia ta powinna być nauką, że w dziedzinie parapsychologii konieczna jest jak najdalej idąca nieufność – trzeba mieć się na baczności przed wszystkim i wszystkimi. Nie znaczy to jednakże, że wszystkie wypadki manifestacji typu *poltergeist* są szachrajstwami. Tak nie jest – takie przypadki jak Arcachon i Rosenheim są z całą pewnością autentyczne.

CZĘŚĆ 3

NIEZWYKŁE ODKRYCIA

ZAGADKA KOPCÓW MIMA

H.P. Lovecraft i inni autorzy powieści fantastycznych stworzyli legendę o sztucznych wzgórzach w Ameryce, uważanych za miejsca przejścia do innego, nieznanego świata. Abstrahując od powieściopisarstwa, trzeba zauważyć, że podobne wzgórza znajdują się w Rosji, Mongolii i Chinach.

Czym są i skąd się wzięły? Czy są zjawiskiem naturalnym czy może wytworem jakiejś zaginionej cywilizacji?

Niedaleko południowego cypla Puget Sound w stanie Waszyngton na przestrzeni kilkudziesięciu hektarów ciągną się pasma dziwnych kopców. Postawiono wiele hipotez mających wyjaśnić ich pochodzenie, na przykład:

1. były wzniesione przez ludzi prehistoryczych;
2. zostały utworzone przez olbrzymie ryby, w okresie kiedy prerie były zalane wodą;
3. są to ogromne mrowiska;
4. zostały usypane przez wiewiórkowate gryzonie ryjące, zwane gofferami.

Jeśli spojrzy się z góry z dobrego punktu obserwacyjnego na skraju jednej z prerii, zobaczy się tysiące idealnie symetrycznych pagórków, które wyłaniają się z ziemi jak potężne, w połowie zakopane bryły.

W niektórych miejscach znajduje się około dziesięciu tysięcy tych wzgórz na kilometrze kwadratowym terenu. Największe z nich sięgają od 2 do 2,5 metra wysokości, a najmniejsze są tylko ledwie widocznymi garbami. Mogą mieć od 1,8 do 20 metrów średnicy. Im są większe, tym bardziej wydają się symetryczne. Wszystkie wzgórza w danym sektorze mają w przybliżeniu jednakową wysokość.

Kopce te zaczęły budzić niepokój, odkąd amerykańska ekspedycja naukowa pod dowództwem kapitana fregaty Charlesa Wilkesa weszła do Puget Sound w roku 1841. Sądząc, że są to starożytne kurhany nagrobne, Wilkes kazał rozkopać jeden z nich. Nie znaleziono tam ani jednej kości. Polecił więc rozkopać dwa inne, lecz również tam nie znalazł żadnych szkieletów.

Od tego czasu otwarto setki kopców, lecz nikt nie znalazł najmniejszego śladu, wskazującego, że w ich budowie miały udział jakieś ludzkie istoty.

Obszar, na którym wznoszą się pagórki sprawiające najsilniejsze wrażenie, został nazwany Prerią Mima, skąd też pochodzi nazwa wzgórz. Słowo „mima" wywodzi się z języka chinook, a jego znaczenie wiąże się ze śmiercią i grzebaniem zmarłych. Jednakże nie znamy żadnej legendy indiańskiej, która mogłaby wyjaśnić pochodzenie tych kopców.

Jedno z najmniej wiarygodnych wyjaśnień przedstawił pewien wybitny skądinąd uczony, Louis Agassiz. Po obejrzeniu rysunków wzgórz i wysłuchaniu opowieści o nich oświadczył, że są to prawdopodobnie gniazda ryb (z rodzaju *Moxostoma*), zbudowane w okresie kiedy stepy znajdowały się pod wodą. Pomijając wszystkie inne wątpliwości, trzeba stwierdzić, że prerie stanu Waszyngton nigdy nie były zalane słodką wodą, zaś pod słoną wodą polodowcową znajdowały się przez bardzo krótki okres.

Przez pewien czas popularność zyskała teoria, według której kopce były mrowiskami. Wielka czarna mrówka, *Formica sanguinea*, żyje w rzadko rozsianych skupiskach drzew iglastych w pobliżu prerii. Gniazda, które buduje, zrobione są z sosnowych igieł lub gałązek i często osiągają 1,5 metra wysokości. Nietrudno wyobrazić sobie jakiś starożytny gatunek mrówki budującej ze żwiru i mułu jeszcze większe kopce. Teoria ta upadła jednak, kiedy we wnętrzu wielu pagórków Mima znaleziono kamienie i duże głazy.

Powstała też teoria, która przypisuje pofałdowania terenu działalności gryzoni gofferowatych. Wysunął ją najpierw w roku 1941 Walter W. Dalquist podczas sporządzania wykazu ssaków z południowych terenów stanu Waszyngton. Następnie próbował uzasadnić tę teorię wraz z Victorem Shefferem, biologiem z Amerykańskiego Instytutu d/s Rybołówstwa i Badań Fauny.

Uczeni ci twierdzą, że wszędzie tam, gdzie znajdują się wzgórza, żyją (lub żyły) wiewiórkopodobne gryzonie. Usiłują wykazać, że kiedy cofnęła się warstwa lodu z lodowca Vashon, a na terenach uwolnionych spod niego rozwinęła się roślinność, zaczęły się tam osiedlać przybyłe z południa gryzonie z rodziny *Geomyidae*. Wreszcie na południowym krańcu Puget Sound trafiły na młody iglasty las, który rozrastał się, w miarę jak cofał się lodowiec. Wiewiórkowate gryzonie nie lubią żyć w cieniu lasu, więc zamiast posuwać się w głąb, wydrążyły nory na preriach.

Dalquist i Sheffer uważają, że każde wzgórze stanowi „terytorium" jednej rodziny gryzoni i że powstał tam łańcuch korytarzy, które mogłyby posłużyć do prowadzenia badań. „Korzeniami" wzgórz były także opuszczone korytarze, które wypełnił muł.

Przeciwnicy tej teorii podkreślają, że nie wszystkie wzgórza mają te muliste „korzenie". Pewien geolog napisał ponadto: „W wyniku szczegółowych poszukiwań wydobyto z wnętrza wzgórz 50 wielkich kamieni. Średnica tych kamieni waha się od 5 do 50 centymetrów, a wiele z nich znaleziono bardzo wysoko nad podstawą kopca".

Powstaje więc pytanie: Jak mały gryzoń mógł dopchać kamień wielkości piłki nożnej aż na szczyt swojego gniazda?

Niektórzy ludzie twierdzą, że wzgórza powiększają się. Rolnicy z tych okolic mówią o tym od kilkudziesięciu lat...

Tajemnica kopców z Prerii Mima czeka na wyjaśnienie.

TAJEMNICZE CYLINDRY Z NOWEJ KALEDONII

Jedną z najbardziej niepokojących i intrygujących tajemnic, na którą natrafili archeologowie w ostatnich latach, było odkrycie na Nowej Kaledonii i na sąsiedniej wyspie – Îles des Pins – niezwykłych cylindrów z zaprawy wapiennej. Wydaje się, że nie są one pochodzenia naturalnego, a ich przypuszczalny wiek jest o wiele starszy od wszystkich poznanych dotąd cementów, wytwarzanych przez człowieka.

Cylindry znalezione przez M. Chevaliera z Muzeum Nowej Kaledonii w Nouméa (stolica wyspy) mają wymiary od 1 do 1,75 metra średnicy na 1 do 2,5 metra wysokości. Zrobione są z bardzo twardej i jednorodnej zaprawy wapiennej, zawierającej kawałki muszli, których datowanie metodą węgla radioaktywnego wynosi od 5120 do 10950 roku przed naszą erą. Nawet data najbliższa naszym czasom jest wcześniejsza o jakieś 3 tysiące lat od epoki, w której – jak się ocenia – człowiek dotarł do południowo-zachodniego Pacyfiku, przybywając z obszaru Indonezji. (Wiek zapraw wapiennych z czasów starożytnych kultur śródziemnomorskich określa się co najwyżej na kilkaset lat przed naszą erą).

Na powierzchni cylindrów znajdują się małe kawałki krzemu i żelaza, które wyglądają, jakby dostały się do zaprawy w momencie jej twardnienia. Jest to ciekawe odkrycie, zwłaszcza jeśli się porówna kamyki na wierzchu cylindrów z kopcami i pagórkami piasku i żwiru, w których cylindry zostały znalezione i które są równie dziwne jak same cylindry.

Istnieje 400 kopców na Îles des Pins. 17 zostało znalezionych w Nowej Kaledonii, blisko miejscowości Païta. Na Îles des Pins kopce są stosem piasku i żwiru o wysokiej zawartości tlenku żelaza, te z Païty usypane są z piasku zawierającego krzem. W dwóch miejscach kurhany mają średnio od 2,4 do 2,75 metra wysokości i 90 metrów średnicy. Są ogołocone i bez specjalnych cech charakterystycznych, prawie nie istnieje roślinność zapuszczająca korzenie w piaskach, z których są utworzone.

Jak dotąd tylko w czterech kopcach były prowadzone wykopaliska. Mimo szczegółowych poszukiwań, nie znaleziono tam żadnych kości lub wykonanych przez człowieka przedmiotów ani też węgla drzewnego. Jednakże trzy kopce zawierały każdy po jednym cylindrze, a w czwartym znajdowały się dwa, jeden obok drugiego. W każdym przypadku cylindry były umieszczone pionowo w środku kopców podobnych do gigantycznych kretowisk.

M. Chevalier przypuszczał, że zaprawa została wlana do wąskich studni, wydrążonych na szczytach kopców, i tam stopniowo twardniała. Ziarna piasku i żwiru tworzące kopce mogły swobodnie wnikać w zaprawę, co tłumaczyłoby ich obecność na powierzchni cylindrów.

Pochodzenie naturalne wydaje się wykluczone... a zarazem nie znaleziono żadnego dowodu działania ludzkiego ani przy tworzeniu cylindrów, ani usypywaniu kopców, które także są zupełnie niewytłumaczalne jako naturalne zjawisko. Bardzo ciekawe...

Można sobie wyobrazić, że jakiś statek przybywający z innego świata zatrzymał się w powietrzu... i wysłał tu kilkuset badaczy w małych oddzielnych pojazdach, przypominających nasze pojazdy księżycowe. Kiedy pojazdy zwiadowcze musiały wrócić do statku-matki, potrzebne im były małe wieżyczki startowe, dlatego mieszali i wylewali zaprawę wapienną na szczytach kopców piasku i żwiru, które w tym celu usypywali w stos...

Ale to tylko fantazja. Pomijając próby rozwiązania zagadki kopców za pomocą wyłącznie wyobraźni, istnieje duża szansa, że owe kopce i cementowe cylindry zostaną zignorowane i zapomniane – skoro nie widać dla nich żadnego wyjaśnienia. Zostaną zapomniane albo zburzone – jeśli zostanie uruchomiona w tych stronach budowa jakiegoś lotniska czy inne wielkie przedsięwzięcie. Nowa Kaledonia stała się bazą dla niezwykle ważnych dla Ameryki zgrupowań sił wojskowych w czasie wojny na Pacyfiku i jej strategiczne położenie czyni bardzo realną możliwość rozbudowy na jej terenach infrastruktury lotniczej, cywilnej czy wojskowej.

Można wskazać na pewne podobieństwo cylindrów z Nowej Kaledonii do dziwnych, zwieńczonych „czapkami" słupów kamiennych z wyspy Tinian na Marianach, odległych o wiele tysięcy kilometrów na północny zachód. W kwietniu 1819 roku francuska wyprawa naukowa pod dowództwem kapitana Louis-Claude'a de Freycinet przybyła na fregacie „Urania" do Tinian, gdzie zwiedziła osobliwe miejsce: pośrodku bujnej roślinności, krzewiącej się dookoła, znajdował się obszar pozbawiony zieleni, na którym stał podwójny rząd kamiennych, słupów. Każdy słup o wysokości około 4,5 metra zwieńczony był ogromnym, wygładzonym przez wodę półkolistym kamieniem, który gładkim bokiem opierał się na jego szczycie. O ile same słupy były zachowane w dobrym stanie, a ich boki i kwadratowe narożniki ledwie dotknięte erozją, o tyle wielkie otoczaki, zrobione prawdopodobnie z bardziej kruchego kamienia – chociaż relacja M. de Freycineta nie dostarcza na ten temat bliższych szczegółów – kruszały tu i ówdzie.

Uczeni francuscy zadawali sobie pytanie, czy słupy podtrzymywały niegdyś dach lub taras, lecz nie mogli znaleźć najmniejszego śladu czegoś podobnego. Najbardziej intrygowała ich jałowość gleby i rzadkość występowania trawy dookoła słupów, ponieważ na ile mogli to stwierdzić, gleba była tutaj równie żyzna jak ta, na której rozrastała się bujnie dżungla kilka kilometrów wokół. Dlaczego nie było roślinności na terenie budowli?

Tinian przechodziła kolejno pod panowanie hiszpańskie, niemieckie i japońskie aż do przybycia marynarki amerykańskiej w 1944 roku i żadna z tych władz nie zachęciła do prowadzenia tam badań naukowych. Nie można też natrafić na żadne opisy czy informacje, dotyczące tych dziwnych kamiennych słupów. Można przypuszczać, iż jeśli nawet jeszcze istniały w 1944 roku, to zostały zburzone w trakcie ostrych walk, które nastąpiły po wyokrętowaniu amerykańskich załóg, zanim wyspa została zdobyta i przekształcona w bazę, z której latające fortece B 29 prowadziły swe niszczycielskie ataki na Japonię.

TAJEMNICZE KOPALNIE MIEDZI

Świat starożytny poprzecinany był drogami, którymi transportowano metale. Najbardziej znana była droga, którą szły transporty cyny z brytyjskiej Kornwalii aż na Kretę. Mniej znana była droga, którą przewożono złoto z kopalni króla Salomona, gdzieś w Afryce, aż do Jerozolimy. Istniały też stałe trasy przewozu obsydianu z Armenii do Hiszpanii oraz rud uranu z Kornwalii na Kretę. Nie mamy najmniejszego pojęcia, co Kreteńczycy mogliby robić z tlenkiem uranu, i trudno byłoby odpowiedzieć na to pytanie. Równie dziwnie przedstawia się, nieznana szerszej publiczności, sprawa tajemniczych kopalni miedzi, którymi teraz się zajmiemy.

Trudno się zgodzić z twierdzeniem, jakoby zagadkowe kopalnie miedzi w rejonie Jeziora Górnego w Kanadzie – bo o nich mowa – miały być dziełem tubylców amerykańskich. Mimo niezwykłego rozkwitu tych kopalni, nie znaleziono niczego, co wskazywałoby, że na terenach tych mieszkała kiedykolwiek ludność osiadła... Nie znaleziono żadnych śladów świadczących o mieszkańcach, żadnego szkieletu ani kości. „Indianie nie mają żadnej tradycji, która wiązałaby ich z tymi kopalniami" („American Antiquarian", nr 25).

Najwyraźniej ktoś pływał do Ameryki, aby wydobywać tam miedź!

Czyżby żeglarze greccy pięć lub sześć tysięcy lat temu przepływali Atlantyk i wracali szlakiem Wielkich Jezior po wydobyciu miedzi w północnym Michigan? Doktor Eiler L. Henrickson, profesor geologii w Carleton College (Northfield w Minnesocie) twierdzi, iż nie byłby zbytnio zaskoczony, gdyby się okazało, że pewna część starogreckiej miedzi pochodzi z okolic Jeziora Górnego. Istnieje wiele powodów, by przypuszczać, że pięć czy sześć tysięcy lat temu jakaś wysoko rozwinięta cywilizacja wydobywała stamtąd miedź. Obszary te nazywane są Michigan Copper Country (krainą miedzi) i ciągną się od półwyspu Keweenaw do Isle Royale. Przez wiele lat, jeszcze w ostatnich czasach, tereny Keweenaw dostarczały światu olbrzymich ilości tego metalu.

Szyby prymitywnych kopalni zaobserwowano na tych terenach już w niedługim czasie po przybyciu tu pierwszych białych ludzi. Znajduje się tam co najmniej pięć tysięcy tych szybów! Niektóre są niewielkie. Długość największych waha się od 10 do 12 metrów, ich głębokość wynosi nieco mniej niż 3 metry.

Ta „kraina miedzi" jest wyjątkowa z tego względu, że jest to jedyne miejsce na świecie, gdzie znajdują się olbrzymie złoża miedzi rodzimej – to znaczy bryłek i dużych kawałków czystego metalu. Zazwyczaj miedź jest zmieszana z innymi składnikami i minerał musi być oczyszczony, aby wydzielić zeń metal. Dla człowieka pierwotnego miedź rodzima była chyba najbardziej pożądana. Nie potrzeba jej było oczyszczać i dawała się przekształcać, za pomocą młotka, na narzędzia i broń albo też po połączeniu z cyną tworzyła brąz.

Ilość miedzi wydobytej z około pięciu tysięcy szybów kopalnianych waha się między 45 tysięcy a 225 tysięcy ton. Jeśli mówi się o mniejszej ilości, wynika to z ostrożnie stawianego przypuszczenia, iż praca prymitywnego górnika była mało wydajna. Ilość największa, przeciwnie, dowodzi wniosku, iż żaden prymitywny górnik nie traciłby czasu ani energii potrzebnej do takiej pracy, gdyby nie był pewien, że teren obfituje w bogate złoża minerałów o wysokim procencie zawartości miedzi.

Lecz i to najniższe wydobycie miedzi, jak twierdzi Henrickson, przerastało możliwości wchłonięcia surowca przez rynek pierwotnej Ameryki. Znaleziono wyroby z miedzi szeroko rozrzucone po obszarach Ameryki Północnej, a także w niektórych miejscowościach Ameryki Środkowej i Południowej, jednak nawet owe 45 tysięcy ton stanowiło ilość przewyższającą zapotrzebowanie obu Ameryk na ten metal.

Wydobywanie tak wielkiej ilości miedzi świadczy jednocześnie, że ktokolwiek tego dokonywał, należał do społeczności wysoko zorganizowanej, z dużym zapleczem siły roboczej – prawdopodobnie niewolników – i to efektywnie wykorzystanej. Henrickson stawia hipotezę, jakoby ludzie, którzy wydobywali miedź, nie byli tubylcami północnoamerykańskimi i jakoby przybyli z innych stron. Przyznaje on, że ta hipoteza nie ma żadnych podstaw, na których mogłaby się oprzeć, lecz jeśli owa praca wydobywcza była wykonana przez jedną z cywilizacji amerykańskich, powinno się uznać, iż został znaleziony dowód istnienia cywilizacji o wiele bardziej rozwiniętej, niż można było przypuszczać.

Fakt, że nie odkryto grobów i nie znaleziono śladów zamieszkiwania tam ludzi, umacnia pogląd, iż miedzi nie wydobywali mieszkańcy okolic Jeziora Górnego.

Na wydobycie choćby 45 tysięcy ton potrzeba by było albo bardzo wielu robotników pracujących w okresie względnie krótkim, albo mniej, ale wykonujących pracę przez bardzo długi czas. W jednym i drugim przypadku powinny znajdować się tam groby – chyba że zmarli byli wywożeni gdzie indziej, a także musiałyby zostać jakieś ślady stałego zamieszkiwania tam ludzi – jeśli miało ono miejsce.

Określenie wieku epoki, w której dokonano wydobycia miedzi, na pięć czy sześć tysięcy lat wydaje się trafne. Liczby te pochodzą z badania (metodą C 14) węgla drzewnego znalezionego w szybach pod grubymi zwałami miedzi, które zostały wyrzucone na zbocze wyrobiska i pod którymi rozpalano ogień, żeby je zmiękczył, by móc rozbić je na kawałki.

Skoro to nie amerykańscy tubylcy wydobywali miedź – to KTO? Pytanie to pozostaje bez odpowiedzi.

Najbardziej prawdopodobna wydawałaby się sugestia, że byli to Grecy. Grecja była krajem ubogim w bogactwa mineralne. Miała bardzo mało miedzi i nie posiadała wcale cyny. Cyna używana do wyrobu europejskiego brązu pochodziła, jak wiemy, przede wszystkim z Kornwalii. Aby jednak stać się potęgą światową, starożytna Grecja potrzebowała miedzi.

Skąd wzięła miedź? Cypr posiada jej złoża, ale w postaci minerałów. Trzeba oczyszczać je, żeby wydzielić z nich metal. Równie dobrze miedź mogła zostać dostarczona z Afryki Północnej, lecz brak jakiejkolwiek wskazówki, że tak właśnie było. Tak więc ludzie z epoki brązu albo posiadali lepszą technologię, niż kiedykolwiek przypuszczano, albo też mieli dostęp do miedzi rodzimej. A jedynym znanym miejscem, skąd można czerpać wielkie jej ilości, są okolice Jeziora Górnego.

Miedź rodzima jest tak czysta, że niejednokrotnie w jej skład wchodzi jedynie 1/10 000 część innych pierwiastków, stanowiących zanieczyszczenia. I właśnie te zanieczyszczenia stanowią decydujący czynnik przy identyfikacji pochodzenia miedzi. Ponadto, biorąc pod uwagę fakt, że każda bryła miedzi znajdowała się pierwotnie w innym otoczeniu chemicznym, można stwierdzić, iż każde złoże ma swoje własne cechy, dzięki którym można odkryć tajemnicę pochodzenia miedzi w starożytnych (oczywiście i współczesnych) wyrobach.

Tak więc badając dawne wyroby z brązu i miedzi można wykryć, skąd wydobyto użyty do ich wyrobu metal. Jeśli więc okaże się, że miedź z Michigan powędrowała do wszystkich innych krajów starożytnego świata, stwierdzenie to przyprawi o zawrót głowy wszystkich dyfuzjonistów.

Lecz pozostaje jeszcze pytanie KTO ją wydobył? „Interamerican News Letter" z listopada roku 1970, który zamieścił informację o owych tajemniczych kopalniach, podaje, że tak potworne ilości miedzi przy użyciu techniki sprzed kilku tysięcy lat można by wydobyć, posługując się 10 000 ludzi przez 1000 lat.

Kolumb odkrył Amerykę zaledwie kilkaset lat temu. Jeśli miedź wydobywano w piątym lub szóstym tysiącleciu przed nową erą, jak wskazują datowania metodą węgla radioaktywnego, znaczy to, że osiem tysięcy lat temu musiała istnieć jakaś wysoko rozwinięta cywilizacja, zdolna nie tylko do przepłynięcia Atlantyku, ale i transportu olbrzymich ilości tego metalu.

Według naszej obecnej wiedzy, ludzie sprzed ośmiu tysięcy lat nie byli zdolni do takich wyczynów.

Może więc... Atlantyda? Ale, według legendy, owa hipotetyczna cywilizacja została przez jakiś żywioł starta z powierzchni ziemi parę tysięcy lat wcześniej!

A może sprawcą owej zagadki jest tajemnicza kultura, która według Ch. Hapgooda kilka tysięcy lat temu stworzyła kartografię świata (tzw. mapy Piri Reisa i inne „niemożliwe" mapy).

A jeśli tej miedzi nie znajdzie się nigdzie na świecie? Kto zatem ją wydobywał, zabrał i... dokąd?

KAMIENNE MURY W PERU

Budowle Inków fascynowały i intrygowały niejednego. W 1979 roku do Peru przybył profesor Jean-Pierre Protzen, kierownik Katedry Architektury Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. Z wielką uwagą przyglądał się ogromnym blokom skalnym, z których część na pewno ważyła grubo ponad sto ton, a wszystkie pasowały do siebie jak ulał. Ich krawędzie przylegały tak szczelnie, że niekiedy trudno było wsunąć między nie ostrze noża. Profesor nie znał techniki, którą się posłużono przy budowie murów, ale wierzył w dwudziestowieczną naukę i bibliotekę swojego uniwersytetu, sądząc, że znajdzie tam odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Po powrocie do Stanów Zjednoczonych musiał być bardzo rozczarowany, gdyż nie tylko biblioteka, ale w ogóle nikt nic nie wiedział o technice budowlanej Inków i nie potrafił wyjaśnić, jak człowiek w tak zamierzchłych czasach, nie posiadając odpowiednich maszyn i narzędzi, potrafił stawiać wielometrowe budowle z kamienia. I to bez użycia żadnego spoiwa!

Sądząc, że istnieje tylko jedna droga do wyjaśnienia tajemnicy, w 1982 roku profesor ponownie udał się do Peru, aby samemu dochodzić prawdy. Najpierw dokładnie obejrzał imponujące budowle w Cuzco, Sacsahuaman i Ollantaytambo. Następnie dotarł do kamieniołomów, skąd brano budulec.

Trudno było nie zadać sobie pytania, jak odbywało się przenoszenie ogromnych bloków. Jedna z dróg, którą musiał odbywać się transport, miała nachylenie czterdziestu stopni i w pewnym miejscu kończyła się dwustupięćdziesięciometrowym urwiskiem. W innych kamieniołomach profesor odnalazł około dwustu pięćdziesięciu dużych bloków skalnych, które, jak się zorientował, reprezentowały wszystkie stadia produkcji, od surowej skały do gotowego elementu budowlanego. Pomiędzy nimi porozrzucane były inne, mniejsze kamienie, które na pewno nie pochodziły z owego kamieniołomu, a prawdopodobnie znad brzegów pobliskiej rzeki Vilcanota.

Wszystko wskazywało na to, iż były to narzędzia pracy Inków. Można było wyróżnić ich trzy rodzaje. Najcięższymi przypuszczalnie kształtowano bloki tylko z grubsza, zaraz po oderwaniu ich od ściany kamieniołomu. Średnie służyły do obciosywania, a najmniejszymi obrabiano brzegi skalnych bloków.

Jako że najlepiej wszystko sprawdzić na własnej skórze, profesor bez wahania przystąpił do pracy. Wybrał jeden z surowych odłamów skalnych i zaledwie sześcioma uderzeniami czterokilogramowego „młotka" z kamienia doprowadził blok do stanu rokującego duże nadzieje na końcowy sukces. Mniejszym kamieniem tak długo obciosywał ścianę frontową, aż zrobiła się prawie zupełnie gładka. Półtorej godziny później trzy bloki były gotowe. Ponieważ dzieło profesora było zupełnie podobne do bloków ociosanych przez Inków, można było uznać, że „teoria trzech młotków" jest co najmniej prawdopodobna.

Jednak do pełnego szczęścia, czyli całkowitego rozwiązania zagadki, brakowało odpowiedzi na najważniejsze pytanie. W jaki sposób udawało się Inkom tak dokładnie dopasować wszystkie bloki? Żadne obciosywanie nie mogło przecież dać powierzchni idealnie gładkich, wszystkie miały górki i dołki, a tamte pasowały do siebie wręcz perfekcyjnie.

W tym przypadku profesor znalazł odpowiedź po dokładnym przyjrzeniu się fragmentowi gotowego już muru. Owszem, wszystkie łączenia były nierówne, jakby lekko pokarbowane, lecz powtarzał się jeden schemat. Górne bloki miały wypustki, które wpasowywały się w zagłębienia bloków znajdujących się niżej. Profesor Protzen znów postanowił sam sprawdzić zaobserwowaną technikę. Własny blok ustawił na drugim. Oczywiście obydwa w ogóle do siebie nie pasowały. Zaznaczył wtedy falistość dolnego brzegu górnego kamienia na górnym brzegu dolnego i tak długo później go obciosywał, aż otrzymał odpowiedni wzorek. Technika ta to coś w rodzaju zasady zamka i klucza albo popularnej łamigłówki „puzzle“, z tą różnicą, że w układance peruwiańskiej człowiek sam musi najpierw wykonać pasujące klocki.

A więc... Zagadka cyklopich murów w Peru chyba wreszcie doczekała się rozwiązania. Trochę szkoda...

WIELKA TAFLA Z GALILEI

Odkrycie tajemnicy techniki budowania murów przez plemiona Inków powiodło się dzięki dociekliwej naturze badacza i jego krzepkim dłoniom. Zagadkę rozwiązano przeprowadzając eksperyment, który akurat w tym przypadku dał oczekiwany reultat. Bardzo często jednak prace archeologiczne opierają się na samych wykopaliskach i domysłach „na inteligencję".

W latach pięćdziesiątych władze lokalne małego miasta Beth She'arim koło Hajfy w Izraelu postanowiły wybudować muzeum. Na teren budowy przeznaczyli pewną jaskinię, miejsce starożytnego miasta, gdzie Żydzi chowani byli w katakumbach. Kiedyś jaskinia służyła za zbiornik wodny i teraz na jej dnie znajdowała się gruba warstwa mułu. Spychacz, który miał odgarnąć nagromadzony osad, natrafił na środku pieczary na dużą płytę. Nie namyślając się wiele, kierownictwo przyszłego muzeum postanowiło wykorzystać ją jako podstawę pod gabloty ekspozycyjne. Przez wiele lat zwiedzający przechodzili obok zapomnianej i zaniedbanej płyty nie zdając sobie sprawy, iż to właśnie ona powinna stać na piedestale! Nie stało się tak dlatego, że nikt nie rozpoznał materiału, z którego była wykonana.

Dopiero po długim czasie przyjrzało jej się bliżej kilku miejscowych archeologów. Jakże wielkie było ich zdziwienie, gdy odkryli, że płyta wcale nie jest skałą, jak powszechnie sądzono, ale purpurowozielonym szkłem. Jego wymiary 340 cm x 194 cm x 50 cm sprawiały, iż „szyba" ważyła prawie dziewięć ton. A to znaczyło, że jest trzecim co do wielkości obiektem szklanym wyprodukowanym przez człowieka! (Dwa pierwsze miejsca zajmują gigantyczne teleskopy skonstruowane w 1934 roku w Stanach Zjednoczonych). Wiadomo było, że historia jaskini sięga tysiąca lat wstecz. Czy ma to znaczyć, że wielka płyta szklana liczy sobie aż dziesięć wieków? Okazało się, że... więcej!

Wkrótce po dokonaniu odkrycia, w 1964 roku, wezwano grupę amerykańskich ekspertów, aby dokładniej zbadali materiał, z którego wykonano tajemniczy obiekt. Przy użyciu odpowiedniego sprzętu pobrano próbkę uwidaczniającą przekrój poprzeczny kolosa. Nie było żadnych wątpliwości: w jaskini znajdowała się ogromna szklana tafla. Skąd się tam wzięła, kto ją zrobił, kiedy i po co? – na te pytanie nie potrafiono odpowiedzieć. Trudno było sobie również wyobrazić, jak ją zrobiono, albowiem produkcja dziewięciu ton szkła wymagałaby użycia około jedenastu ton surowca, który przez kilkanaście dni należałoby utrzymywać w temperaturze około 1150° C. Czy kogokolwiek stać było na to tysiąc lat temu?

Okazało się, że nie tak trudno było ustalić, jak doszło do powstania szkła. Pod taflą znaleziono bowiem szereg kamieni, które kiedyś pokryte były gliną. Stąd naukowcy wysnuli wniosek, że był to spód olbrzymiego pieca, w którym wytopiono szkło. Sugerowano również, że podobne paleniska wybudowane były po bokach, a całość przykryta dla podniesienia temperatury. Wszystko więc wskazywało na to, że płyta powstała w miejscu, gdzie obecnie spoczywa. W jakiś czas później archeologowie, którzy pierwsi zajęli się odkopywaniem jaskini, potwierdzili, że wokół płyty pierwotnie znajdowało się wiele kamieni.

Prawdopodobnie wiadomo też, dlaczego szkło pozostało w jaskini. (Wydaje się bowiem niemożliwe, aby było to celem samym w sobie).

Analiza przekroju płyty ujawniła, że na dnie pieca nie doszło do prawidłowego stopienia surowca i cała struktura uległa krystalizacji. Z tego też powodu szkło zrobiło się mętne, matowe i najpewniej mało przydatne do celu, jakiemu miało służyć. Z powodu takiego wyglądu zewnętrznego sądzono z początku, iż jest to pewien rodzaj skały.

Porównując znalezisko z wcześniej odkrytymi na tym terenie przedmiotami ze szkła, naukowcom udało się ustalić, że płyta rzeczywiście jest bardzo stara, gdyż czas jej powstania szacuje się na IV–VII wiek! Nie udało się jednak ustalić, do czego ów szklany gigant miał służyć. Można jedynie snuć rozmaite przypuszczenia. Analiza wykazała, że do szkła dodano związków manganu, aby zmienić jego barwę na purpurową. Mogłoby to sugerować, iż myślano o celach dekoracyjnych. Może zamierzano rozbić płytę na małe kawałki i przekazać je drobnym rzemieślnikom do dalszej obróbki? Może barwiona tafla szklana miała być nowoczesnym elementem architektonicznym? Nie wydaje się, aby można dziś dotrzeć do prawdy sprzed kilkunastu wieków. Naukowcy są bezsilni wobec tak małej ilości danych i ogromu niezwykłości odkrycia. Bez wątpienia jednak należy pochylić czoła przed technicznymi umiejętnościami szklarzy sprzed wielu stuleci, którym trudno byłoby znaleźć w dzisiejszych czasach godną konkurencję.

Wiele tajemnic minionych epok pozostanie na zawsze bez jednoznacznych odpowiedzi. Naukowe sekrety starożytnych cywilizacji nie są zapisane w żadnych podręcznikach. Przykład chińskich kotwic, znalezionych u wybrzeży Kalifornii, pokazuje, jak szybko potrafimy zapomnieć techniki, które były w użyciu jeszcze sto lat wcześniej. Niektóre zagadki przeszłości można rozwiązać drogą eksperymentów, inne metodą dedukcji i przypuszczeń. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że prawda o starożytnych kulturach umarła wraz z ich twórcami. W ten sposób właśnie rodzą się tajemnice, legendy i nie wyjaśnione odkrycia. Kamienne mury Inków, szklana płyta w Izraelu i grobowce w Chinach milczały przez tak wiele stuleci, że nic nie wskazuje na to, aby miały przemówić do człowieka dwudziestego wieku.

ZAGADKA CHIŃSKICH KOTWIC

Osiągnięcia starożytnych Chińczyków można naturalnie znaleźć w Chinach, ale także na... południowym wybrzeżu Kalifornii, gdyż i tam odkryto tajemnicze przedmioty należące do ich kultury.

W 1973 roku amerykańska wyprawa geologiczna, kierowana przez Rolanda von Huene'a, wyłowiła z dna Oceanu Spokojnego dziwny kamień z dziurą w środku. Już pierwsze oględziny nie pozostawiły żadnych wątpliwości: obiekt został wykonany przez człowieka i to za pomocą odpowiednich narzędzi. Z powodu owego otworu wyglądał jak pączek wiedeński, a raczej jego nowsza odmiana, czyli donat. Na jego powierzchni znajdowały się związki manganu, co wskazywało na wielowiekowe przebywanie w wodach oceanu.

Znalezienie kamienia w wodzie rzadko staje się tematem pierwszych stron gazet, ale tym razem świat naukowy został niezwykle poruszony. Tym bardziej że dwa lata później nastąpiło kolejne odkrycie. Dwaj nurkowie odnaleźli w okolicach półwyspu Palos Verdes na głębokości około pięciu metrów ponad dwadzieścia podobnych kamieni. Wszystkie posiadały w środku otwory i miały pokaźną masę. Z początku nie wiadomo było, kto je wykonał, po co i dlaczego znajdowano je na dnie oceanu, a nie, na przykład, na lądzie.

Pierwszą i chyba trafną próbą odpowiedzi była hipoteza, iż kamienie są prymitywnymi kotwicami. Wcześniej znajdowano podobne w Morzu Śródziemnym. Żeglarze mieli na pokładzie ciężki kamień (lub kilka, w zależności od wielkości łodzi) z uprzednio wydrążonym na wylot otworem. W tym miejscu przewiązywali linę połączoną z żaglowcem i gdy chcieli zatrzymać się na morzu lub przycumować do nabrzeża, po prostu wyrzucali kamień za burtę.

Nie byłoby więc nic nadzwyczajnego w odkryciu kamiennych kotwic w okolicach Kalifornii, gdyby nie to, że naukowcy przypuszczali, iż pochodzą one z chińskich żaglowców, które przybyły do Ameryki wiele wieków przed Kolumbem! Badania historyczne oraz archeologiczne i etnologiczne prace porównawcze wykazały, że znalezione kamienie mają kilkunastowiekową historię. Analizy geologiczne były jednomyślne co do faktu, że skały, które posłużyły do ich wykonania, nie pochodziły z Kalifornii. „Jest dla nas oczywiste, że azjatyckie łodzie dotarły do Nowego Świata na długo przed Kolumbem" – pisali James Moriarty i Larry Pierson.

Ameryka z całą pewnością miała gości przed przybyciem Krzysztofa Kolumba. Wiadomo, że około roku tysięcznego zawitały tam długie łodzie wikingów, którymi dowodził niejaki Leif Ericson. Twierdzenia, że pierwszymi odkrywcami nowego kontynentu byli Chińczycy, związane są z historią dynastii Liang, której rozkwit przypada na lata 502–557. Właśnie w 502 roku pewien mnich, zwany Hui-szen, przybył na dwór cesarza Wu Ti i zdał relację z wyprawy do „wspaniałego kraju Fusang". Według nieustraszonego żeglarza w habicie, znajdował się on dwadzieścia tysięcy li (około 10 500 kilometrów) na wschód od wybrzeża Chin. Niektórzy badacze, szczególnie w połowie dziewiętnastego wieku, dopatrzyli się w relacji Hui-szena wielu podobieństw między Fusang i Ameryką. Z tych jakże mizernych dowodów zrodził się pogląd, że Chińczycy są prawdziwymi odkrywcami kontynentu amerykańskiego.

Teoria ta utrzymywała się przez wiele lat i przeżyła nawet głośną w swoim czasie krytykę holenderskiego naukowca z uniwersytetu w Leiden, Gustaafa Schlegele'a. Twierdził on, że skoro Hui-szen wyolbrzymił nieco cuda, jakie widział (pisał o drzewach morwowych wysokich na trzydzieści tysięcy metrów i dwumetrowych jedwabnikach), prawdopodobnie przesadził również w odległości dzielącej Fusang od Chin. Holenderski badacz zadał sobie wiele trudu i dowiódł, że cudowny kraj Fusang naprawdę istnieje, a jest nim olbrzymia wyspa Sachalin, która nie tylko leży kilka tysięcy kilometrów bliżej niż Ameryka, ale również nie całkiem w tym kierunku.

Wraz z odkryciem „chińskich kotwic" u wybrzeży Kalifornii spory rozgorzały na nowo. W 1980 roku wsparcie dla amerykańskich teorii o azjatyckim podboju przyszło z samych Chin wraz z artykułem Fanga Zhongpu. Pisał on, że wielu historyków w jego kraju żywi przekonanie, że Fusang to dzisiejszy Meksyk i że naród chiński 1500 lat temu z pewnością miał możliwości przepłynięcia Pacyfiku. Wyraził również ciche ubolewanie, że przyjazne stosunki między Ameryką i Chinami dotyczą wyłącznie tak dawnej przeszłości.

Wydział Geologii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara przygotowywał w tym czasie smutną niespodziankę. Szczegółowa analiza znalezionych kamieni wskazała źródło ich pochodzenia. Nie były to Chiny, jak pierwotnie sądzono, ale pobliskie złoża łupków w okolicach dzisiejszego miasta Monterey.

Na podstawie nowego odkrycia profesor Frank Frost z tego właśnie uniwersytetu wysnuł wniosek, że być może kamienie zostały obrobione i przedziurawione na miejscu, w Kalifornii. Twierdził, że duża ilość znalezionych okazów oraz ich rozproszenie na dnie oceanu wykluczają jakąkolwiek katastrofę morską i wskazują raczej na to, że kamienie są pozostałościami ludów często odwiedzających wybrzeże. Używali ich jako kotwic, a ponieważ od czasu do czasu liny rozwiązywały się, kamienie lądowały na dnie oceanu, gdzie spoczywały, do czasu aż wyłowili je Amerykanie. Pozostawało jedynie pytanie: kim byli ci przybysze?

Profesor Frost szybko znalazł odpowiedź. Byli nimi... Chińczycy. Ale nie starożytni, lecz imigranci znad rzeki Chu-

-Kiang, którzy osiedli w Kalifornii w dziewiętnastym wieku i założyli dobrze prosperujący przemysł rybny. Z kraju wyruszyli w prostych dżonkach i sampanach, zabierając z rodzimej ziemi jedynie tradycyjną technikę żeglugi i połowu ryb. Prawdopodobnie posługiwali się kotwicami, jakich używali już ich praojcowie, czyli kamieniami z przewiązanymi przez wydrążony otwór linami. Wydaje się, że na wybrzeżu kalifornijskim nie było innej nacji, która miałaby potrzebę użycia skał spod Monterey i przetransportowania ich w miejsce, gdzie obecnie je znaleziono.

Mimo że argumenty profesora Frosta wydają się racjonalne i przekonujące, dziwi nieco fakt, że tak szybko puszczono w niepamięć analizę związków manganu, których osady na kamieniach miały świadczyć, iż te przeleżały w wodzie znacznie więcej niż około sto lat. Zagadka chińskich kotwic do dziś nie doczekała się jednoznacznej odpowiedzi. Chińscy rybacy z Kalifornii wymarli wraz ze swoimi tajemnicami żeglugi i połowów. „Pozostaje jedynie żałować, że późniejsi osadnicy byli bardziej zainteresowani wykluczeniem Chińczyków z interesu niż badaniem ich metod i sposobów pracy" – pisał profesor.

Oczywiście istnieje pewien procent prawdopodobieństwa, iż żeglarze z Chin dotarli do Ameryki przed Kolumbem. Jeżeli jednak jest prostsze rozwiązanie zagadki, rozsądniejszym wydaje się zaniechać poszukiwań sensacji, choć jak już wspomniano, żadna z opisanych teorii nie daje całkowitej pewności.

ALUMINIOWY PAS WODZA CHU

„Godzinami kopał w twardej, nieustępliwej ziemi. Praca była ciężka i znojna, a pot zalewał mu oczy. Nagle łopata uderzyła w coś twardego..." Ileż podań i legend opartych jest na tym schemacie. Choć przebieg tego zdarzenia nie był inny, opisana historia jest prawdziwia. Oto jak doszło do powstania jednej z najbardziej zadziwiających zagadek starożytnych Chin.

Wszystko zaczęło się pierwszego grudnia 1952 roku. Jedna ze średnich szkół miasta Yixing w prowincji Jiang-su budowała boisko sportowe. Najpierw trzeba było wyrównać teren, gdyż władze szkoły uparły się, aby powstało ono w miejscu niemałej górki. Cztery wysypiska jeszcze bardziej utrudniały pracę. Nagle krzyk jednego z robotników sparaliżował wszystkich. Jego łopata, przedostawszy się przez cienką warstwę żwiru, odsłoniła... dziurę w ziemi. Wydobywało się z niej stęchłe powietrze. Cała brygada natychmiast zebrała się wokół dziury i ciekawie zaglądała w otchłań. Panujące w niej ciemności pozwoliły jedynie dostrzec zarysy kilkunastu przedmiotów.

Ponieważ robotnicy uważali (zupełnie słusznie), że trzeba coś zrobić, wezwano policję. Kilku stróżów prawa zeszło w głąb pieczary przez wykopany otwór. Pieczara okazała się grobowcem, a dziura jednym z najdonioślejszych odkryć archeologicznych. Miejsce zabezpieczono, wynosząc wcześniej kilka znalezionych przedmiotów, między innymi pięć naczyń porcelanowych, jedenaście glinianych i kilka przedmiotów ze złota. Grupa badawcza z Huadong została wezwana do przeprowadzenia całościowych badań wykopaliskowych.

Okazało się, że są tam aż dwa grobowce, obydwa zbudowane w niespotykanym stylu. Składały się z komór wykonanych z cegieł w kształcie klinów. Na szczycie znajdowała się kwadratowa płyta. Cegły na podłodze ułożone były w jodełkę. Dach przyozdabiały wyrzeźbione okręgi, wizerunki tygrysów i głowy innych zwierząt. Jeden z grobowców posiadał napis, który pozwolił naukowcom precyzyjnie określić datę jego powstania: „20 września, po siedmiu latach panowania wodza Zhou..." W drugim budowniczowie wyrzeźbili swoje nazwiska i tytuły: „Yicao Zhu Xuau, Yang Chun, robotnik Young Pu wykonał".

Nie było żadnych wątpliwości, że odnaleziono grobowiec chińskiego wodza, zwanego Zhou Chu. Wiadomo o nim, że żył w czasie panowania dynastii Jin (265–420 n.e.) i zginął w walce z Tybetańczykami w roku 297. Daty te sprawdzono i potwierdzono, co czyni odkrycie jeszcze bardziej niesamowitym. I nie tyle chodzi tu o znalezienie grobu dawnego przywódcy, co o kilka znalezionych w nim przedmiotów. Doniosłość znaleziska koncentruje się bowiem wokół około dwudziestu kawałków metalu, które kiedyś niewątpliwie stanowiły pas otaczający talię nieboszczyka. Chiński archeolog Luo Zong-chen zapragnął poznać skład chemiczny tego pasa, a kiedy przeprowadzono odpowiednie badanie – wszyscy dosłownie zdębieli.

Analiza szczątków pasa, przeprowadzona na wydziale chemii pobliskiego uniwersytetu w Nanjing, wykazała, iż składa się on prawie wyłącznie z aluminium. Co w tym niezwykłego? Wydawałoby się, że nic, gdyby nie fakt, że aluminium, choć tak powszechnie stosowane w obecnych czasach, w Europie wyodrębniono jako czysty metal dopiero w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku! Jeszcze następne pokolenia uważały ten pierwiastek za taką rzadkość, że próbka lekkiego, jasnego metalu pokazywana była jako jedna z atrakcji paryskiej wystawy w 1855 roku. Produkcja aluminium wymaga czegoś, o co nigdy nie podejrzewano starożytnych: znajomości procesów elektrochemicznych. Oficjalnie otrzymanie metalicznego glinu (chemiczna nazwa pierwiastka) przypisuje się niemieckiemu chemikowi Fryderykowi Wohlerowi, który swego odkrycia dokonał dopiero w 1827 roku. Odnalezienie „aluminiowego paska" zmusiło wielu archeologów, metalurgów i chemików zarówno w Chinach, jak i na całym świecie do postawienia pytania: czy Chińczycy wyprzedzili europejskich naukowców o ponad 1500 lat?

Starożytne cywilizacje już niejednokrotnie zadziwiały lub wręcz wprawiały w zakłopotanie wszechpotężną naukę dwudziestego wieku. Osiągnięcia dawnych kultur Egiptu, Meksyku, Peru wywoływały pytania, w obliczu których współcześni naukowcy mogli jedynie bezradnie rozłożyć ręce. Czy starożytni artyści, budowniczowie, architekci znali sekrety naukowe, które ich potomkowie musieli na nowo odkrywać po wiekach? Czy przypadkiem nie należałoby (przynajmniej w pewnych wypadkach) zmienić poglądu co do znajomości techniki i technologii przez naszych praojców?

Starożytne Chiny także w dużym stopniu należą do wielkich niewiadomych, a „pas z Nanjing" to jeszcze jeden twardy orzech do zgryzienia. Jak to zwykle bywa, po dokonaniu wielkiego odkrycia rozpoczęła się polemika nad autentycznością znaleziska. W czasopiśmie „Koagu" pojawił się artykuł Szena Szi-yinga, eksperta metalurgii z Północno-Wschodniego College'u Technicznego. Pisał on, że kilkoma metodami przeprowadził wiele analiz kawałka szczątków pasa, który dostał z muzeum w Nanjing. Badania wykazały, że zasadniczym składnikiem stopu było srebro, nie aluminium. Analiza innego kawałka dała podobne wyniki. Jednak trzecia próbka zdawała się być najprawdziwszym aluminium. Mimo wszystko, Szen Szi-ying pozostał sceptykiem. „Na podstawie struktury metalu nie można określić, czy wyrób powstał w czasach starożytnych. Z drugiej strony, nie wygląda na produkt fabryki lat pięćdziesiątych" – pisał w zakończeniu artykułu. Wysunął również hipotezę, że owe stopy aluminiowe powstały na początku wieku, co jednak wymagałoby potwierdzenia dalszymi badaniami.

Poglądy Szi-yinga spotkały się z żywą reakcją polemistów, a niektórzy z nich w ogóle nie dopuszczali myśli, że pas mógł być włożony do grobowca wiele lat później przez, dajmy na to, rabusiów. (Choć prawdą jest, że ktoś wcześniej, nie wiadomo dokładnie kiedy, dokonał do niego włamania). Luo Zong-chen, archeolog, który uczestniczył przy odkopywaniu grobowca, natychmiast napisał ripostę. Twierdził, że pas na pewno pochodzi z czasów dynastii Jin, gdyż znajdował się on pod grubą warstwą pyłów, które wskazywały, że miejsce jego znalezienia nie było niepokojone przez długie wieki. Luo miał również zastrzeżenia co do przeprowadzonych analiz składu chemicznego stopów. Sam zbadał osiem szczątków metalu, z których cztery były srebrem, a cztery bezspornie aluminium.

Rewolucja kulturalna lat sześćdziesiątych zakończyła wszelkie polemiki i zredukowała do minimum akademickie życie Chin. Całe szczęście, że do tego czasu historia aluminiowego pasa dotarła do naukowców Europy. Jednym z nich był doktor Joseph Needham z uniwersytetu w Cambridge, jeden z największych autorytetów w dziedzinie sinologii, autor monumentalnego dzieła *Science and Civilization in China* (Nauka i cywilizacja w Chinach). Odkrycie w Nanjing zaintrygowało go na tyle, że nie wykluczył możliwości, iż starożytni Chińczycy potrafili wytapiać aluminium.

Opublikowana w 1974 roku praca doktora Needhama zainspirowała innych naukowców: doktora Anthony'ego Butlera, doktora Christophera Glidewella i Sharee Pritcharda z wydziału chemii uniwersytetu w St. Andrews. Sześcioletnie badania zaowocowały kolejną szeroko dyskutowaną pracą, noszącą tytuł: *Aluminiowe przedmioty z grobowca czasów dynastii Jin – czy są autentyczne?* Praca zaczynała się od stwierdzeń, że współczesna nauka już niejeden raz chyliła czoło przed technologicznymi osiągnięciami średniowiecznych Chin. Dopiero dziś dowiadujemy się, że technika dawnych ludów tamtego obszaru była w wielu wypadkach zaskakująco wysoko zaawansowana i niejednokrotnie przewyższała umiejętności Europejczyków. Jednakże gdyby epoka dynastii Jin, wiek nie znający elektryczności, potrafiła otrzymywać aluminium, byłoby to coś więcej niż zwykłe osiągnięcie średniowiecznej chemii i techniki. Byłby to prawdziwy cios w rzekomą dominację naukową i technologiczną Europy.

Kontrowersyjne odkrycie kilkudziesięciu kawałków metalu w starym grobowcu zmusiło naukowców do postawienia kilku pytań. Przede wszystkim zaczęto się zastanawiać, czy aby na pewno znalezisko jest autentyczne. Jeśli tak, to czy można całkowicie ufać przeprowadzonym analizom chemicznym. Jeżeli znowu padnie odpowiedź twierdząca, należy ustalić, jakimi technikami metalurgicznymi dysponowali ludzie około trzeciego wieku naszej ery i czy któraś z nich pozwalała uzyskiwać aluminium. Ostatnim problemem wymagającym wyjaśnienia, stanowiącym jakby ostatnią deskę ratunku Europy, jest założenie, że Chińczycy otrzymali aluminium przypadkowo. Choć wydaje się to mało prawdopodobne, nie można takiej ewentualności wykluczyć, tym bardziej że znaleziony pas składał się tylko po części z aluminium.

Chińczycy znani są z rzetelności przy przeprowadzaniu prac wykopaliskowych i dlatego też dyskusja na temat autentyczności znaleziska nie trwała długo. Również i w tym wypadku pieczołowitość i staraność przy odkopywaniu grobowca i zabezpieczaniu znalezionych przedmiotów praktycznie wyklucza jakąkolwiek próbę zafałszowania znaleziska. Przynajmniej takie były pierwsze odczucia.

Również mało prawdopodobne wydawało się przypuszczenie, iż pas został złożony w grobie przez kogoś, kto wcześniej się do niego włamał. Niby dlaczego „włamywacz" miałby chcieć zmylić późniejszych archeologów i odkrywców szczątków średniowiecznego władcy Chin? Pogląd taki wydaje się niemożliwy również ze względu na nienaruszone powłoki kurzu i pyłów, które pokrywały kawałki metalu. Warstwy osiadłe w miejscu dokonania odkrycia zdawały się narastać od czasu złożenia zwłok wodza, na co wskazywała ich grubość i struktura ułożenia.

Naukowcy próbowali więc ustalić, czy starożytni Chińczycy legitymowali się odpowiednim „know-how", umożliwiającym uzyskiwanie aluminium. Współczesne metody otrzymywania tego metalu opierają się na elektrochemii, choć kiedyś stosowano też wytapianie w piecach hutniczych w wysokich temperaturach. Badacze z uniwersytetu w St. Andrews stwierdzili, że Chińczycy w czasach dynastii Jin z pewnością posiadali dymarki umożliwiające otrzymywanie temperatur, być może dochodzących nawet do 1500° C (temperatura topnienia aluminium wynosi 660° C), które jednak pozwalałyby, jeśli w ogóle, na uzyskiwanie tylko niewielkich ilości metalu. Wydaje się raczej pewne, że Chiny w trzecim wieku naszej ery nie dysponowały technologią otrzymywania aluminium o takiej czystości, jaką posiadały znalezione fragmenty metalowego pasa.

Po takich wnioskach nie pozostawało nic innego jak powrócić do pierwszych wątpliwości, gdyż tylko one potrafiły dać rozwiązanie frapującej zagadce. Jako że w żaden sposób nie można było wpaść choćby na najmniejszy ślad nadzwyczajnych umiejętności średniowiecznych „metalurgów", szkoccy naukowcy w ostatnim akapicie swej pracy nazwali całą tę sprawę „akademicką sztuczką", której autor „musiał się nieźle przestraszyć, kiedy zobaczył, jaką aferę rozpętał". „Niechaj dowodem wielkiego geniuszu narodu chińskiego będzie to, iż ich «aluminiowe teorie» traktowano poważnie przez tak długi czas" – brzmiało nieco ironicznie końcowe zdanie.

Gdy już wydawało się, że owa praca definitywnie zakończyła dyskusje nad chińskimi dymarkami, biuletyn Chińskiej Akademii Nauk Geologicznych z 1985 roku przyniósł kolejną rewelację. Nietrudno się domyślić, że był to nowy dowód autentyczności znaleziska sprzed ponad trzydziestu lat. Geologowie z instytutu w Szenyang zakomunikowali bowiem, że w prowincji Guizhou znaleziono rodzime aluminium, czyli występujące w postaci metalicznej, a nie w formie rudy metalu. Zawierało ono domieszkę miedzi, siarki, chromu oraz żelaza i było twardsze od chemicznie czystego pierwiastka – twierdzili Chińczycy, bardzo zresztą zadowoleni, że znaleźli dowód „wolny od wszelkiej ingerencji człowieka".

Sceptyczni Brytyjczycy nie popadli jednak w euforię z powodu najnowszego odkrycia azjatyckich kolegów. Przyznali, że znalezisko jest bardzo interesujące, tym bardziej że na świecie odnotowano zaledwie kilka przypadków występowania rodzimego aluminium. Doktor Anthony Butler stwierdził jednak, że drobnoziarnista struktura znalezionych próbek wyklucza możliwość użycia takiego materiału do wykonania znalezionego pasa. Jego zdaniem, dopiero dużo większe grudki nadawałyby się do tego celu, a w takiej postaci aluminium jeszcze nie znaleziono. Przyznając, że występowanie rodzimego aluminium na terenie Chin mogłoby wskazywać na źródło powstania kontrowersyjnego przedmiotu, doktor Butler zdecydowanie utrzymywał, że teoria ta może jedynie pozostać jeszcze jedną nie potwierdzoną hipotezą. Kończąc swój kolejny artykuł, jakby nie chcąc, aby wzięto go za zarozumiałego pyszałka z „cywilizowanej Europy", napisał: „Jednakże istnieje ogólne przekonanie, że nie wolno nie doceniać Chińczyków. Wszak to właśnie oni odkryli kompas, technikę druku i proch strzelniczy".

Mistyfikacja w archeologii nie jest rzeczą nową ani nie jest bynajmniej przypisana tylko Azjatom. Europa również ma na tym polu swoje „osiągnięcia". Jedną z najgłośniejszych historii tego rodzaju było pewne odkrycie z 1912 roku, dokonane w południowej Anglii. Przez około czterdzieści lat sądzono, iż znaleziono szkielet czaszki słynnego „brakującego ogniwa". Dopiero w latach pięćdziesiątych bystre oko naukowca spostrzegło, że godny pożałowania dziwotwór owszem, mózgoczaszkę ma ludzką, lecz szczękę zawdzięcza... zwykłemu orangutanowi.

No, ale co w końcu jest z aluminiowym pasem wodza Zhou Chu? Jest falsyfikatem czy autentykiem? A jeśli jest autentykiem, to skąd Chińczycy sprzed 1700 lat wzięli aluminium?

I w ten sposób wracamy do punktu wyjścia.

STUDNIA Z NIEZNANEGO METALU

Następująca przygoda, o której doniósł kapitan ruchu oporu podczas powstania słowackiego w czasie drugiej wojny światowej, wydarzyła się w październiku 1944 roku. Doktor Antonin T. Horak – obecnie lingwista – usiłował od wielu lat przekonać speleologów, aby przeszukali bardzo starą niby studnię, którą odkrył w ponurej tatrzańskiej grocie i którą uważał za najbardziej tajemniczy twór podziemia. Relacja jest wyjęta z notatnika podróżnego, pisanego na miejscu, i opublikowana została w 1965 roku w marcowym numerze biuletynu „NSS News" (biuletyn Krajowego Stowarzyszenia Speleologicznego) z autoryzacją autora. Grota, o której mowa, znajduje się w rejonie Niżnych Tatr blisko miejscowości Plavince i Lubocna, mniej więcej na 49°2' N i 20°7' E.

23 października 1944. Wczoraj wcześnie rano Sławek znalazł nas i ukrył w tej grocie. Dzisiaj o zmroku on i jego córka Hanka przyszli z żywnością i lekami. Nie jedliśmy od piątku, a przedtem, w czasie ostatnich walk, mieliśmy raptem trochę chleba kukurydzianego w ilości zupełnie nie wystarczającej. W naszej intendenturze zapasy były na ukończeniu, aprowizatorzy rozpierzchli się na wszystkie strony, rozgonieni przez wroga.

Odzyskałem przytomność, kiedy ktoś wyciągnął mnie z okopu – jakiś wysoki chłop. Okładał mi śniegiem rękę i głowę i uśmiechał się. Później ten samarytanin chwycił Jurka, ściągnął mu spodnie, wyrwał długi odłamek stali z uda i wsadził go, z gołymi pośladkami i tracącego oddech, w stertę śniegu. Marcin, który miał głęboką ranę w poprzek brzucha, został delikatnie obandażowany. Przygotowując zaimprowizowane nosze, mężczyzna przedstawił się jako Sławek, hodowca owiec, właściciel okolicznych pastwisk. Po czterech godzinach, ciągnięci i prowadzeni przez niego, dotarliśmy do tej kryjówki.

Sławek przesunął wielkie kamienie i odsłonił wąską szczelinę, robiąc wejście do obszernej groty. Po umieszczeniu Marcina w kącie obserwowaliśmy ze zdziwieniem, jak zachowywał się coraz bardziej ceremonialnie: przeżegnał się, zakreślił znak krzyża nad każdym z nas, nad całą grotą i klęcząc – również nad ścianą w głębi, w której zauważyłem jakiś otwór.

Kiedy miał nas opuścić, powtórzył ten sam rytuał i poprosił mnie, żebyśmy nie próbowali penetrować tej groty. Poszedłem z nim, żeby zebrać trochę świerkowych gałęzi, i wtedy powiedział mi, że w grocie był tylko raz ze swym ojcem i dziadkiem, że jest to ogromny labirynt, pełen głębokich rozpadlin i otchłani, których nie mieli ochoty zwiedzać, oraz przestrzeni z cuchnącym powietrzem i z pewnością nawiedzanych przez duchy. Wróciłem do moich ludzi około północy, wyczerpany, z okropnym bólem głowy, który próbowałem uśmierzyć przykładając śnieg.

Noc żałosna. Marcin chwilami przytomny; dałem mu trzy aspiryny i letniej wody do picia wraz z odrobiną śliwowicy. Jurek, zgłodniały, kuśtykał wokół dwu niemieckich hełmów, w których na śniadanie gotował wodę, a ja dodałem dziesięć kropli śliwowicy. Z powodu burzy śnieżnej, niebezpiecznych lawin i myszkujących nieprzyjacielskich narciarzy Sławek mógł mieć trudności z dotarciem do nas z żywnością. Nie mogę też polować i zostawiać śladów w okolicy, mając dwóch unieruchomionych ludzi na karku. No i grota, którą Sławek spenetrował tylko częściowo – możliwe, że są do niej inne wejścia i mogą znajdować się tam zwierzęta w stanie snu zimowego.

Rozważałem te możliwości, podczas gdy Jurek przeżuwając korę sosny zwrócił się do mnie z prośbą, bym poszedł na polowanie do groty Sławka. Obiecał, że zachowa to w tajemnicy. Popychał mnie do pójścia nie tylko głód, ale jednocześnie pragnienie odkrycia, co też mogło przerażać Sławka, skądinąd bardzo śmiałego, do tego stopnia, że aż wzywał Boga na pomoc. Poszedłem na wyprawę, uzbrojony w strzelbę, latarkę, pochodnię i kilof. Droga nie była kręta ani niebezpieczna. Minąłem kilka zwężonych przejść i po mniej więcej półtoragodzinnym marszu dotarłem do długiego, poziomego korytarza i na końcu do otworu wielkości beczki.

Przecisnąłem się czołgając i wciąż jeszcze klęcząc zamarłem ze zdumienia... przede mną wznosiło się coś w rodzaju wielkiego, czarnego silosa, oprawionego w białe ramy. Starając się zachować spokój, pomyślałem, że to ściana albo jakaś dziwna naturalna kurtyna z czarnej soli, lodu albo lawy. Tkwiłem tam ogarnięty niepewnością, która przerodziła się w tajemniczy lęk, kiedy dotarło do mojej świadomości, że mam przed sobą gładką niczym szkło boczną ścianę jakiejś budowli, na pozór wzniesionej przez ludzi, wdrążonej w otaczające skały. Imponująco wygięta, sprawiała wrażenie ogromnego walca o średnicy 25 metrów. Tam gdzie owa budowla styka się ze skałą, wielkie stalaktyty i stalagmity tworzą obramowanie roziskrzonej bieli. Ściana jest jednolicie czarnoniebieska, jej substancja zdaje się łączyć właściwości stali, krzemienia i kauczuku. Kilof nie zostawia na niej żadnego śladu i odskakuje gwałtownie. Nawet prosta myśl, że to może być sztuczny twór wielkości wieży wtopionej w skałę wśród ponurych gór, gdzie nawet legenda nie zna ani ruin, ani kopalni czy przemysłu, twór pokryty konkrecjami bardzo starej daty – nawet taka myśl jest oszałamiająca. Widok ten może przyprawić o dreszcze.

W tej ścianie, której nie zauważa się od razu, wychodzi od dołu szeroka na 20 do 25 centymetrów szczelina i idzie ku sklepieniu groty, zwężając się do szerokości 2 do 5 centymetrów, by w końcu całkowicie zaniknąć. Wnętrze po prawej i lewej stronie jest w kolorze głębokiej czerni, naznaczone bruzdami i ostrymi wierzchołkami wielkości pięści. Dno szczeliny ma kształt bardzo gładkiego koryta z żółtego piaskowca i zagłębia się z dużym nachyleniem (około 60°) w ścianę. Rzuciłem tam zapaloną pochodnię – spadła i zgasła z trzaskiem oraz donośnym gwizdem, jakby rzucono rozgrzany do białości lemiesz pługa do szaflika z wodą.

Chcąc prowadzić dalej badania uznałem, że jestem wystarczająco szczupły, by przecisnąć się przez tę odwróconą dziurkę od klucza, i wśliznąłem się bokiem, ze zranioną ręką wyciągniętą do przodu i głową prawie w dół, bardzo ściśnięty. Chociaż moja prawa ręka, trzymająca lampę, mogła się poruszać w szczelinie, która dalej rozszerzała się, teraz szczelina skurczyła się nagle, jakby mnie chciała udusić, i musiałem szybko wycofać się tyłem, dobrze się przy tym szarpiąc. Kiedy się wydostałem i złapałem oddech, byłem zafascynowany całą tą zagadkową historią i całkowicie zdecydowany znaleźć jej rozwiązanie. Na razie miałem tego dosyć i musiałem się zastanowić, jaką taktykę wybrać.

Wróciłem do obozowiska około czwartej po południu. Jurek opatrzył i umył Marcina leżącego między ogrzanymi kamieniami. Dałem mu trzy aspiryny, trochę ciepłej wody ze śliwowicą, którą pił powoli. Wytłumaczyłem Jurkowi, że do polowania w grocie potrzebny jest dym, żerdzie i sznur. Dzięki Bogu, Sławek i Hanka przyszli z żywnością. Kiedy wracali, poszedłem z nimi, żeby nazbierać gałęzi na pochodnie, i wróciłem do obozu około drugiej nad ranem, śmiertelnie zmęczony.

24 października 1944. Pociąłem nasze paski i uplotłem 8 metrów solidnego sznura. O dziesiątej rano byłem przy ścianie. Przywiązałem sznur do kija ustawionego w poprzek szczeliny i trzymając linkę przełożoną przez ramię, wśliznąłem się znów w ponurą paszczę. Tak jak wczoraj do otworu znajdującego się przede mną wprowadziłem na końcu kija lampę – tym razem karbidową. Wprowadzana i wycofywana lampa kiwała się na dole, w próżni, gdzie nie mogłem nic zobaczyć i skąd dochodził szum jakby wzburzonej wody. Nie mogąc się odwrócić, obawiałem się, że może tam być przede mną przepaść pełna wody i że mogę w nią wpaść, dosłownie głową w dół. Przekręciłem się do tyłu, żeby się wydostać – ubranie zaczepiło się o nierówności kamienia i ściągnęło, zatrzymując się na głowie i ramionach. Tak uwięziony wykonywałem rozpaczliwe ruchy, żeby się uwolnić, i o mało nie spaliłem się żywcem. Kiedy się wydostałem i stanąłem wreszcie na własnych nogach, trząsłem się z wyczerpania, a wyobraźnia podsuwała mi potworne obrazy.

W ścianie nie było ruszających się kamieni, więc rozłupałem stalagmity na małe kawałki i wrzuciłem w szczelinę. Toczyły się jakiś czas, aż w końcu w coś uderzyły. Oznaczało to, że była tam solidna podłoga. Za kamieniami wrzuciłem nie zapalone pochodnie, rozebrałem się do koszuli i ruszyłem w ślad za nimi. Znając już najgorsze nierówności szczeliny, przeszedłem zaledwie z kilkoma zadrapaniami, upadłem zaczepiając o występ skalny, potoczyłem się po pochyłości i zatrzymałem na ścianie, która wydała mi się znajoma, gładka niczym atłas, taka sama jak na górze.

Lampa paliła się jeszcze koło mnie, lecz słychać było nieokreślone dźwięki. Zapaliłem kilka pochodni i spostrzegłem, że znajduję się w szerokiej, zakrzywionej, czarnej studni, uformowanej przez przecinające się pionowe ściany, które tworzą prawie pionowy tunel – czy raczej komin – w kształcie rogalika. Nie potrafię opisać mroków ani szmerów, brzęczenia i pomruków – przerażającego, gigantycznego echa, wywołanego odgłosem mojego oddechu i poruszania się. Pochyła podłoga, po której stoczyłem się wchodząc, wyłożona była jakby „brukiem“ z solidnego wapienia.

Wszystkie światła razem nie sięgały do sufitu, gdzie ściany kończą się i spotykają ze sobą. Odległość pozioma między wierzchołkiem ściany przedniej wklęsłej a ściany tylnej wypukłej wynosi około 8 metrów; krzywa u stóp ściany tylnej ma około 25 metrów. Na to, by móc dalej penetrować, brakowało mi większego oświetlenia oraz kilofa, który jako że nie wchodził w szczelinę, musiałby być zdemontowany.

Rozradowany popadłem w pewien rodzaj upojenia, zmieszanego z determinacją co do dalszego eksplorowania tej potężnej struktury, która, jak sądzę, jest unikalna i zadziwiająca.

Z podniesioną głową, tym razem bez ubrania, które mogłoby mnie schwytać w pułapkę i spowodować poparzenia, przeszedłem mniej więcej bez szwanku, ubrałem się, wypaliłem fajkę i wróciłem do moich ludzi. Próbowałem schwytać parę nietoperzy, ale nie udało mi się.

25 października 1944. Poszedłem prosto do ściany, rozebrałem się tak jak wczoraj, nasmarowałem baranim tłuszczem, przerzuciłem narzędzia przez dziurę i wśliznąłem się nogami do przodu. Mimo że umocowałem lampę karbidową na końcu podwójnej tyczki i doczepiłem cztery zapalone pochodnie, górna część pozostawała w ciemnościach. Wystrzeliłem pionowo w górę dwie kule, równolegle do ścian. Detonacje wzbudziły jakby ryk gromu, przypominający łoskot przejeżdżającego pociągu ekspresowego, lecz nie zobaczyłem żadnego śladu po kuli. Wystrzeliłem więc po jednej kuli w każdą ścianę, celując jakieś 15 metrów ponad sobą. W efekcie ujrzałem ogromne, zielonobłękitne iskry i rozległ się taki hałas, że musiałem ściskać uszy kolanami, w wyniku czego ujrzałem wściekle roztańczone płomienie.

Montowanie kilofa wywołało nowe odgłosy grzmotów. Zbadałem „bruk“ i spróbowałem go wydrążyć, tam gdzie warstwa wapienia nie była tak gruba. Po prawej stronie znajdowała się wyschnięta glina, po lewej natrafiłem na głębokości około 50 centymetrów na warstwę szkliwa, utworzoną z zębów jakiegoś wielkiego zwierzęcia: zabrałem jeden kieł i jeden ząb trzonowy, pozostawiając resztę. Kopiąc dalej w tym miejscu, zauważyłem, iż ściana w głębi na wysokości około 1,5 metra poniżej bruku jest delikatnie żłobkowana, jakby falująca w pionie. Ta część wydawała się cieplejsza od powierzchni gładkiej. Wrażenie to potwierdziło się, gdy obmacałem ją, dotykałem wargami i przykładałem ucho. Pośrodku nawierzchnia z kostki jest zbyt gruba, by przeciął ją kilof.

W chwili gdy pochodnie zgasły, byłem zlany potem. Zostawiłem studnię w kształcie półksiężyca, ubrałem się, poszedłem tam, gdzie znajdują się nietoperze, i zabiłem siedem sztuk.

26 października 1944. Noc przeszła spokojnie. Wróciłem do studni w kształcie półksiężyca, by kontynuować badania.

Mimo połączenia tyczek, lampa karbidowa nie oświetlała górnej części ścian. Strzeliłem powyżej części oświetlonej – kule wywołały wielkie iskrzenie i ogłuszające, przeciągłe echo. Następnie wystrzeliłem poziomo w ścianę w głębi z podobnym rezultatem – iskry, huk, brak odprysków, lecz powstał ślad długi na pół palca, skąd wydzielał się ostry zapach. Zabrałem się znów do drążenia w lewym rogu i stwierdziłem, że płaszczyzna o powierzchni żłobkowanej przedłuża się ku dołowi, lecz w prawym rogu ściana nie miała podobnego wyglądu.

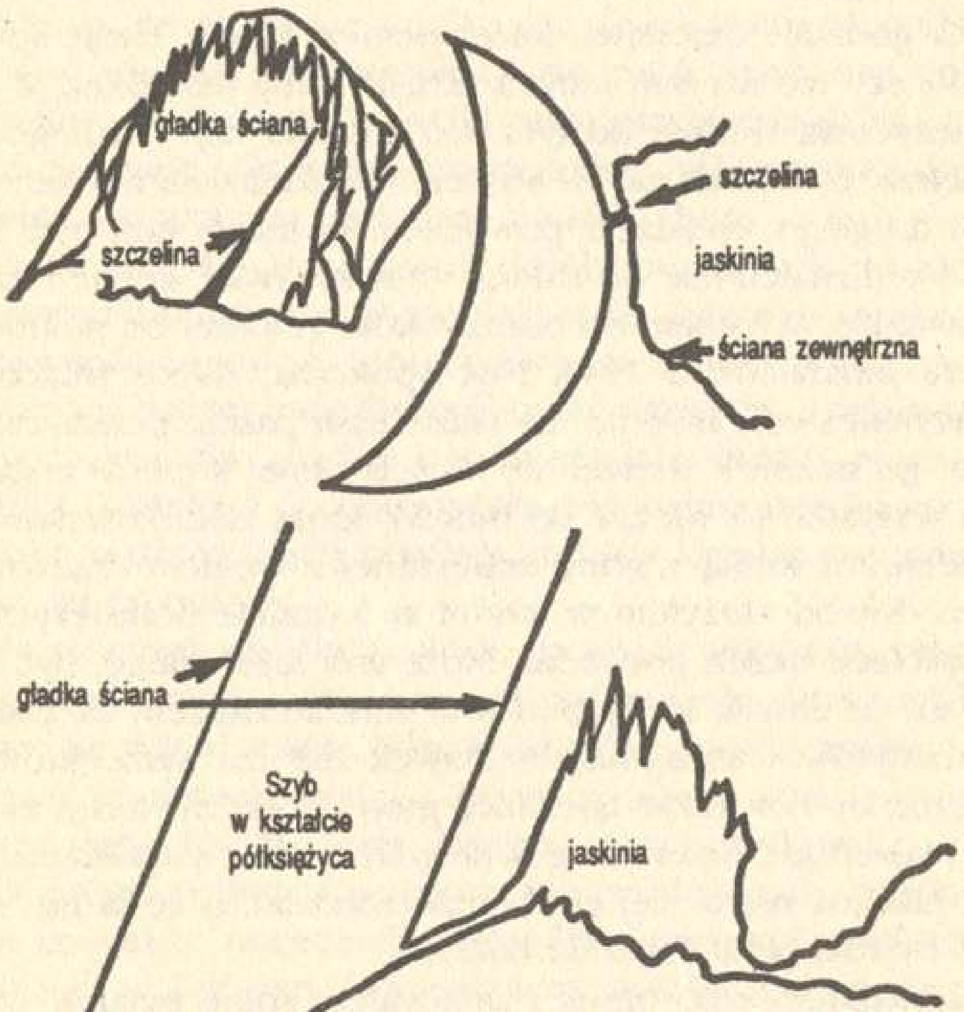
gładka ściana
szczelina
szczelina
jaskinia
ściana zewnętrzna
gładka ściana
Szyb
w kształcie
półksiężyca
jaskinia
odłamki
delikatne rowki

Tajemnicza metalowa grota w Czechosłowacji.

Wyszedłem ze studni w kształcie półksiężyca, żeby zbadać ścianę zewnętrzną i okolice. Blisko stalaktytów znajduje się kilka powierzchni ocętkowanych, podobnych do szkliwa. Kiedy się je zdrapuje, powstaje pył zbyt drobny, żeby można go było zgarnąć bez kleju. Spróbuję go zrobić, gotując pazury nietoperzy. Chciałbym mieć próbkę tego szczególnego materiału, z którego wykonana jest ściana, lecz chociaż strzeliłem w szczelinę w miejsce chropowatości i choć udało mi się trafić, kule odskoczyły rykoszetem i usłyszałem pomruk grzmotu; pojawiły się ślady i ten sam ostry zapach.

O godzinie dziesiątej rano byłem w grocie, chcąc sprawdzić, czy nie ma tam innych przejść, żeby móc okrążyć półksiężycową studnię od tyłu. Co do lodu czy zatrutego powietrza, o których mówił Sławek, nie znalazłem ani jednego, ani drugiego, chociaż z powodzeniem mogły tam być. Później wśliznąłem się do studni, żeby rysować, kopać i zastanowić się. Wróciłem do obozu około czwartej po południu.

28 października 1944. Noc spokojna, dobre śniadanie. Wyryłem swoje imię itd. na skórzanym pasku, potem zwinąłem go razem z wierzchnią częścią złotej koperty zegarka, by wszystko to włożyć do butelki, którą zakorkowałem kamieniem i kulką z gliny zmieszanej z węglem drzewnym. Ten dowód złożyłem w studni w kształcie półksiężyca na popiołach moich pochodni. Może tam leżeć długo, być może aż do chwili, kiedy budowla zniknie całkiem za zasłoną stalaktytów i stalagmitów. Sławek nie ma syna, któremu można by powierzyć tajemnicę groty. Córki zawierają związki małżeńskie przeważnie w innych wsiach. Za kilkadziesiąt lat nikt już nic o niej nie będzie wiedział, o ile ja nie wrócę, by rozpocząć badania budowli.

Siedziałem koło ognia i zadawałem sobie pytanie: czym może być ta budowla o ścianach grubych na dwa metry i kształcie, dla którego nie umiem znaleźć żadnego porównania? Jak głęboko wbija się w skałę? Czy jest tam jeszcze coś więcej niż owa półksiężycowa studnia? Jakie zdarzenie czy też kto ustawił ją w tych górach? Czy to skamieniały produkt wytworzony przez ludzi?

Czy jest jakaś prawda w legendach jak ta, którą można znaleźć u Platona, mówiąca o dawno zaginionych cywilizacjach, posługujących się tajemniczymi technologiami, których nasz rozum nie jest w stanie uchwycić ani zrozumieć?

Jestem człowiekiem rozsądnym, o wykształceniu uniwersyteckim, lecz muszę przyznać, że tam, wśród tych wysokich, pionowych ścian o geometrycznej krzywiźnie, czarnych, lśniących jak atłas, wydawało mi się, jakbym się zmagał z niesłychanie dziwną i groźną potęgą. Bez trudu mogę zrozumieć, że ludzie prości, lecz inteligentni, o zdrowym rozsądku, jak Sławek i jego przodkowie, mogli odnosić wrażenie, że dzieją się tutaj czary. Że ukrywają tę półksiężycową studnię, gdyż obawiają się, że ściągnie ona hordy turystów, że zacznie się wielki ruch, przebijanie galerii, eksplozje, hotele i komercjalizacja, które zniszczą prawdopodobnie ich uczciwe, związane z naturą życie.

Po drodze, kiedy wracałem do obozu, zatykałem i zamaskowywałem otwory prowadzące do ściany – grota ma z pewnością wejścia, których Sławek nie zna, i jakiś przypadkowy badacz mógłby próbować wszystko przeskoczyć w poszukiwaniu „skarbu“, zanim mogłaby dotrzeć ekipa naukowa. Wróciłem do obozowiska o godzinie trzeciej po południu, a około piątej przybyła rodzina Sławka, przynosząc kilka jaj na twardo.

Po mocnych uściskach dłoni, na modłę słowacką, zabraliśmy broń oraz pakunki i ruszyliśmy w drogę. Kiedy znaleźliśmy się wśród sosen, odwróciliśmy się i zobaczyliśmy, jak Sławek maskował wejście do groty, a jego córki zacierały nasze ślady. Księżyc świecił jasno, śnieg połyskiwał.

W ostatnich dniach wojny, w drodze do Czech, odwiedziłem znowu to miejsce. Rodzina Sławków przebywała tymczasowo w Żdżarze. Odwiedziłem grób Marcina i obejrzałem wejście do groty. Zaniosłem zabrane przeze mnie zęby zwierzęcia do konserwatora oddziału paleontologii w Uzhorodzie, a on zaklasyfikował je jako należące do dorosłego niedźwiedzia jaskiniowego, *Ursus spelaeus*. Zastanawiałem się nad tym i znów powróciły pytania: szczelina jest zbyt mała, blok wapienny i stalagmity znajdujące się z przodu nie stwarzały możliwości przedostania się szczątków – ten niedźwiedź musiał wpaść do półksiężycowej studni, która mogłaby zatem mieć połączenie z powierzchnią na górze.

Kiedy ostatni raz tam byłem, oglądałem zbocze góry ponad grotą i nie znalazłem żadnej dziury ani przepaści, która mogła być przypuszczalnym połączeniem ze studnią. Lecz na tych stromych tatrzańskich stokach osunięcia się skał mogły zatrzeć lub zasypać to połączenie.

Tajemnica jest tak fascynująca i dziwna, że można myśleć o działalności istot pozaziemskich. Ale można także zaproponować inne wyjaśnienie. W Czechosłowacji znajdują się złoża uranu i radu. Być może występujące od milionów lat promieniowanie rud radioaktywnych przekształciło znaną rudę w całkowicie nowy, nie znany nauce, stop.

Jakby nie było, można się spodziewać, że badania metalowej studni w kształcie półksiężyca wejdą do katalogu najbardziej zadziwiających odkryć dokonanych na tej planecie. O ile wszystko nie pójdzie w zapomnienie...

CZĘŚĆ 4

TAJEMNICE PRZESZŁOŚCI

PROCH I DYNAMIT W CZASACH ANTYCZNYCH?

Prastare sagi wielu ludów przypisują ogniu boskie pochodzenie. W mitologii hinduskiej pojawia się bóg ognia Agni, Sumerowie czcili władcę ognia, którego zwali Gibil, a grecki mit o Prometeuszu blisko wiąże się z historią współczesnej cywilizacji.

To Prometeusz – prawdopodobnie z nudów – ulepił z gliny pierwszych ludzi, a potem ukradł ogień z Olimpu i przeniósł go na Ziemię. Przyłapany na tym przez Zeusa, przykuty do skały gdzieś w górach Kaukazu cierpiał, żywiąc orła swoją odrastającą stale wątrobą. Ślady używania ognia znalezione w jaskiniach w pobliżu Chou Kon-tien w Chinach pochodzą sprzed 700 tysięcy lat. Znajdują się tam dobrze zachowane paleniska i piece.

Pierwsze świadectwa wykorzystywania ognia do celów związanych z rękodzielnictwem pochodzą jednak z początku neolitu. Wskazują one na konieczność zmiany naszych wyobrażeń o człowieku epoki kamiennej. W Syrii znaleziono pochodzące z okresu 8000 lat p.n.e. przedmioty z wypalanej ceramiki, zaś w Catal Huyuk, prehistorycznym mieście w Anatolii, ozdoby z miedzi i ołowiu. Ich powstanie datuje się na lata 6800–5700 p.n.e.

Z pewnością bardzo wcześnie odkryto znaczenie ognia jako broni – opowiadają o tym nieme ślady pożarów z dawnych wojen. Z XVII wieku p.n.e. pochodzi pierwsza informacja o strategicznym użyciu ognia. Król Hetytów, Hattusilis pisze: „Pobiłem króla Hassu, rzuciłem ogień i wznieciłem dymy". Jeszcze bardziej znamienny jest o 400 lat młodszy opis, dany przez ostatniego króla Hetytów, a mówiący o wojnie w okolicach Cypru: „Ruszyłem... i wkrótce osiągnąłem morze... Ale okręty Alasiji trzykrotnie stanęły do walki ze mną wśród morza. Zniszczyłem je po zdobyciu, stawiając je w ogniu".

W czasach wielkiej wędrówki ludów w XIII wieku p.n.e., mimo ośmiometrowej grubości murów, kończy swe istnienie hetycka Hattusas: przerażające dowody tej katastrofy, wydobyte spod grubej warstwy czarnego popiołu, wstrząsają archeologami jeszcze i dziś.

W inskrypcji, umieszczonej 1200 lat p.n.e. w świątyni Medinet Habu, Ramzes III informuje: „Zbliżali się (ludy morskie) do Egiptu, a poprzedzał ich ogień". Pierwsze użycie ognia jako broni masowego rażenia opisuje *Biblia*: „A wtedy Pan spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia od Pana (z nieba) ...zobaczył unoszący się nad ziemią gęsty dym, jak gdyby z pieca, w którym topią metal" (*Genesis* 19, 24–29). W *Księdze Jozuego*, napisanej najpóźniej w VI wieku p.n.e., czytamy: „Jozue postąpił z nimi, jak Pan mu rozkazał: konie ich okulawił, a rydwany spalił". „Nie pozostawiono żywej duszy, a Chasor spalono" (*Księga Jozuego*, 9–11).

Miniatura z roku 1290 n.e. przedstawia Greków oblegających Troję; w ich rękach znajdują się zionące ogniem pojemniki skierowane na chroniące miasto mury. Jakieś „ogniste kubły", wypełnione pakiem, siarką, kadzidłem i żywicą, opisał około roku 360 p.n.e. Eneas Taktikos w swoim dziele *Poliorketikon*. Ogniste rury opisuje także Tukidydes we fragmentach dotyczących oblężenia miasta Delion przez beockich najeźdźców w roku 424 p.n.e.

Jeszcze bardziej zadziwiające są wiadomości o ognistej broni Archimedesa, którą zastosował przeciw rzymskim oddziałom oblegającym Syrakuzy w roku 212 p.n.e. Według niektórych źródeł, wroga flota podpalona została za pomocą systemu luster, według zaś innych, napastnicy rażeni byli ze skutecznych dział, zbudowanych według pomysłu uczonego. Około roku 1340 Petrarka określa Archimedesa mianem wynalazcy prochu strzelniczego.

Korzystając z niepełnych, dziś zresztą bezpowrotnie zagubionych notatek Archimedesa, Leonardo da Vinci sporządził w swoich manuskryptach technicznych trzy szkice tajemniczej broni. Według nich, Archimedes wykorzystywał do uruchomienia swoich dział siłę odśrodkową, powstałą w wyniku gwałtownej przemiany wody w parę, przy wykorzystaniu żaru ognia. Dzięki tej sile kule ważące 26 kilogramów (1 talent) leciały na odległość sześciu stadionów (około 1150 m)...

Historycy uważają jednak, że starożytni Grecy nie mogli używać ani pary, ani tym bardziej prochu, nie znali bowiem jego głównego składnika – saletry. To samo sądzą oni o mieszankach hinduskiego boga ognia, Agni, uważając, że polecana w księdze *Arthsatra* z IV wieku p.n.e. do użytku podczas oblężeń mieszanka agniyoga (yoga = mieszanina)to tylko niegroźna mikstura do wywoływania dymu i masa zapalająca.

Mieszanki boga Agni składały się z węgla drzewnego, żywicy terpentynowej, wosku, tłuszczów zwierzęcych, metalowego proszku, siarczku arsenu i wysuszonych nawozów. Są to faktycznie niegroźne materiały palne, ale tylko dopóty, dopóki nie zawierają środka utleniającego.

Ale czyż do dzisiaj nie poddaje się saletry krystalizacji w roztworze wody, aby po wysuszeniu uzyskać jeden z lepszych rodzajów nawozu sztucznego? A czy siarczek arsenu i proszek metalowy nie są do dziś surowcami do produkcji szczególnie „ognistych" materiałów pirotechnicznych? „Szkolny" sposób myślenia – „rzeczy skomplikowane muszą następować po rzeczach prostych" – powoduje powstawanie uproszczeń i myśląc nie sposób przyznać, że w starożytności znane były już mieszanki, zawierające utleniacz, podczas gdy w późnym średniowieczu używano zaledwie posmarowanych smołą, płonących strzał.

Pierwszy znany nam przepis na proch strzelniczy pochodzi z Chin, z roku 1040 n.e. Mieszanka zwie się huo-pao i składa się z saletry, siarki i węgla drzewnego, z dodatkiem paku, wosku, szelaku i oleju. Obok ognistych pocisków, przy użyciu tej mieszanki wytwarzano także bomby z trującym gazem. Cesarskim rozporządzeniem z roku 1067 zakazano nawet eksportu strategicznie ważnej saletry.

W rzeczywistości niewiele wiemy o chemicznej wiedzy ludów starożytnych, która miała zastosowanie przy wytwarzaniu farb, produktów spożywczych i kosmetyków, bądź też wykorzystywana była do sprawdzania czystości metali. Utrzymywana w tajemnicy wiedza przekazywana była najczęściej ustnie, używane substancje oznaczano znakami, symbolami i kryptonimami, utrudniającymi ich identyfikację: „Krew Saturna“ to minia, „Manna metali“ – kalomel (chlorek rtęciowy), „Kości tajfunu“ – żelazo, a „Biała siarka“ to tlenek arsenu. Dlatego też nieliczne dokumenty z dawnych epok są trudne do zrozumienia i w niektórych późniejszych tłumaczeniach znaczenie wielu słów zostało całkowicie przeinaczone.

Apollodoros z Damaszku, nadworny budowniczy cesarza Trajana, opisuje około 110 roku n.e. wysadzanie kamieni i fragmentów murów za pomocą „proszku z węgla drzewnego i octu“. Wywołuje to uśmiech, nawet jeśli znajduje się gdzie indziej potwierdzenie, że „już Hannibal używał octu i ognia do pokonania Alp, ocet bowiem parując wolniej, głębiej wnikał w pory i pęknięcia kamienia“. O zburzeniu wieży przez Metellusa pisze rzymski historyk Dion w 200 roku n.e., także kalif Harun-Al-Rashid (786–809 n.e.) używał „octu i ognia“ jako materiałów burzących, zaś jego syn, kalif Al-Mamun, próbował nawet przy użyciu octu „otworzyć wielką piramidę“.

Proces destylacji znano już w czasach przed narodzeniem Chrystusa. Opisy aparatów do jej przeprowadzania znalazły się w źródłach pochodzących z I wieku n.e., najpóźniej w czasach Bizancjum dokonano destylacji oleju skalnego, czyli ropy naftowej. W czasach antycznych wiedziano także, że podczas spalania witriolu lub ałunu powstają kwaśne pary, ale produkcję kwasu siarkowego i azotowego opisano wyczerpująco dopiero w XIII wieku: kwas siarkowy uzyskiwano podczas ogrzewania w glinianych naczyniach melanterytu lub ałunu, kwas azotowy natomiast z podgrzewania tych samych surowców z saletrą. Wiele surowców organicznych daje się przetworzyć przy użyciu mieszanki obu tych kwasów w materiał o własnościach wybuchowych. Proces ten nazywany jest nitrowaniem. Sole rtęci lub srebra w połączeniu z kwasem azotowym i alkoholem tworzą pioruniany o silnych własnościach wybuchowych. Czy więc produkowano w Kartaginie, ówczesnym światowym centrum, materiały wybuchowe na potrzeby Hannibala? Czy to możliwe, że już na wiele stuleci przed Alfredem Noblem używano materiałów wybuchowych? Być może mury Jerycha zburzono przy ich użyciu, a sygnał trąb był tylko rozkazem danym przez Jozuego?

W wielu starożytnych źródłach mowa jest o tym, że chemia „jest wiedzą pochodzącą od aniołów, którzy wyjawili córkom człowieczym wszystkie tajemnice natury". Zadziwiająco wiele wiedziano dawniej o procesach zachodzących podczas spalania. Diogenes pisał: „Płomień nie może żyć bez powietrza", Filon z Konstantynopola, żyjący w II wieku p.n.e., twierdził zaś, że „ruch ognia pożera powietrze". Znane są także opowieści o „greckim ogniu", zsyłanym w Bizancjum na wroga z prostych syfonów. Wiele jest na ten temat sprzecznych poglądów, ale zdaje się, że jednak nie doceniamy naszych przodków.

ELEKTRYCZNOŚĆ W ŚWIECIE STAROŻYTNYM

Pogląd, że prąd elektryczny został odkryty dopiero w 1820 roku przez H.C. Oersteda, stracił już na aktualności. Potwierdzeniem tej tezy są znalezione podczas prac wykopaliskowych w Iraku zagadkowe, zbliżone kształtem do wazonu przedmioty, które w trakcie dalszych badań okazały się funkcjonującymi bez zarzutu bateriami – choć czas ich powstania określono na około 250 lat p.n.e.

Urządzenie składa się z długiego na 12 centymetrów cylindra uformowanego z miedzianej blachy i zlutowanego cyno-wo-ołowiowym stopem. Przekrój cylindra wynosi około 2,5 centymetra, a od spodu zamyka go szczelnie odizolowany masą bitumiczny miedziany kapturek. Wewnątrz znajduje się żelazny pręt długości 11 centymetrów, którego końcówka, zatopiona również w izolacji ze smoły, wystaje na zewnątrz.

Aby zabezpieczyć całość przed oddziaływaniem bodźców zewnętrznych, umieszczono ją w terrakotowej obudowie w kształcie wazy. Waza ma około 18 centymetrów. Jeśli umieścić tę miedziowo-żelazną konstrukcję w ługu lub kwasie (np. winie, occie lub kwasie z cytryny), otrzymuje się ogniwo galwaniczne. Godny uwagi jest fakt, że chodzi o taki sam układ, jakiego dwa tysiące lat później używał włoski uczony, Luigi Galvani!

Kilkanaście lat temu przeprowadzono w Hildesheim w Niemczech eksperyment, który wprawił zaproszonych ekspertów w niemałe zdumienie: każda z podłączonych do urządzeń pomiarowych baterii wykazała napięcie 0,5 wolta. Udowodniono tym samym, że znalezione w Chujut Rabuah w Seleucji nad Tygrysem czy w sąsiednim Ktezyfoncie miedziane ogniwa to rzeczywiście pochodzące sprzed naszej ery baterie elektryczne.

Pojawia więc się pytanie, czy i inne ludy starożytne nie dysponowały tego rodzaju technologiami. Istnieją pewne dowody, pozwalające odpowiedzieć na nie twierdząco. Wiodą one bezpośrednio do kraju faraonów – Egiptu. Czy kapłani wiedzy, ówcześni naukowcy, znali tajemnicę elektryczności? Jak powstały wspaniałe malowidła ścienne w podziemnych świątyniach czy w Dolinie Królów? Jakich używano źródeł światła?

Pierwsza myśl to pochodnie, świece lub lampy olejowe. Ale zaraz potem pojawia się wątpliwość: ani na sklepieniach świątyń, ani w piramidach nie znaleziono nigdy śladów sadzy. Pochodnie musiałyby pozostawić na sufitach i ścianach zauważalne nawet po upływie stuleci ślady. Jak to wyjaśnić? A może Egipcjanie potrafili konstruować przed tysiącami lat systemy luster, doprowadzające światło do tych budowli? Nie! Praktyczne doświadczenia wykazały, że prawie całe światło słoneczne ulegałoby w drodze do podziemnych krypt rozproszeniu. Niemożliwe byłoby więc ich oświetlenie tym sposobem. I mimo iż powstała teoria o używaniu przez starożytnych Egipcjan nie kopcących pochodni, jej praktyczne sprawdzenie nigdy nie doszło do skutku. Czyżby autorzy pomysłu „ognia bez dymu" obawiali się negatywnego, jak w przypadku luster, wyniku próby?

I oto sześćdziesiąt kilometrów na północ od Luksoru odnaleźć można budowlę, której podróżujący po Egipcie turyści okazują niewiele uwagi. To poświęcona bogini nieba, Hathor, świątynia w miejscowości Dendera. Znajdujące się w jej pobliżu ruiny i monumentalne pozostałości wskazują wyraźnie, że właściwe miejsce kultu to tylko resztka ogromnego kompleksu budowlanego. Dwadzieścia cztery grube kolumny w westybulu ogromnych rozmiarów, trzymetrowej grubości resztki murów to część nadziemna, stanowiąca zaledwie drobny jego fragment. Reszta, dwanaście długich, wąskich i trudno dostępnych krypt, tworzy trzykondygnacyjną, podziemną konstrukcję. Ukryte tu fascynujące płaskorzeźby nie mają ani w Egipcie, ani gdziekolwiek indziej równych sobie, a rozmieszczone w wielu miejscach hieroglify do dziś nie zostały odczytane.

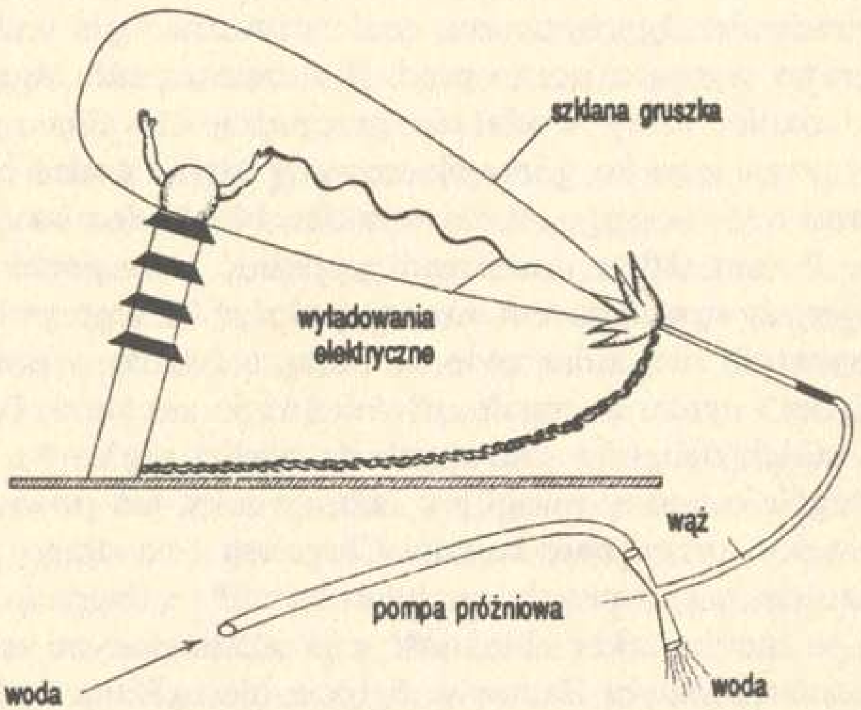

Schemat konstrukcyjny domniemanej żarówki z Dendery.

Cóż więc widać na owych płaskorzeźbach? Ludzkie postacie obok przedmiotów zbliżonych w formie do balonów, które bez zbytniego wysiłku umysłu kojarzą się z ogromnymi żarówkami. Wijące się w nich węże, to łuki elektryczne, kwiat lotosu tworzy oprawkę, z której wychodzący przewód połączony jest z prostokątnym pojemnikiem. Całość opiera się na kolumnie, która każdemu technikowi skojarzy się ze współczesnym izolatorem, jakiego używa się w instalacjach wysokiego napięcia. Kolumna owa, wyposażona w wyciągnięte do góry ramiona, określana jest słowem *djed,* co oznacza stabilność, ciągłość, trwałość... Czyż nie należy szukać prawdziwego znaczenia owej mistycznej podpory w sensie tego słowa? A owa wykuta w kamieniu ogromna biblioteka, gdzie informacje zakodowane są w znanym tylko wysoko postawionym kapłanom języku po to, by ukryć ich wiedzę? Czy to tylko miejsce kultu? Wszak piramida Cheopsa okazuje się być w większej mierze „siedzibą wiedzy" niż grobem faraona...

Aby odpowiedzieć na te pytania, warto sięgnąć również do innych kultur. W jednej z indyjskich ksiąg mądrości, *Kumbhadwaba Agadsyonumi*, znaleźć można opis wykonania ogniwa wytwarzającego prąd: „Po umieszczeniu w glinianym dzbanie, który wody nie przepuści, kawałka miedzi czystej przez jego ku górze skierowany otwór dodać należy siarczanu miedziowego, takoż witriolu, błękitnego jako kark pawia. Potem dzban trocinami wypełnić i na górze blok cynkowy, żywym srebrem natarty położyć. Z tego połączenia powstanie siła, która zwie się Mitra, a światło, z połączenia miedzi i cynku powstałe, również zwie się Mitra. Bateria ze stu takich dzbanów glinianych da wielką siłę".

Szczególnie godny uwagi jest fakt, że tekst ten powstał na wiele stuleci przed narodzinami Chrystusa i na długo przed powstaniem tak zwanych „suchych baterii" z Bagdadu. Odnaleźć tu można także zbieżność z przedstawionymi na jednej ze ścian świątyni Hathor w Egipcie hieroglifami i płaskorzeźbami.

Egipscy rzeźbiarze nie bez powodu przedstawili wyładowania elektryczne pod postacią węży. Symbolika i rzeczywistość splatają się tu wyjątkowo jednoznacznie: wąż jest szybki jak błyskawica, może być śmiertelnie niebezpieczny i w dodatku jest to zwierzę niesamowite. Odgłosy towarzyszące wyładowaniom elektrycznym bądź przeskokom iskier kojarzyć się mogą z sykiem. Ale skąd czerpano energię? Jakie źródła dostarczały prądu?

Udzielenie jednoznacznej odpowiedzi nie jest możliwe, analiza omawianych źródeł informacji zmusza bowiem do wzięcia pod uwagę kilku możliwości. Austriacki inżynier elektryk, Walter Garn, współpracujący z archeologami nad tą problematyką, pisze: „Szeregowe połączenie wielu takich ogniw pozwala na osiąganie bardzo wysokich napięć, podobnie jak w akumulatorach. Można je uzyskać także wykorzystując kurz lub dym, choć zjawiska takie uważane są dzisiaj za niepożądane i raczej się je zwalcza, wykorzystując uziemione taśmy miedziowe, to można jednak, odwracając cały proces, wykorzystywać tego typu efekty do wytwarzania wysokich napięć. Małym kosztem zrobi to również maszyna elektrostatyczna, pracująca przy wykorzystaniu energii wody. Wysokie napięcia dają się wytworzyć również chemicznie. Trudno zresztą znać wszystkie sposoby powstawania prądu. Wystarczy choćby wspomnieć drętwę, rybę porażającą swoją ofiarę tysiącami woltów".

Aby jednak wyjść poza teoretyczne rozważania, W. Garn skonstruował dwa działające modele „żarówek", wzorując się dokładnie na „instrukcji" ze świątyni Hathor. Pierwszy z nich wytwarzał łuk elektryczny, następstwem którego było intensywne oświetlenie znajdujących się w tle przedmiotów, płaszczyzna świetlna miała formę żarówki. Drugi, bardziej interesujący model, to szklana gruszka o długości około 40 centymetrów i średnicy 12 centymetrów w najgrubszym miejscu. Na jednym końcu znajduje się wtopiona za pomocą żywicy płytkowa elektroda, drugi, spiczasty koniec również zalany jest żywicą. Dołączony do żarówki wąż jest szczelnie zamknięty przed dopływem powietrza. Działanie tego modelu było już wielokrotnie prezentowane publicznie.

Warto tu też przypomnieć, że starożytni Egipcjanie byli prawdziwymi artystami w produkcji szkła. Przykładem niech będzie znalezisko, pochodzące ze znajdującego się 25 kilometrów na południe od Kairu grobowca sprzed kilku tysięcy lat. Jest to soczewka powiększająca, wykonana z kryształu górskiego. Kolejna tajemnica... jakich to bowiem urządzeń używano w owym czasie, aby wykonać soczewki optyczne?

Być może i ten sekret zostanie kiedyś wyjaśniony, tak jak odczytanie znajdującego się na południowej ścianie wschodniej komnaty reliefu pozwala wyjaśnić zagadkę uzyskania próżni w staroegipskich żarówkach. Przedstawieni tam czterej mężczyźni rozpryskują jakąś ciecz, prawdopodobnie wodę, znajdująca się w obsługiwanym przez nich urządzeniu.

Wiadomo dziś, że wykorzystując tak zwane ejektory, czyli pompy strumieniowe, uzyskać można relatywnie wysoką próżnię, szczególnie jeśli pracuje ona w układzie kaskadowym. Przy ciśnieniu 40 milimetrów słupa rtęci panującym wewnątrz szklanej gruszki z wprowadzonymi tam dwoma kawałkami metalu już przy bardzo niskich napięciach pojawia się świetlna nitka, łącząca obie metalowe części. Jeśli obniżać ciśnienie wewnątrz gruszki, świetlny wąż rozszerza się, obejmując stopniowo całe jej wnętrze. A to dokładnie odpowiada obrazom z podziemnych korytarzy świątyni bogini nieba, Hathor, w miejscowości Dendera...

MODELE SAMOLOTÓW W STAROŻYTNOŚCI

Egipt jest wieczny. Jasne, słoneczne niebo, od wieków płynące wody Nilu i miłujący pokój lud. Z połączenia tych trzech elementów powstała wielka, stara kultura, która być może dokonała wynalazku latania. Historia tego wynalazku mogłaby zaczynać się od obserwacji słońca, jego drogi zza wschodniego horyzontu, przez środek nieba, aż do zniknięcia na zachodzie. Śledzili jego codzienną podróż z murów świątyń, widząc je jako uskrzydloną tarczę lub skrzydlatego skarabeusza, który zrodzony z ciała Nut, bogini symbolizującej niebo, frunie po nim, by wrócić na łono swojej astralnej matki, a następnego ranka na nowo obdarować świat ciepłem i światłem...

Idea latania pojawiła się w pisanych źródłach egipskich już 2400 lat przed naszą erą. Bóg słońca Re odbywa w niebiańskiej barce codzienną podróż przez firmament w towarzystwie wszystkich kiedykolwiek panujących w Egipcie królów i egipskiego ludu. Niebiańskie barki to poruszające się w powietrzu pojazdy. Frunęły one do horyzontu, gdzie mieszkał bóg Horus. Symbolizował go dwuskrzydły sokół. W cztery natomiast skrzydła wyposażeni byli, przedstawiani pod postacią ludzi lub zwierząt, bogowie wiatrów: wschodniego, zachodniego, północnego i południowego. Ich zadanie polegało na wytwarzaniu wiatru i ustalaniu jego kierun-

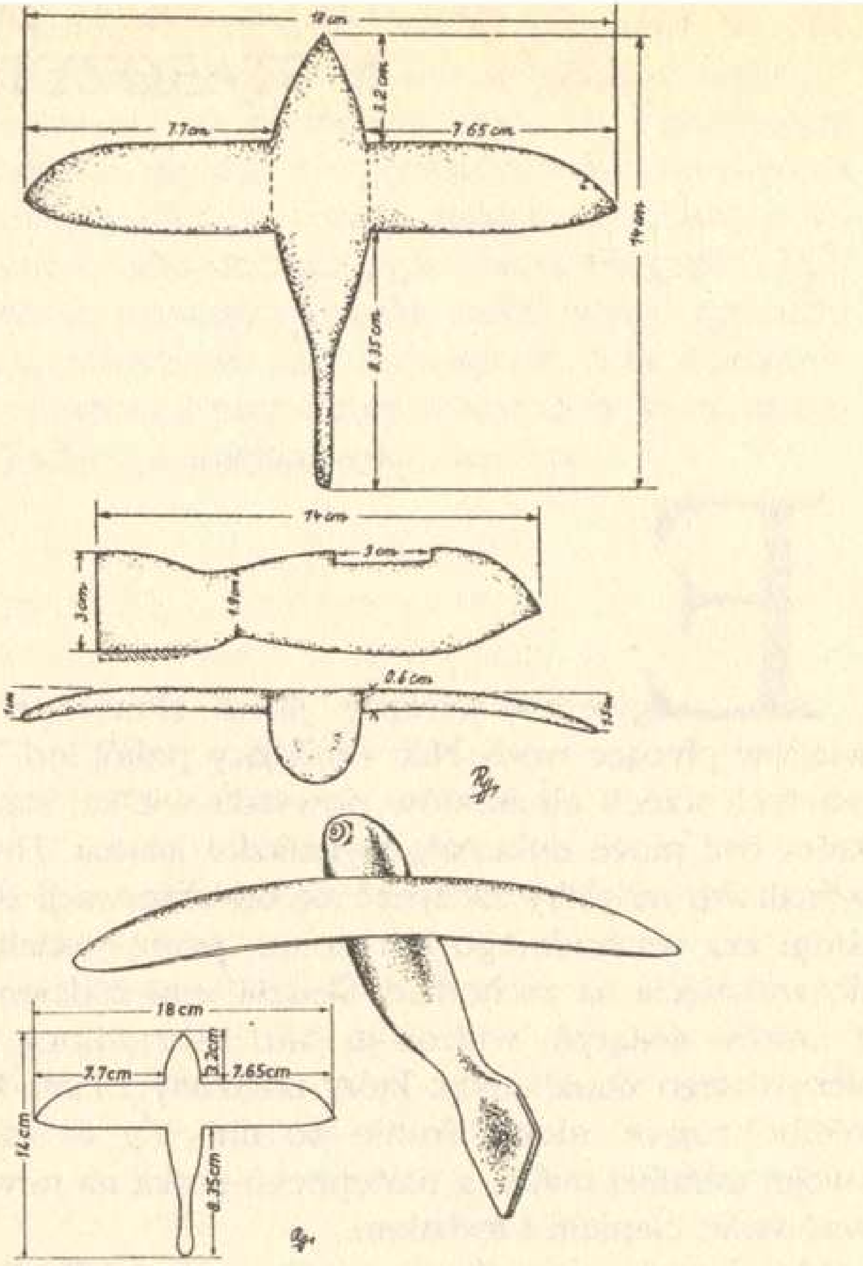
18 cm
7.7cm
7.65 cm
3.2 cm
14 cm
8.35 cm
14 cm
3 cm
3 cm
1.9 cm
0.6 cm
18 cm
3.2cm
7.7cm
7.65cm
14 cm
8.35cm

Egipski model latający z trzynastego stulecia p. n. e.

ku. Najbardziej zadziwia postać wiatru północnego: to dwupłatowiec! Czy to tylko zwariowany wymysł żyjącego w starożytnym Egipcie artysty?

Z czasów rozkwitu państwa egipskiego (1085–341 p.n.e.) zachowało się wiele misternie wykonanych w brązie figurek, przedstawiających uskrzydlone bóstwa. Jedna z tych niezwy-

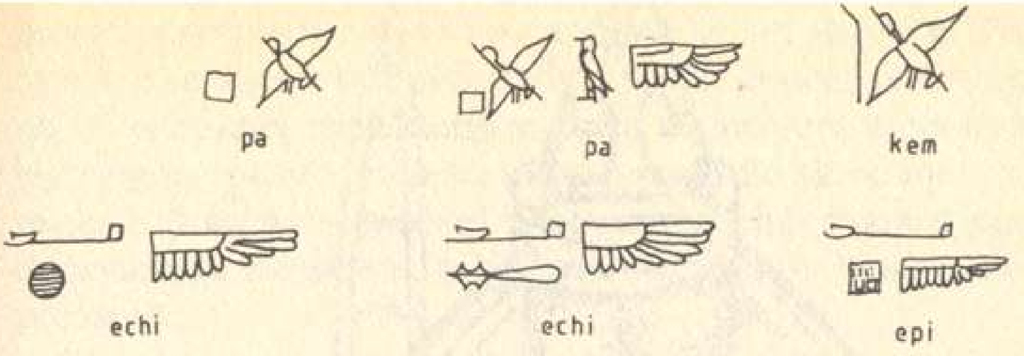

Hieroglify oznaczające latanie lub fruwanie.

kle interesujących figur wyobraża uskrzydlonego młodego mężczyznę z wyciągniętymi ramionami i czterema skrzydłami, po dwa z każdej strony. Dodatkowo ma on jeszcze jedną parę ramion z przodu i kark ze skrzydłami sokoła. Widocznie autor chciał poprzez tę wielość skrzydeł i wyciągnięte ramiona wywołać wrażenie, iż mężczyzna ten fruwa.

W piśmie staroegipskim istnieją różne słowa i symbole oznaczające latanie. Każde z nich oznaczone jest symbolem ptaka lub skrzydła. Słowo „kema", co znaczy „rzucony pręt" lub „bumerang", przedstawiane jest jako frunąca kaczka. Starożytni Egipcjanie znali bowiem bumerang, mający formę skrzydła z zagięciem, umożliwiającym powrót do rzucającego.

W owym czasie działało wielu nadzwyczajnych ludzi nauki, jak choćby Heron z Aleksandrii, który zasłynął wieloma wynalazkami. To on wynalazł pierwszą na świecie turbinę. Najbardziej godna uwagi jest jednak maszyna jego konstrukcji, która za pomocą mieszanki sprężonego powietrza i pary wodnej poruszała skrzydła modelu ptaka. Za właściwego jednak wynalazcę modelu samolotu uważa się człowieka o imieniu Pa-Di-Men, żyjącego u schyłku tzw. „epoki nauki" (300–250 p.n.e.). Całokształt rozwoju techniki zainspirował go do skonstruowania wielu zróżnicowanych modeli samolotów. Jeden z nich, wykonany z drewna morwowego, znajduje się dziś w muzeum kairskim jako eksponat oznaczony numerem 6347.

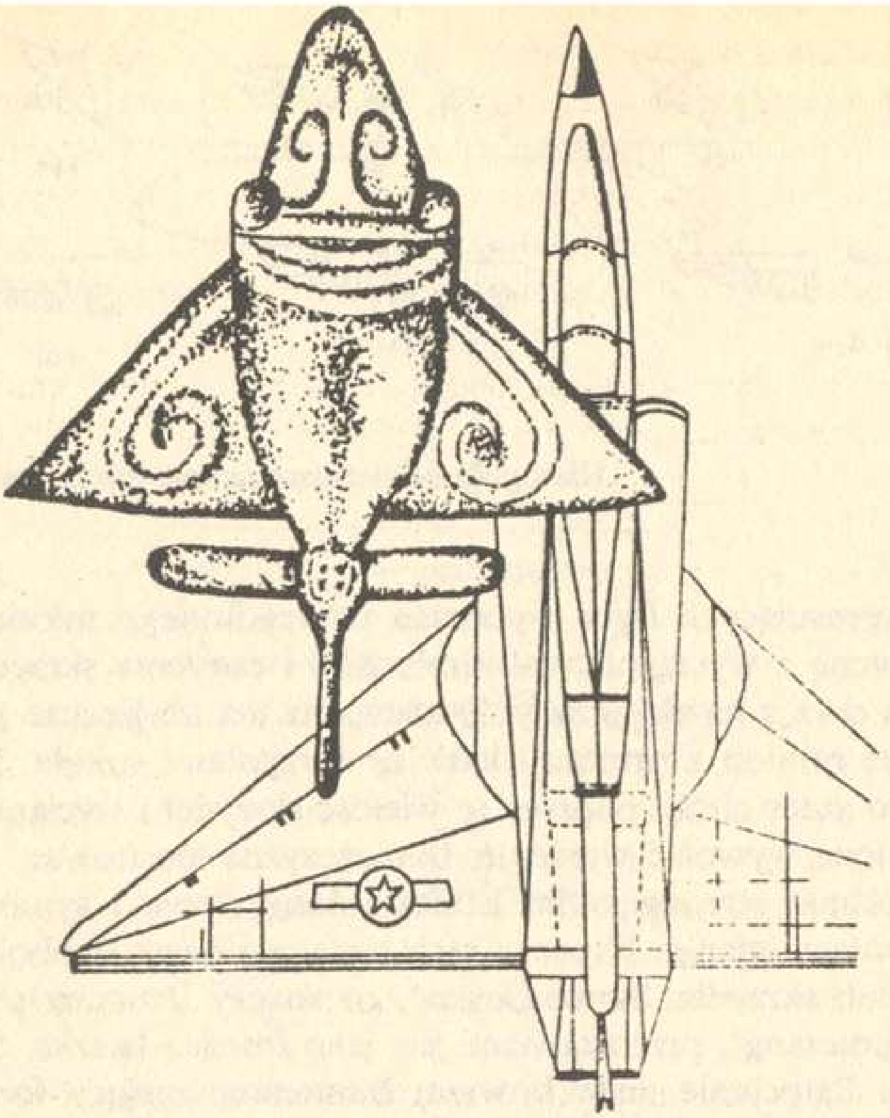

Model samolotu z Kolumbii.

Jest to jednopłatowiec o skrzydłach wykonanych z jednego kawałka drewna. Ich rozpiętość wynosi 18 centymetrów, przy czym najgrubszy odcinek znajduje się pośrodku – im dalej od kadłuba, tym stają się one węższe. Ich aerodynamiczny kształt i forma odpowiadają obrysom skrzydeł samolotów współczesnych. Kadłub, wykonany z tego samego co skrzydła materiału, mierzy od dzioba do końca ogona 14 centymetrów i jest również znakomicie uformowany pod względem aerodynamicznym. Dziób samolotu ma kształt piramidy, po prawej stronie namalowane jest oko. W nagrubszym miejscu kadłuba, w górnej jego części, znajduje się prostokątne wycięcie, w którym mocuje się skrzydła. Połączenie skrzydeł i kadłuba tworzy jedną gładką powierzchnię. Najbardziej charakterystycznym elementem modelu jest jego ogon, prosto umieszczony statecznik pionowy o wymiarach 3 na 4 centymetry. Wyłamany dolny róg jest prawdopodobnie miejscem, gdzie umieszczone były stateczniki poziome...

Wynalazca i konstruktor modelu musiał poświęcić wiele czasu na studiowanie lotu ptaków, formy ich skrzydeł i kształtu ciała, a także współpracy tych elementów. Współcześni specjaliści z zakresu aerodynamiki i inżynierii lotniczej, badający wykonany przez Pa-Di-Mena model, twierdzą, że jest to wierne odwzorowanie samolotu, choć nie brak w świecie dyskusji na ten temat. Na zabytkowym, pochodzącym z jedenastego wieku przed Chrystusem obrazie (*Oblężenie Antiochii*) dostrzec można ogromny, zaopatrzony w potężny łuk trójnóg. Maszyna ta bombarduje fortecę za pomocą „ognistych ptaków", prawie identycznych z modelami samolotów z czasów faraonów.

Opisany wyżej eksponat nie stanowi jednak odosobnionego przypadku.

W kolumbijskim State Bank w Bogocie przechowywany jest przedmiot przez wiele lat uważany przez archeologów za ozdobę związaną z wierzeniami religijnymi Majów. Badania przeprowadzone przez nowojorski Instytut Lotnictwa wykazały jednak, że ten zabytkowy wytwór sztuki ma wiele cech wskazujących na to, że jest modelem samolotu. Posiada dwa płaty nośne (delta) oraz dwa stateczniki poziome w tylnej części. Jest to konstrukcja stosowana współcześnie, a cały szereg podobnych modeli, znalezionych podczas prac archeologicznych w Ameryce Południowej, znajduje się w państwowych i prywatnych zbiorach muzealnych w różnych częściach świata.

LATAJĄCE MASZYNY I MIASTA KOSMICZNE

Starożytne teksty hinduskie jak *Wedy, Mahabharata, Ramajana* i inne dzieła są stosunkowo mało znane Europejczykom. A to właśnie one stanowią prastarą spuścizną literacką subkontynentu indyjskiego, zawierającą sugestie o obecności na naszym globie istot pozaziemskich. Zajrzyjmy zatem do nich.

Wedy opisują urządzenia, które mogły poruszać się w powietrzu i przestworzach. W śpiewach, opiewających bliźniaczych bogów o imionach Rhbus i Indra, których można by określić dzisiaj jako „fizyków wśród bogów“, pojawia się określenie „ratha“, co oznacza „niebiański wóz, który się porusza“. W *Ajurwedzie* po raz pierwszy pojawia się tajemnicze słowo „wimana“, oznaczające „coś, co przemierza niebo i porusza się po nim niczym ptak“.

Rhbus, bóstwo i architekt w jednej osobie, zbudował pojazd powietrzny. Był on trójkątny, przestronny, miał trzy koła, a nadto leciał po niebie szybciej niż myśl. Zaopatrzony był w trzy nogi do lądowania, a wykonany głównie ze złota, srebra i żelaza. Kierowało nim trzech pilotów (tribandhura), na pokładzie miał miód, sfermentowany ryż, alkohol i był komfortowo urządzony. Trzy rodzaje paliwa, w tym przypadku płynne materiały palne, znajdowały się w trzech zbiornikach w górnej części pojazdu. Czwarty, „naczynie

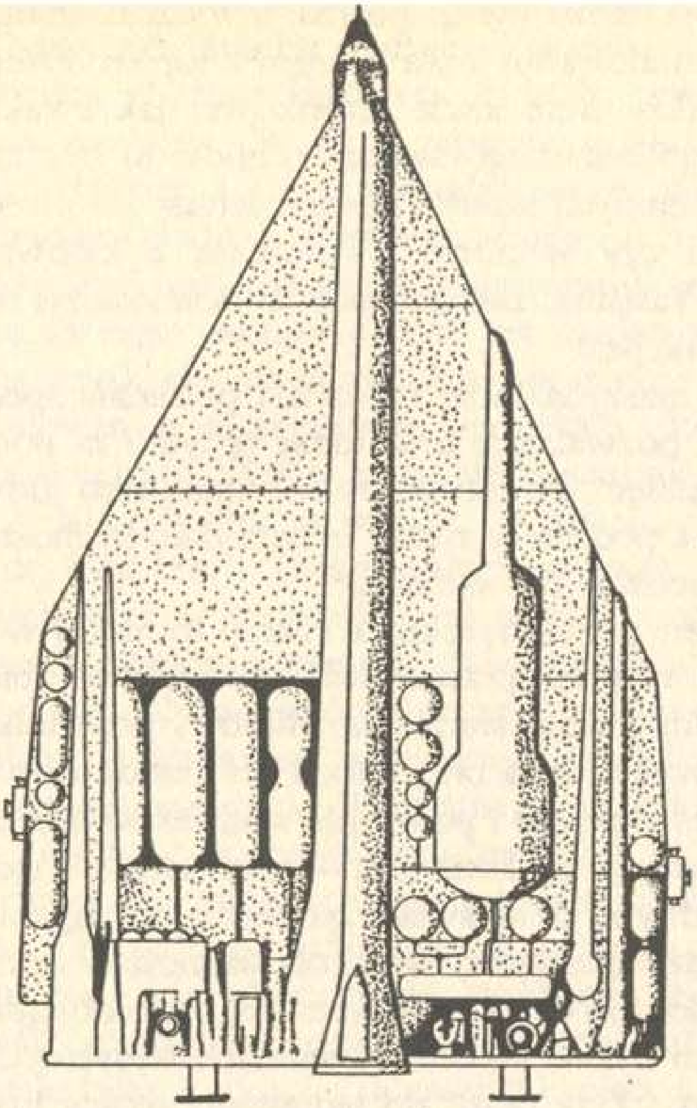

Sundara-Wimana.

sporządzone ze skóry, wypełnione ekstraktem rośliny soma (?)" znajdował się wewnątrz. Pasażerami tego pojazdu – łącznie z pilotami sześć lub siedem osób – były boskie istoty w ludzkiej postaci.

Sajana, pochodzący z XIV wieku n.e. komentarz do ksiąg wedyjskich, mówi, że bóstwa te przybywały z dalekich obszarów nieba. Dzięki latającemu pojazdowi Rhbus cieszył się wśród bogów wielkim uznaniem. Aparat zniżał się z wielką szybkością, a na ziemi pozostawiał ślad trzech kół po lądowaniu. Miał do wykonania trzy loty w ciągu dnia i trzy w nocy. Być może był to pojazd w rodzaju amfibii; istnieje przekaz o uratowaniu króla Bhujjyu z topieli. Przeprowadzane były także inne akcje ratunkowe, jak ewakuacja Atri i Trita z „podziemnego świata“ (chodzi tu być może o system podziemnych jaskiń), obrona Jahusy (?) przed wrogimi oddziałami czy wreszcie uwolnienie z katowni mędrca o imieniu Vasistha. Latający pojazd uczestniczył we wszystkich tych akcjach.

Latająca maszyna Indry natomiast posiadała specjalne wyposażenie, pozwalające uruchomić ją tylko za pomocą „magicznych zaklęć“, co można by rozumieć jako rodzaj zdalnej kontroli. Na podstawie tych i innych danych można spróbować naszkicować ów samolot.

Wykonany przez dyrektora szkoły lotniczej w Kalkucie, T.K. Deba, rysunek przedstawia dolną stronę obiektu, jego dolną kondygnację, siedzenia pilotów, pojemniki na rtęć, boczne skrzydła, koła oraz napęd do przodu i do tyłu. Trójkątny obrys skrzydeł i położenie siedzeń wskazują na horyzontalną pozycję podczas lotu – poza startem i lądowaniem, a ich układ typu delta świadczyć może o osiąganiu prędkości ponaddźwiękowych. Trzy koła zajmują w opisach wiele miejsca, choć chodzi tu zapewne o służące do lądowania talerze, jakich używa się dziś w sondach wysyłanych na Księżyc i Marsa. „Trzy nogi“ do lądowania mogły być również urządzeniami do przyjmowania na pokład pasażerów lub towarów.

Opisy pochodzą od obserwatorów, którzy zetknęli się z małym pojazdem o powierzchni wnętrza około 72 metrów kwadratowych, przeznaczonym maksymalnie dla siedmiu osób. Z trzech wymienianych metali najbardziej nadaje się do jego budowy żelazo lub stal. Złoto i srebro nie są metalami używanymi w konstrukcjach lotniczych. Jeśli jednak postawić się w sytuacji ówczesnego obserwatora, to metale takie jak chrom, tytan lub beryl mogły być uważane za srebro lub złoto.

Możliwości takiego samolotu były zdumiewające, czego dowodem są opisy wspomnianych akcji ratunkowych. Jedynie ze względu na szczupłość opisu nie można uważać za wystarczające danych dotyczących amfibicznego charakteru pojazdu. Cztery pojemniki z cieczą to zbiorniki paliwa. Trzy z nich z metalu, zbliżone kształtem do kotła, czwarty w formie mieszka ze skóry. Chodzi tu zapewne o jakiś elastyczny materiał syntetyczny, a nie o naturalną skórę. *Wedy* mówią o użyciu miodu (madha), sfermentowanego ryżu (anna), likieru (sara) i rtęci (rasa). Podczas podgrzewania rtęci wytwarza się gaz, którego energetyczność jest bardzo wysoka, co pozwala na uzyskanie dużej siły ciągu, potrzebnej przy starcie. W zbudowanym na podstawie wedyjskich tekstów pojeździe użyto mniej niż 2,5 litra rtęci, ale więcej niż 250 litrów alkoholu. Z dalszych opisów wynika, że pojazd mógł osiągać prędkość do 2400 km/h. Uwagę zwraca również rozkład poszczególnych stref w konstrukcji: a) pokład z obciążeniem użytkowym, b) platforma pilotów, c) kabina pasażerska i system napędowy. Wykazuje on zbieżność ze współczesnymi rozwiązaniami, stosowanymi w konstrukcjach lotniczych.

Inny poemat staroindyjski, *Ramajana*, opisuje loty pojazdu o nazwie „puspaka" w sposób jednoznaczny. Mówi się tam o nim w czternastu miejscach, między innymi we fragmencie dotyczącym podróży, którą Ravana odbył w przypominającej „spiczastą górę" konstrukcji. Mogła ona „latać z prędkością myśli", „zdobiona była złotem i srebrem", siedzenia jej wykonane były z „drogich kamieni" i miała wiele „komnat". Z zewnątrz błyszczała niczym srebro, posiadała małe okienka, obramowane perłami. Pojazd miał też żółte emblematy. Wewnątrz znajdowały się wspaniale wyposażone pomieszczenia. Dolne piętro było obszerne, „ozdobione kryształem" i drogocennymi dywanami. „Małe dzwoneczki rozbrzmiewały przyjemnie podczas lotu", w którym uczestniczyć mogło dwanaście osób. Maszyna wystartowała z Cejlonu rano, a stolicę Ayodhya osiągnęła po południu. Oznacza to odległość około 2900 kilometrów, pokonaną w około dziewięć godzin. Biorąc pod uwagę dwa międzylądowania w Kiskindhya i Vasisthasrama, daje to prędkości 300–320 km/h, przy czym należy wziąć pod uwagę, iż lot odbywał się wczesną zimą, a więc przy niesprzyjających wiatrach monsunowych. Warto jeszcze dodać, że wszystkie źródła na określenie latającego pojazdu używają wspomnianego wcześniej terminu „wimana"; jedynie w dwóch przypadkach zastąpiono go określeniem „pałac królewski".

Sabhaparvan to źródło ważnych wiadomości o niebiańskich istotach. Według tego dzieła, bogowie przybyli w dawnych czasach na Ziemię i przybrawszy ludzką postać, wędrowali po świecie. W tym kontekście mowa jest także o olbrzymich konstrukcjach, które poruszały się po niebiańskich torach jak współczesne satelity. Każda z tych kosmicznych stacji posiada swoje „wimany", a ich właścicielami są bogowie Indra, Brahma, Rudra, Yama, Kuvera i Varuna. Stacje były olbrzymie, lśniły srebrem w blasku słońca i gwiazd, komfortowe wyposażenie umożliwiało przyjemne życie; były także zaopatrzone w broń i amunicję. Jedna z nich zbudowana została przez Brahmę dla demonów Puloma i Kalaka. Przez długi czas nie dopuszczali oni do stacji nikogo, nawet bogów. Dopiero Arjuna na prośbę Matali pokonał stację demonów (asurów). Po ciężkiej walce, rozerwana potężną eksplozją wystrzelonej przez Arjunę rakiety, stacja demonów pogrążyła się w oceanie...

Sabhaparvan opisuje ponadto skonstruowaną przez Mayę stację kosmiczną, dysponującą hangarami, umożliwiającymi dokowanie mniejszych jednostek.

A oto co czytamy w *Vanaparan*: „Miasto lśniło i wyglądało pięknie, pełne domów, drzew i wodospadów. Miało cztery wejścia i strzeżone było przez czterech wartowników, uzbrojonych w straszliwą broń".

Mahabharata wspomina o latających maszynach w czterdziestu jeden miejscach; wiele tu opisów powietrznych bitew. Niezależnie od swojej postaci, latające maszyny były w starożytnych Indiach czymś tak znanym, że nawet mówi o nich w swoim edykcie jeden z władców Indii, Aśoka, panujący w latach 256–237 p.n.e.

Kathasaritsagar, zbiór dawnych opowieści i legend z X wieku n.e., opisuje cztery rodzaje mechanicznych urządzeń, mogących poruszać się na lądzie, w wodzie, w ogniu i w powietrzu. Maszyny latające zwą się także i tu „wima-

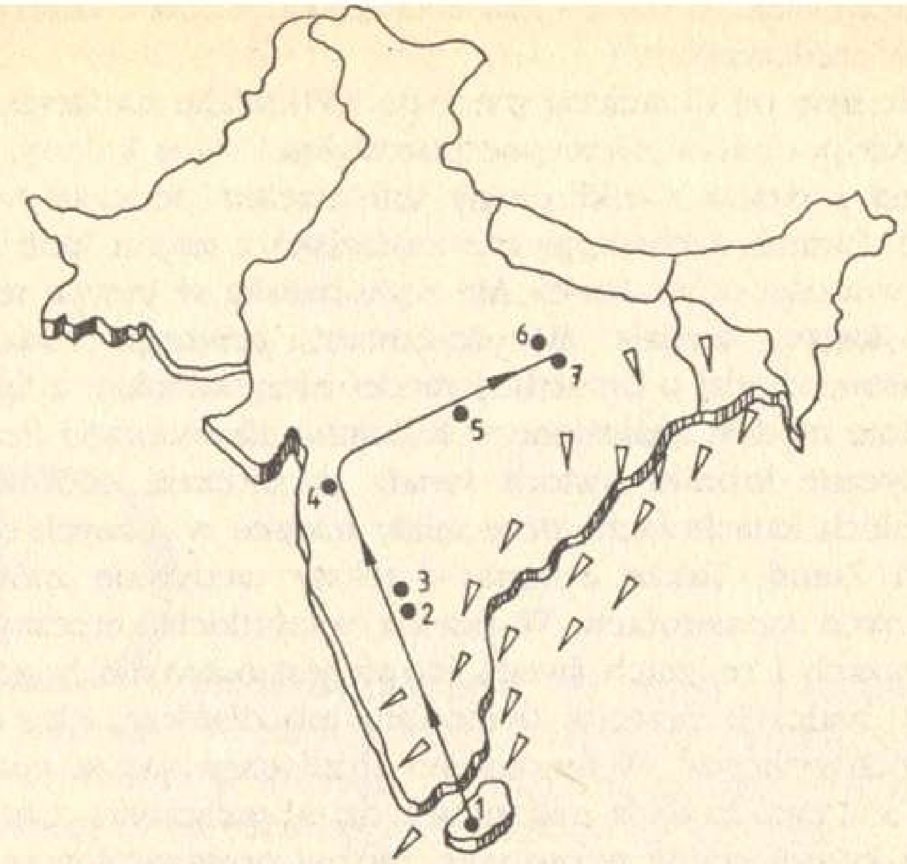

Podróże powietrzne Ramy nad subkontynentem indyjskim

1 Lauka (Ceylon)
2 Kriszkindjâ
3 jezioro Pampa
4 pustelnia w Agastya
5 pustelnia w Sanabhauga
6 pustelnia w Bhanadwaja
7 stolica Aydohya

na“, a mowa jest o nich w dziesięciu miejscach. Znajduje się tu m.in. opowieść dwóch braci o imionach Pranadhara i Rajyadhara, którzy opanowali sztukę budowania latających pojazdów z drewna na podstawie starych rysunków Mai. Pokonali oni odległość około 260 kilometrów, a potem latali także królowie i księżniczki. Sugeruje to, że chodzi o motoszybowiec, choć niestety, brak informacji o rodzaju używanego paliwa.

Trzeba w tym miejscu postawić dwa pytania: czy jest jakiś pewny materialny dowód na istnienie kiedykolwiek tych latających maszyn oraz – jeśli taki dowód istniał – dlaczego się nie zachował?

Indie były od III stulecia p.n.e. do XVII wieku n.e. terenem częstych podbojów. Bezcenne pozostałości starej kultury, biblioteki i dzieła sztuki uległy zniszczeniu podczas walk z najeźdźcami. Archeologiczne znaleziska z terenu Indii nie mają wartości dowodowej. Ale wykopaliska w innych rejonach świata wydają się dostarczać pewnego rodzaju dowodów: chodzi o drewniany model jakby samolotu z Egiptu i złote modele znalezione w Kolumbii, Ekwadorze i Peru.

Antyczne kroniki historii świata dostarczają informacji o wielkich katastrofach, które miały miejsce w różnych częściach Ziemi. Także *Puranas* i teksty wedyjskie mówią o różnych katastrofach. W prawie wszystkich antycznych przekazach i religiach świata mowa jest o wojnie bogów, którzy walczyli przeciw demonom lub diabłom, aby ich w końcu pokonać. W hinduskich źródłach wojna ta opisywana jest jako zagłada milionów ludzi w połączeniu z przemianą żyznej krainy w pustynię. Można postawić hipotezę, że wchodzi tu w grę termonuklearny konflikt, który według różnych przypuszczeń mógł mieć miejsce około 1500 lat p.n.e. Badacze *Wed* wskazują inną datę: około 3000 lat przed Chrystusem.

Z pochodzącego z XIII wieku n.e. dzieła mędrca o imieniu Bhoya wynika, że z latających maszyn korzystali bogowie, królowie i szlachetnie urodzeni. W wyniku wojny przeciw demonom większość dopuszczonych do tajemnicy pilotażu zginęła, a nieliczne „samoloty", które przetrwały, pozbawione zostały pilotów. Zagłada była ogromna, gdyż – jak się pisze – zginęło tylu przedstawicieli płci męskiej, iż zastrzeżone dotychczas tylko dla nich rytualne czynności pochówkowe przejęły kobiety.

Samoloty, statki i stacje kosmiczne są rzeczywistością w źródłach pisanych Indii okresu wedyjskiego i postwedyjskiego.

Aż wierzyć się nie chce, że to wszystko mogło narodzić się z czystej wyobraźni...

ŚLADY Z NAJDALSZEJ PRZESZŁOŚCI

Dwóch kanadyjczyków, W. Irwing z uniwersytetu w Toronto i C. Harington z towarzystwa zrzeszającego narodowe muzea w Ottawie, dokonali na początku lat siedemdziesiątych niepozornego, zdawałoby się, odkrycia. Znaleźli piszczel karibu. Ale już pierwsze oględziny nie pozostawiały wątpliwości; kość służyła człowiekowi jako narzędzie. Nosiła wyraźne ślady ostrzenia (prawdopodobnie kamieniem) i miała regularnie powycinane szczerby, co sugerowało, iż był to przyrząd do czyszczenia skór.

Poszukiwania najwcześniejszych śladów działalności ludzkiej na terytorium Ameryki Północnej trwały nieprzerwanie od dziesiątków lat. Wszystko wskazywało, że padł kolejny rekord. Wraz z „drapaczką" znaleziono dwie skamieniałe kości mamuta. Naukowcy stwierdzili, że ktoś musiał je połamać, gdy były jeszcze świeże. Wiek wszystkich trzech znalezisk ustalono metodą radiowęglową. Wynik badania potwierdził wcześniejsze przypuszczenia. Znalezione kości miały 25–32 tysięcy lat. Wynika stąd wniosek, że już tak wiele lat temu ludzie zamieszkujący okolice rzeki Old Crow, koło granicy z Alaską, gdzie dokonano odkrycia, posługiwali się narzędziami.

Gdy jedni zajmowali się rękami amerykańskich praojców, inni poszukiwali odcisków stóp. Znaleziono ślady, które pochodzą z czasów dużo odleglejszych niż prymitywne narzę-

dzia. Ich powstanie szacuje się bowiem na drugą część okresu karbońskiego ery paleozoicznej, to znaczy około 250 milionów lat temu. Odkrycia dokonał w latach trzydziestych doktor Wilbur Greely Burroughs, dyrektor Wydziału Geologii college'u w Berea. Znalazł on aż dziesięć pełnych śladów człekokształtnej istoty i kilkanaście fragmentarycznych. Wszystkie odciśnięte były w piaskowcu i pochodziły z terenów wzgórz stanu Kentucky, które kiedyś stanowiły piaszczystą plażę. Doktor Burroughs utrzymywał odkrycia w tajemnicy przez siedem lat. Sam chciał najpierw dokładnie zbadać odciski nieznanej dwunożnej istoty, która mogłaby nosić buty o numerze siedem i pół.

Świat dowiedział się o odkryciu dopiero w 1953 roku. Jednak artykuł w „Courier-Journal" był również powściągli-

Ślady stóp sprzed 250 milionów lat.

wy. „Trzy pary śladów ukazują odciski lewej i prawej stopy. Jedna z par przedstawia «ruch» – przesunięcie lewej kończyny względem prawej. Odległość między piętami wynosi 45 centymetrów. Na innym odcinku stopy ułożone są równolegle do siebie. Odległość między nimi jest taka sama jak u człowieka".

Doktor Burroughs był bardzo ostrożny w określaniu istoty, do której należały stopy, bał się i przestrzegał innych przed wyciąganiem pochopnych wniosków. Z dotychczasowych źródeł wynikało bowiem, że teren, na którym dokonano odkrycia, człowiek zamieszkiwał dopiero od około półtora miliona lat. Czy przyszedł czas na weryfikację dotychczasowej wiedzy antropologicznej?

„Wyglądają na ludzkie" – odpowiadał dyplomatycznie przyparty do muru doktor Burroughs. Ślady odcisków bezsprzecznie wskazywały na stworzenie dwunożne, stawiające stopy jak człowiek, posiadające piętę i pięć palców, poruszające się wyłącznie na kończynach tylnych. Wobec tylu zbieżności z istotą ludzką osobnik sprzed 250 milionów lat otrzymał nazwę *Phenanthropus mirabilis* (podobny do człowieka).

Karbon był okresem panowania olbrzymich płazo-gadów. Zastanawiano się więc, czy przypadkiem nie któryś z nich odcisnął „łapki" na piasku plaży. Doktor Burroughs uważał, że jest to raczej niemożliwe, gdyż nie znaleziono żadnych śladów kończyn przednich, a niektóre bloki piaskowca mają wystarczająco dużą powierzchnię, aby i one się zmieściły. Brak odcisków podbrzusza i ogona świadczył dobitnie, że istota chodziła wyłącznie na tylnych kończynach.

Wkrótce pojawiło się też pytanie, czy owe ślady nie są przypadkiem dziełem starożytnych (lub może nawet współczesnych) rzeźbiarzy. W tym celu wykonano szereg fotografii mikroskopowych oraz zdjęć przy użyciu promieni podczerwonych, które nie wykazały nawet najmniejszych śladów ingerencji jakichkolwiek narzędzi.

Potwierdzenie, że ślady są autentyczne, przyniosło też inne, żmudne i godne Kopciuszka badanie. Doktor Burroughs przyjrzał się dokładniej niektórym z głębszych śladów. Na ich brzegach znajdowała się wypukła otoczka, taka jaka powstaje przy postawieniu stopy na miękkim gruncie. Oczywiście zdolny rzeźbiarz poradziłby sobie i z tym problemem. Naukowcy znów sięgnęli po mikroskopy.

Aby wykluczyć możliwość pomyłki, pracowali w dwóch grupach. Ich zadanie było bardzo podobne do pracy dzisiejszych laborantów, którzy liczą czerwone i białe ciałka krwi. W tym wypadku należało policzyć... ziarenka piasku przypadające na określoną jednostkę powierzchni. Badanie polegało na oznaczeniu gęstości ułożenia ziarenek wewnątrz odcisku oraz na zewnątrz. Wyniki obu grup były identyczne. Dużo większe zagęszczenie występowało wewnątrz śladu. Teraz nie było już wątpliwości, że odciski powstały,

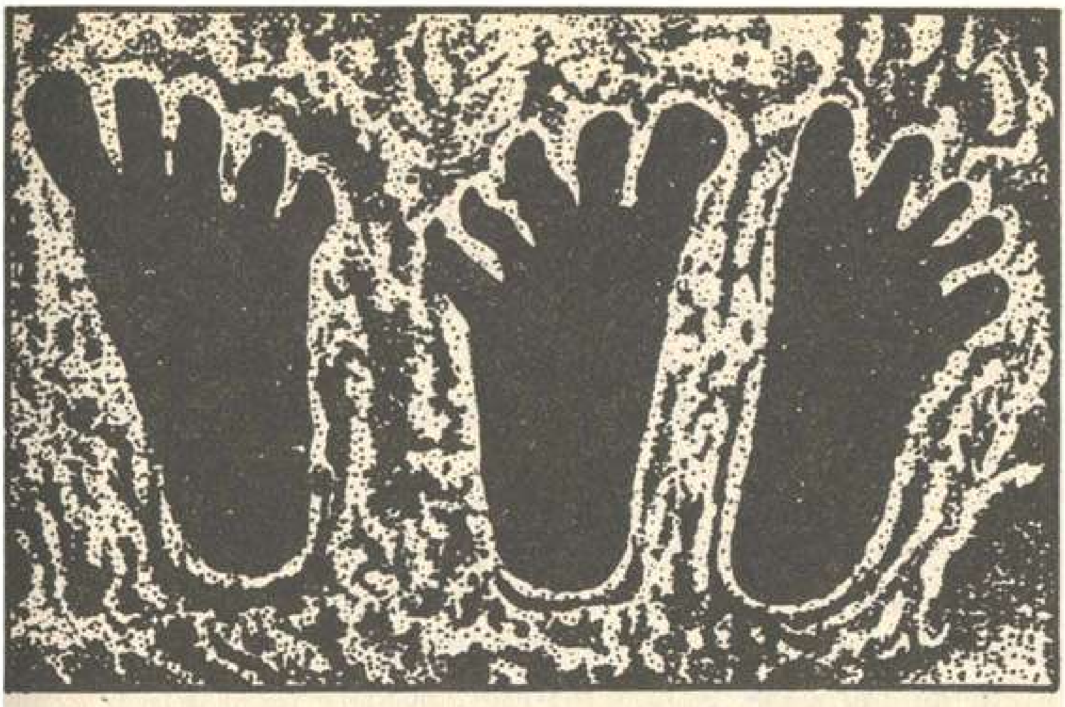

w czasie gdy piasek był jeszcze miękki, a ziarenka zbiły się pod ciężarem *Phenanthropus mirabilis*.

W czerwcu 1968 roku dokonano jeszcze bardziej niezwykłego odkrycia. William J. Meister z żoną i dwiema córkami oraz państwo Shape wybrali się do Antelope Springs w stanie Utah, gdzie zamierzali spędzić cztery dni. Pan Meister jest zapalonym zbieraczem skał i trylobitów, czyli prymitywnych kopalnych stawonogów morskich. Stworzenia te żyły w okresie kambru w erze paleozoicznej, czyli około 600 milionów lat temu. Ich ciało miało budowę segmentowaną, podzielone było na tarczę głowową, tułów i tarczę ogonową. Trylobity osłonięte były grubym, silnie zwapniałym pancerzem. Dzisiaj stanowią jedne z najstarszych skamielin znanych człowiekowi.

Trzeciego dnia pobytu w Antelope Springs znaleziono w końcu kilka okazów. Pan Meister rozbił około pięciocentymetrowy blok skalny i to, co ujrzał, przerosło jego najśmielsze oczekiwania. Na jednej stronie skały widniał odcisk ludzkiej istoty, a w niej skamieniałe trylobity. W innym miejscu znajdował się ślad stopy... przyodzianej w sandał! Wewnątrz tego śladu również znajdowały się skamieniałe skorupiaki. Znalezienie kopalnych organizmów wraz z innymi odciskami ma zasadnicze znaczenie. Pozwala bowiem w miarę precyzyjnie określić czas ich powstania.

Odcisk sandała pochodził z prawej nogi, a wielkością wręcz idealnie odpowiadał obuwiu człowieka. Jego długość wynosiła 26 centymetrów, szerokość 9 centymetrów (7,5 centymetra w pięcie). Odcisk pięty był około trzy milimetry głębszy od reszty podeszwy. Jest to bardzo ważny szczegół, gdyż wskazuje on na charakterystyczny dla człowieka rozkład ciężaru ciała.

Aby uzmysłowić sobie niezwykłość odkrycia, wystarczy spojrzeć na kilka okresów rozwoju historii Ziemi. Człowiek zaczął tworzyć pierwsze cywilizacje około 7 tysięcy lat temu, 25–40 tysięcy lat wcześniej był już dominującym gatunkiem na planecie. Zanim do tego doszło, następował długi i powolny rozwój, który rozpoczął się wraz z końcem panowania gadów, a było to mniej więcej 70 milionów lat temu. Uważa się, że w tym czasie istota spokrewniona z *Homo sapiens* zaczęła prostować kręgosłup. Dinozaury były panami planety około 200 milionów lat temu. Znalezione odciski są jeszcze o ponad 300 milionów lat starsze! Czy to w ogóle możliwe, aby odziana w sandały dwunożna istota przechadzała się po Ziemi, którą w owym czasie zamieszkiwały jedynie proste i stosunkowo prymitywne organizmy?

Wkrótce okazało się, że podobnego odkrycia dokonano już wcześniej, także w okolicach Antelope Springs. Pan Dean Bitter, nauczyciel z Salt Lake City, znalazł dwa odciski sandałów. W tym wypadku nie zawierały one skamieniałych trylobitów, które można było jednak znaleźć w tym samym bloku skalnym. Wskazywało to również na kilkusetmilionową historię śladów nieznanej istoty.

Tak, nieznanej, gdyż nikt nie miał odwagi nazwać jej człowiekiem. „Jest tu pewien problem – mówił James Madsen, kustosz Muzeum Nauk o Ziemi przy uniwersytecie stanowym w Utah – ponieważ trylobity i człowieka dzieli setki milionów lat". Sześćset milionów lat temu nie było przecież ludzi. Daleko było do pojawienia się małp, od których podobno człowiek się wywodzi! Cóż więc mogło być owym stworzeniem, stąpającym po naszej planecie przed powstaniem kręgowców?

Wieloletnie zdobycze geologii i antropologii zostały poważnie zagrożone. Ponieważ nikt nie miał podstaw, aby przypuszczać, że dowody zostały sfałszowane, powstały inne teorie. Doktor Jesse Jennings z Wydziału Antropologii uniwersytetu w stanie Utah, szukając naturalnej przyczyny powstania odcisku znalezionego przez Meistera, wysnuł hipotezę, iż jest to ślad ogromnego trybolita, osiadłego na trzech mniejszych.

Meister postanowił szukać dalszych dowodów. 4 lipca 1968 roku wybrał się ponownie w okolice Antelope Springs, tym razem w towarzystwie doktora Clarence'a Coombsa z Columbia Union College w stanie Maryland i geologa Mauricego Carlisle'a z uniwersytetu w Boulder w stanie Colorado. Geolog przez kilka godzin kopał w ziemi, aż znalazł pewien rodzaj łupka. Przekonało go to, że znalezienie w tamtejszych skałach wiekowych odcisków jest bardzo prawdopodobne, albowiem skały te stanowiły swego czasu powierzchnię lądu.

Geologiczne potwierdzenie przynajmniej potencjalnych możliwości występowania w okolicach Antelope Springs bardzo starych odcisków sprowadziło w to miejsce kolejnego geologa, doktora Clifforda Burdicka z Arizony. Już pierwszego dnia miał ogromne szczęście znaleźć skałę łupkową z odciskiem gołej stopy dziecka z niewyraźnie zarysowanymi pięcioma palcami. Odcisk miał około 15 centymetrów długości. Rozstawione palce wskazywały, że dziecko nie chodziło wcześniej w butach, które uformowałyby ściślejszy układ stopy. Podbicie prawie w ogóle nie było zaznaczone, stopa była płaska, a kciuk nieproporcjonalnie mały.

Znalezisko zostało przedstawione dwóm profesorom geologii i jednemu paleontologowi. Geolodzy nie mieli najmniejszych wątpliwości, że mają do czynienia z odciskami „przypominającymi wyglądem ludzką stopę". Paleontolog wyraził przekonanie, że taki kształt musiał powstać w sposób mechaniczny.

Nie takiej oceny oczekiwał doktor Burdick. Oto co sam miał do powiedzenia na temat odkrycia: „Szczegóły odciśniętych palców mogła rozmyć woda, zanim doszło do stwardnienia błota. W środkowej części stopy znajduje się fragment skamieliny. Podbicie odcisnęło się równie wyraźnie jak pięta".

Okazało się, że skała, na której znaleziono odcisk, jest niejednolita, składa się z różnych warstw. Na przekroju poprzecznym można było zauważyć, że w miejscu gdzie dziecko postawiło stopę, warstwy zatraciły horyzontalne ułożenie; zostały wgniecione do środka. Jest to dowód na to, iż odcisk powstał naturalnie, pod wpływem ciężaru.

Doktor Burdick miał do czynienia ze skamieniałymi śladami człowieka przez ponad dwadzieścia pięć lat. W tym przypadku nie miał wątpliwości, że znaleziony odcisk jest dokładnie tym, na co wygląda – odciskiem gołej stopy dziecka.

Historia wykopalisk dowodów pradawnej egzystencji człowieka sięga początku dziewiętnastego wieku. W kamieniołomach Herculaneum (stan Missouri) w 1817 roku znaleziono dwa odciski. Okazy zostały wycięte ze skały i wykorzystane przy budowie komina.

Pierwsi francuscy osadnicy znaleźli wiele odcisków stóp wzdłuż brzegów Mississippi w okolicach St. Louis. Ślady znajdowały się na krynoidowych wapieniach. Henry Schoolcraft, który pisał o odkryciu w „The American Journal of Science" w 1822 roku, twierdził, że odciski pozostawił stojący w naturalnej pozycji człowiek. Jego palce rozłożone były w charakterystyczny sposób dla ludzi nie noszących butów. Długość stopy wynosiła prawie 27 centymetrów, szerokość w palcach ponad 10 centymetrów, w pięcie ponad 6 centymetrów. Używając słów Schoolcrafta, odciski były „uderzająco naturalne, ukazujące każdy mięsień stopy, jak i wypukłość pięty oraz palców".

Chociaż nie brakowało naukowców twierdzących, że odciski są rzeźbami starożytnych mieszkańców Ameryki, Schoolcraft obstawał przy swoim zdaniu i być może miał rację. Zwrócił on bowiem uwagę, że wszelkie znane rysunki i rzeźby starożytnych cywilizacji amerykańskich przedstawiają zniekształcone, często groteskowe wizerunki. Natomiast stopy znad Mississippi były całkowicie naturalnymi, wręcz idealnymi, odciskami stóp.

17 listopada 1812 roku naukowiec o nazwisku Marsh przedstawił przed audytorium nowojorskiej Akademii Nauk referat zatytułowany: *O domniemanych odciskach ludzkich stóp*. Ślady zostały odnalezione w piaskowcach, koło miejscowości Carson w stanie Nevada, w kamieniołomach należących do więzienia stanowego. Pracujący tam więźniowie odkryli również ślady słoni, koni, jeleni, wilków i różnych ptaków. Odciski ludzkie miały około 45 centymetrów długości i 20 centymetrów szerokości. Układały się w sześć następujących po sobie kroków, a więc na przemian był ślad prawej i lewej stopy. Odległość między krokami whała się od 76 centymetrów do ponad 90 centymetrów. Odległość między linią lewej i prawej stopy wynosiła od 45 do 48 centymetrów.

Po dokonaniu kilku oględzin Marsh był przekonania, że ślady należy przypisać olbrzymiemu leniwcowi. Porównanie śladów zwierzęcych z odciskami z Nevady wykazało jednak istotne różnice. Przede wszystkim ślady leniwca były wyraźnie wklęsłe w miejscu palców, domniemane odciski stóp człowieka były płaskie (podobne do odcisków sandałów). Marsh zauważył jednak, że gdyby leniwiec postawił tylną kończynę na odcisku przedniej, powstałby ślad identyczny ze znalezionymi w Nevadzie.

W epoce czwartorzędu (najstarsze znalezione szczątki pochodzą z plejstocenu) rzeczywiście żyły olbrzymie leniwce naziemne. Dzisiejsze leniwce dwu- i trójpalczaste mają z nimi niewiele wspólnego; po zejściu z drzewa są zupełnie bezradne, nie potrafią chodzić po płaskim gruncie. Leniwce naziemne, osiągające wielkość słonia, jak sama nazwa wskazuje, na ziemi czuły się znakomicie. Nieżyjący już Ivan Sanderson zauważył jednak, że przy chodzeniu na tylnych nogach zwierzęta te pomagały sobie krótkim, acz silnym ogonem. Ślad pozostawiony przez taki ogon byłby nieregularnym rowkiem, którego brakowało w odciskach z Nevady.

Wiele lat później prowadzono społeczne prace nad umacnianiem brzegów najszybciej płynącej rzeki Teksasu, Paluxy. Spychacze odsunęły około trzydziestu metrów ziemi i odsłoniły ponad dwudziestocentymetrowy wapienny występ skalny. Robotnicy usunęli jeszcze kilka centymetrów żwiru i ich oczom ukazało się pięć odcisków ludzkich stóp, krzyżujących się z piętnastoma trójpalczastymi śladami dinozaura. Jedna z ludzkich stóp zachodziła na ślad nogi gada. Pozostałe nie były tak dobrze zachowane, ukazywały jedynie same palce. Ostatni ślad był prawdopodobnie samym podbiciem. Nie opodal znaleziono jeszcze jeden ślad dorosłego człowieka, krzyżujący się ze śladem młodszego osobnika, a na dodatek szedł tamtędy również i dinozaur, który najwyraźniej kierował się prosto nad rzekę (choć wtedy pewnie jeszcze jej nie było). Można by powiedzieć, że natrafiono na bardzo ważne skrzyżowanie.

W dolinie rzeki Paluxy już niejednokrotnie znajdowano odciski kończyn olbrzymich gadów. Prawie tak samo dawno zauważono, że często towarzyszą im ślady ludzkich stóp. Zarówno oględziny samego miejsca, jak i liczne dowody fotograficzne zdają się potwierdzać autentyczność znalezisk. Istnieją jednak pewne wątpliwości. Starzy mieszkańcy Teksasu pamiętają, że w czasie wielkiego kryzysu gospodarczego ludzie robili wiele rzeczy, aby podreperować skąpe finanse. Niektórzy zajmowali się... rzeźbieniem odcisków ludzkich stóp i sprzedawali je wraz z autentycznymi skamieniałymi śladami dinozaurów.

Syn miejscowego prawnika wielokrotnie opowiadał, jak jego wujek „sporządzał“ zarówno ludzkie, jak i gadzie odciski, aby w ten sposób zarobić kilka dodatkowych dolarów. Procedura polegała na znalezieniu odpowiedniej płyty skalnej. Następnie dłutem wykonywało się odpowiedni „odcisk“. Kolejnym etapem było obstukiwanie całej powierzchni płyty metalowym narzędziem w celu zatarcia ostrych krawędzi pozostawionych przez dłuto. Resztę załatwiał kwas „postarzający“ skałę i tworzący efekt erozji.

Państwo Ryals z kolei stanowczo twierdzili, że w czasie kryzysu udało im się wykopać około trzystu odcisków dinozaurów i około tuzina śladów ludzkich stóp. Skamieliny sprzedawali turystom. To właśnie pan Ryals odnalazł legendarny, ponad czterdziestopięciocentymetrowy odcisk stopy człowieka. Eksponat początkowo trafił do szpitala w Cleburne w stanie Teksas. Potem jednak zaginął nie tylko cenny odcisk, lecz również wiele skamieniałych śladów dinozaura.

Pan Ryals twierdził, że nie powinno być większych kłopotów z odróżnieniem prawdziwych odcisków od falsyfikatów. Zwracał uwagę, o czym wspomniano, że prawdziwy odcisk ma na ogół małą, wypukłą otoczkę skamieniałego mułu lub błota, która została wyparta ciężarem ciała osobnika. Jeżeli okaz zostanie przełamany lub przepiłowany, ukazuje wyraźnie ugięte linie poszczególnych warstw skały. Ponadto, jeżeli kamień wydobywany jest z większego bloku, a często tak jest w przypadku odnalezienia śladów na dnie rzeki, odkrywca w obawie przed uszkodzeniem cennego znaleziska odłupuje stosunkowo duży kawałek skały. Dlatego też ostrożniej należy podchodzić do odcisków mieszczących się na małej powierzchni skalnej płyty.

Pan Ryals twierdził również, że widział ślady zarówno bosych stóp, jak i odzianych w pewnego rodzaju obuwie. Inny odkrywca poinformował o znalezieniu całej serii odcisków mokasynów z jednym rzemieniem, taplającym się w błocie podczas chodu właściciela.

Wkrótce powstało wiele sprzecznych poglądów co do warstw skalnych, na których możliwe są do odnalezienia odciski stóp. Doktor Wilbur Greely nie przeczył, że człowiek mógł kroczyć po paleozoicznych plażach, lecz sądził, iż należy być bardzo ostrożnym w tego typu stwierdzeniach. Jego teoria zakładała, że jeżeli jest jakakolwiek wątpliwość co do wieku skamieliny, należy przyjąć datę bliższą współczesności. Doktor Greely twierdził bowiem, iż wśród starych skał istniały naturalne szczeliny i wgłębienia, które później wypełniały młodsze osady skałotwórcze. Po wielu tysiącach lat obie części stawały się jednolitym blokiem. Łatwo wtedy o pomyłkę, gdy odciski powstały na młodszym osadzie, a ich wiek oszacowano na podstawie, na przykład, skamieniałych trylobitów, tkwiących w starszej skale.

Odpowiedź na postawione zarzuty pojawiła się natychmiast. Ivan Sanderson, pracujący dla Towarzystwa Badań Zjawisk Nie Wyjaśnionych, pisał w 1970 roku, że większość znalezionych odcisków nie pochodziła ze szczytów lub krawędzi skalnych (co ewentualnie mogłoby potwierdzać teorie doktora Greely'ego), lecz znajdowała się głęboko wewnątrz skał, czasami kilka metrów pod obecną powierzchnią ziemi. Niejednokrotnie skamieliny odsłaniało rozbicie skał dziesiątki metrów w głąb od ściany frontowej.

Fakty te świadczą również przeciwko niedowiarkom, twierdzącym, że znalezione okazy są falsyfikatami, czyli odciskami stóp wykonanymi ręką człowieka. Ale kto i jak mógłby umieścić swe rzemieślnicze wyroby na takich głębokościach? Jak dopasowałby dwie warstwy skalne, które dopiero rozbite (przy świadkach!) uwidaczniają prawdziwe ślady naszych praprzodków. „Sceptycy, czy nie stać was na lepsze argumenty?“ – kończył nieco ironicznie i wyzywająco Ivan Sanderson.

POTWORY Z ACAMBARO

W lipcu 1945 roku Waldemar Julsrud, handlarz z miejscowości Acambaro w Meksyku, jechał konno przez wzgórze górujące nad miastem, gdy nagle zauważył kika skorup, które musiały wypłynąć na powierzchnię w okresie pory deszczowej. Ponieważ interesował się starożytnymi zabytkami meksykańskimi, zwrócił się do miejscowego murarza Odilona Tinajero z prośbą, by ten przeszukał teren i przyniósł wszystko, co znajdzie. Tinajero znalazł widocznie dużo glinianych ciekawostek, gdyż kolekcja zgromadzona przez Julsruda od 1945 do 1952 roku zawiera dziś sporo ponad 30 000 sztuk. W rzeczywistości wszyscy archeolodzy uważają je za falsyfikaty, mimo że prawie żaden z nich nie zadał sobie trudu, by chociaż im się przyjrzeć. Tymczasem istnieją podstawy by uznać tę kolekcję za jedną z najbardziej niezwykłych osobliwości archeologicznych na świecie!

Tych kilku nielicznych archeologów, którzy obejrzeli kolekcję, w największe zakłopotanie wprawiły posążki wyobrażające prehistoryczne gady. Niektóre figurki wydają się przedstawiać dinozaury i plezjozaury które, zgodnie z przyjętymi poglądami, zniknęły z powierzchni Ziemi jakieś 70 milionów lat temu i starożytni Indianie z Meksyku w żaden sposób nie mogli wiedzieć, jak one wyglądały. Ludzie naszych czasów znają je, oczywiście z książek i filmów.

Jedną z najbardziej fantastycznych cech tej kolekcji jest jej niezwykła różnorodność. Wśród ponad 30 000 wyrobów nie ma jednego dubletu! Niektóre są do siebie podobne, lecz nie ma dwóch identycznych. Zdumiewająca zaiste musiała być wyobraźnia zaangażowana w tworzenie wszystkich tych „przedhistorycznych" zwierząt, człekopodobnych figurynek, posążków mumii, całych grup ludzi i zwierząt grających jakąś rolę w scenie.

Obiegowa teoria, według której wielkie gady wyginęły 70 milionów lat temu, a człowiek pojawił się na Ziemi niedawno, wydaje automatycznie, zdaniem większości naukowców, skazujący wyrok na statuetki i płyty, przedstawiające ludzi w towarzystwie owych gadów. A skąd Indianie mieliby znać wełnistego nosorożca, konie i wielbłądy amerykańskie itp., skoro wyginęły one przy końcu plejstocenu 10 000 czy 12 000 lat temu? Na jednej z płyt znajduje się pośrodku zwierzę wyglądające na dinozaura, po lewej jest plezjozaur, a między nimi maska przypominająca grecką Gorgonę. W górnym rzędzie widać słonie, z prawej strony figurkę kojarzącą się ze starożytnym Dalekim Wschodem, a ponadto cały rząd mumii. Niektórzy twierdzą, że nagromadzenie na jednej płycie tylu różnych okresów historycznych i elementów rozmaitych kultur wyraźnie wskazuje na współczesne oszustwo i trudno tym opiniom odmówić słuszności.

Jednakże jeśli są to falsyfikaty, to po co je sporządzono? Trzeba było wielu lat ciężkiej pracy, by zgromadzić tę kolekcję. Liczne przedmioty, takie jak „mumie", fajki itp., są zręcznie uformowane, wyrzeźbione i emaliowane, co świadczy, że ich wyrób był dziełem doskonałego artysty. Julsrud dawał Tinajerowi jednego peso za każdą całą figurkę, którą mu przyniósł (niejednokrotnie były one rozbite i sklejone na nowo), choć sam zleceniodawca nigdy nie asystował przy wykopywaniu żadnej z nich. W ciągu siedmiu lat pracy Tinajero otrzymał 30 000 pesos i gdyby były to falsywikaty, fałszerze zrobiliby kiepski interes. Mogliby prawdopodobnie zarobić znacznie więcej, sprzedając je po prostu jako meksykańskie osobliwości.

Wrogowie Julsruda co jakiś czas przekazywali informacje osobom prowadzącym badania (np. Charlesowi Hapgoodowi), że znają w mieście „rodzinę" fabrykującą owe przedmioty, ale nigdy nie potrafili podać ani nazwisk, ani adresu pracowni. Chociaż byłaby to dla nich doskonała okazja, by zniszczyć Julsruda, nigdy nie udało się odnaleźć owej tak utalentowanej rodziny. (Julsrud wspomina, że pewnego razu próbowano podrzucić mu oczywisty falsyfikat).

Ch. Hapgood asystował przy wykopaliskach przeprowadzonych w miejscu, gdzie stał dom, zbudowany co najmniej przed dwudziestu pięciu laty. Mieszkał tam szef policji z Acambaro i nic nie wskazywało, aby ktoś mógł cokolwiek schować pod budynkiem. A mimo to, w czasie przekopywań odnaleziono czterdzieści cztery obiekty podobne do tych, jakie posiadał Julsrud, a ponadto różne inne przedmioty pochodzenia indiańskiego. Z obszaru o powierzchni dwóch hektarów (obecnie zajętego przez baraki bezdomnych) zostały wydobyte także inne przedmioty, podobne do kolekcji Julsruda.

W 1950 roku Charles C. DiPeso z Arizońskiej Fundacji Indian Amerykańskich wyraził swoją opinię na temat afery z Acambaro (*Gliniane potworki z Acambaro* w czasopiśmie „Archeology"). Spędził on na miejscu wykopalisk popołudnie i ranek następnego dnia, obserwując Tinajera oraz jego pomocnika podczas wydobywania z ziemi kilku przedmiotów i stwierdził, iż odkrył dowody oszustwa. Jednakże w całym jego artykule można wyczuć tendencję, iż autor postanowił odnaleźć te dowody za wszelką cenę. Inni uznali wywody DiPesa za „kłamstwa lub ględzenie durnia". Utrzymywał on, że na żadnym z przedmiotów nie można dostrzec śladów wskazujących, że były zakopane w ziemi dłuższy czas. Jednakże Ch. Hapgood i Ivan Sanderson znaleźli całe przedmioty oraz fragmenty figurek z osadem stwardniałej ziemi, śladami drobnych korzeni, wklęsłościami wypełnionymi ziemią i piaskiem, co wskazuje na ich długotrwały pobyt w ziemi.

Hapgood zwraca też uwagę na stosowany przez poszukiwaczy zwyczaj ponownego zakopywania przedmiotów już wykopanych, by uniemożliwić nocne rabowanie dzieciom z sąsiedztwa, które to zwyczaj mógł wprowadzić w błąd DiPeso. A w każdym razie DiPeso skomplikował jednocześnie sprawę mówiąc, że „owe figurki z ceramiki przedstawiają brontozaura, tyranozaura, stegozaura, trachodonta, dimetrodonta i inne gady mezozoiku", ponieważ kiedy Hapgood przedstawił zdjęcia setek tych gadzich figurek doktorowi A.S. Romerowi, profesorowi zoologii na Uniwersytecie Harvarda, ten ostatni oświadczył, iż nie należą one do żadnego rodzaju dinozaurów! Widocznie DiPeso nie potrafił rozpoznać tyranozaura.

Przy wykopaliskach asystowali także inni naukowcy. Raymond Barber, mineralog z muzeum w Los Angeles, oraz E.Noguera z placówki d/s przedhiszpańskich zabytków w Meksyku nie znaleźli żadnego dowodu fałszerstwa, jednakże ten ostatni opowiedział się później za możliwością oszustwa tylko na tej podstawie, że nie mógł pojąć, w jaki sposób figurki gadów prehistorycznych mogły być pomieszane z posążkami ludzi.

W 1968 roku Ch. Hapgood otrzymał kawałki figurki, w której w momencie jej kształtowania zostały zamknięte cząsteczki materii organicznej. Kawałki te zostały we wrześniu przesłane do laboratorium zajmującego się datowaniem za *pomocą metody węgla radioaktywnego (w Westwood, New Jersey). Rezultat był zdumiewający: wiek materii organicznej wynosił 3590 lat z dopuszczalną odchyłką plus–minus 100 lat! Oznacza to, że albo przedmiot został wykonany około 1600 roku p.n.e., albo że jakiś tubylczy artysta meksykański był na tyle przebiegły, by wetknąć trochę bardzo starej materii organicznej do niektórych posążków. Ta druga hipoteza wydaje się podejrzana, jako że datowanie metodą węgla radioaktywnego zostało wynalezione dopiero około 1940 roku i w 1952 roku, czyli wówczas kiedy zakup figurynek został wstrzymany, nie było wcale rozpowszechnione.

Być może interesujący wyda się fakt, iż wiek ustalony na 3600 lat, to jest na rok 1600 p.n.e., trafia na ten dziwny okres między 1700 a 1500 p.n.e., kiedy to miało miejsce kilka ważnych wydarzeń. Na Morzu Śródziemnym eksplodowała wulkaniczna wyspa Santorin, upadły cywilizacje Krety i Egiptu, a także kultura doliny Indusu. Liczne opowieści na temat tych wypadków dotarły aż do naszych czasów. Jeśli datowanie umieszczające figurki z Acambaro w tym okresie jest poprawne, to czy nie mógłby istnieć związek między upadkiem tych cywilizacji a dziwnym rozkwitem kultury Julsruda w Meksyku?

Generalnie rzecz biorąc, figurki zwierzęce często są wymodelowane z doskonałym wyczuciem ruchu i można zazwyczaj ustalić, kogo przedstawiają, jednakże mało jest szczegółów. Na przykład, jedna z figurek z całą pewnością ma kształt słonia, podobnego do słonia azjatyckiego, lecz żaden szczegół nie jest zarysowany dokładnie. O ile faktycznie miałby to być słoń azjatycki, to wydaje się wątpliwe, by starożytni mieszkańcy Meksyku mogli oglądać go na własne oczy. Bardziej prawdopodobne jest, że mogli widzieć żywego mamuta, którego jednak figurka nie przypomina. Pewne jest w każdym razie, iż w roku 1913 na głównym placu w mieście Acambaro znajdowała się fontanna wsparta na prymitywnym posągu słonia.

Inną osobliwością kolekcji są legendarne zwierzęta, których poszczególne części ciała są pomieszane na różne sposoby. Niektóre postaci ludzkie mają języki rozszczepione, dłonie i stopy płetwiaste itp. Pełna swoboda rozgorączkowanej wyobraźni.

Julsrud wyraził własny pogląd, jakoby owa tajemnicza kolekcja należała do Azteków i pochodziła z Atlantydy. Kiedy Hiszpanie przybyli do Meksyku, kolekcja została przeniesiona do Acambaro i zakopana przez Azteków.

Ta niepokojąca historia z Acambaro wydaje się ciągnąć bez końca. Ch. Hapgood asystował także przy innych pracach wykopaliskowych, podczas których wydobyto taraskańskie wyroby garncarskie oraz „ogromną czaszkę, znalezioną na znacznej głębokości, połączoną z wielkim, płaskim kamieniem". Można przypuszczać, że była to czaszka mamuta, gdyż takich skamielin pełno jest w okolicy. W istocie, szkielet mamuta został odnaleziony zupełnie blisko miejsca, skąd pochodziły czaszki z płaskim kamieniem, co pozwala sądzić, iż ludzie z tych okolic mogli mieć jakiś udział w zakopywaniu mamuciej czaszki.

Odkryto także coś zupełnie niezwykłego: schody, które zagłębiały się w ziemię! Pułkownik Mazquiz, na którego terenie prowadzono badania, przypomniał sobie, że w czasie poprzednich wykopalisk znalazł ślady podziemnego tunelu, wyżłobionego w głębi wzgórza. Schody były zawalone ubitą substancją wulkaniczną i chociaż poświęcono wiele czasu i użyto różnych sposobów, nie dało się drążyć dalej. Można zadać sobie pytanie: co znajdowało się na końcu schodów wbijających się we wzgórze, skoro sama tylko powierzchnia wzgórza kryła w sobie tyle dziwnych rzeczy?

Jaki wniosek można wysnuć? Istnieje wiele danych wskazujących, że figurynki z Acambaro z powodzeniem mogą być prawdziwymi antykami. Jednakże trudno się zgodzić z tym, że w starożytnym Meksyku istniała indiańska kultura, która miała rozległe wiadomości na temat wielkich gadów mezozoicznych i zwierząt z plejstocenu, mimo że zęby *Equus conversidens* Owen, konia wymarłego w tym okresie, bezsprzecznie znajdują się pośród eksponatów. W jaki sposób wmieszały się one do kolekcji? Czy Indianin ze starożytnego Meksyku wydedukowałby obraz konia na podstawie wyglądu jego zębów? Czy mógł widzieć go żywego? A może autentyczne zęby konia sprzed kilkunastu tysięcy lat zostały podrzucone przez oszustów w celu podniesienia wiarygodności produkowanych przez nich falsyfikatów?

Najtrzeźwiejszy wniosek, jaki może wyciągnąć z całej tej historii myślący krytyk, brzmi następująco: kolekcja Julsruda jest zarazem i autentyczna, i fałszywa. Przedmioty przedstawiające gady mezozoiczne są spreparowane przez oszustów, obiekty datowane na dwa tysiąclecia p.n.e. wydają się być autentykami, zaś co do figurek i rycin przedstawiających zwierzęta z plejstocenu – na dwoje babka wróżyła; może wiedza o wyglądzie tych zwierząt przetrwała jednak w jakiś sposób do czasów, kiedy powstawały pierwsze rozwinięte kultury Ameryki?

ZDUMIEWAJĄCY PRZEDMIOT Z COSO

13 lutego 1961 roku Mike Mikesell, Wallace Lane i Virginia Maxey zbierali próbki minerałów, wypatrując zwłaszcza szczelin skalnych obrosłych na ścianach kryształami i wypełniających je tzw. geod. Było to jakieś osiem do dziewięciu kilometrów na północny zachód od Olancha w Kalifornii. Cała trójka to właściciele LM & V Rockhounds Gem and Gift Shop w Olancha (sklep z półszlachetnymi kamieniami i pamiątkami). Często znajdowali ciekawe próbki, które mogły zawierać półszlachetne kamienie, i zabierali je do sklepu w celu zbadania.

Któregoś dnia uzbierali worek kamieni niedaleko szczytu wysokiej na 1300 metrów góry, która wznosi się około 110 metrów ponad poziom wyschniętego dna jeziora Owens. Jeden ze znalezionych kamieni uznano z początku za geodę, chociaż był obłożony skamieniałymi kawałkami muszli. Geologowie przypuszczają, że tysiąc lat temu poziom wody w jeziorze sięgał aż do miejsca, gdzie znaleziono ową próbkę minerału.

Nazajutrz po powrocie do sklepu Mike rozciął „geodę“ na pół diamentową piłą o dwudziestopięciocentymetrowej średnicy. Kamień okazał się trudny do przecięcia i jak stwierdzono potem, ostrze nowej diamentowej piły zostało zupełnie zniszczone. W kamieniu nie było wklęśnięć, jakie znajdowano w wielu innych geodach. Zamiast tego okazało się, że przekrój po przecięciu jest idealnie okrągły i że w środku kamienia znajduje się bardzo twardy materiał ceramiczny lub porcelanowy, a wewnątrz niego trzon z błyszczącego metalu o dwumilimetrowej średnicy.

Chociaż niekiedy taki znaleziony kamień nazywa się „geodą", nie jest to prawdziwa geoda. Zewnętrzna powłoka uformowana była z utwardzonej gliny z wtopionymi w nią kamieniami i skamieniałymi muszlami. W powłoce miały się podobno znajdować dwa przedmioty, uważane za nie magnetyzujące się, które przypominają gwóźdź i okrągłą podkładkę.

Sądzono z początku, że materiał wypełniający sześciokątną szczelinę jest skamieniałym drewnem. Podejrzewano, że drewno zostało pierwotnie uformowane w taki sześciokątny kształt, by mogło służyć jako rodzaj obudowy czy osłony dla tego przedmiotu. Po dokładnym zbadaniu przedmiotu okazało się, że z jednej połówki odpadł kawałek tego, co wypełniało sześciokątny otwór w geodzie. Czym by nie było to tworzywo, wydawało się raczej miękkie i kruche, skoro jego fragment odpadł po rozcięciu przedmiotu na dwie części.

Jest sprawą oczywistą, że przedmiot, częściowo metalowy, ukryty w kamieniu, po rozcięciu go pozostał tkwiąc po połowie w każdej z dwu części kamienia.

Głównym przedmiotem jest trzon z błyszczącego metalu o dwumilimetrowej średnicy. Został on rozcięty na pół w roku 1961, ale pięć lat później nie widać było na nim żadnego zmatowienia. Wokół niego znajduje się osiemnastomilimetrowa warstwa ceramiki, obłożona z zewnątrz, jak się zdaje, substancją miedziową, częściowo zżartą przez korozję. Zdaniem badaczy, jedyną magnetyczną częścią przedmiotu jest trzon z błyszczącego metalu.

Kiedy się bliżej przyjrzeć temu przedmiotowi, w którym zestawione są obok siebie ceramika o regularnych kształtach, metalowy trzon i cała reszta z miedzi, wydaje się, że jest to jakiś rodzaj urządzenia elektrycznego. Kiedy przegląda się zdjęcia rentgenowskie, można stwierdzić, że trzon przebija wszystkie części składowe przedmiotu i wydaje się

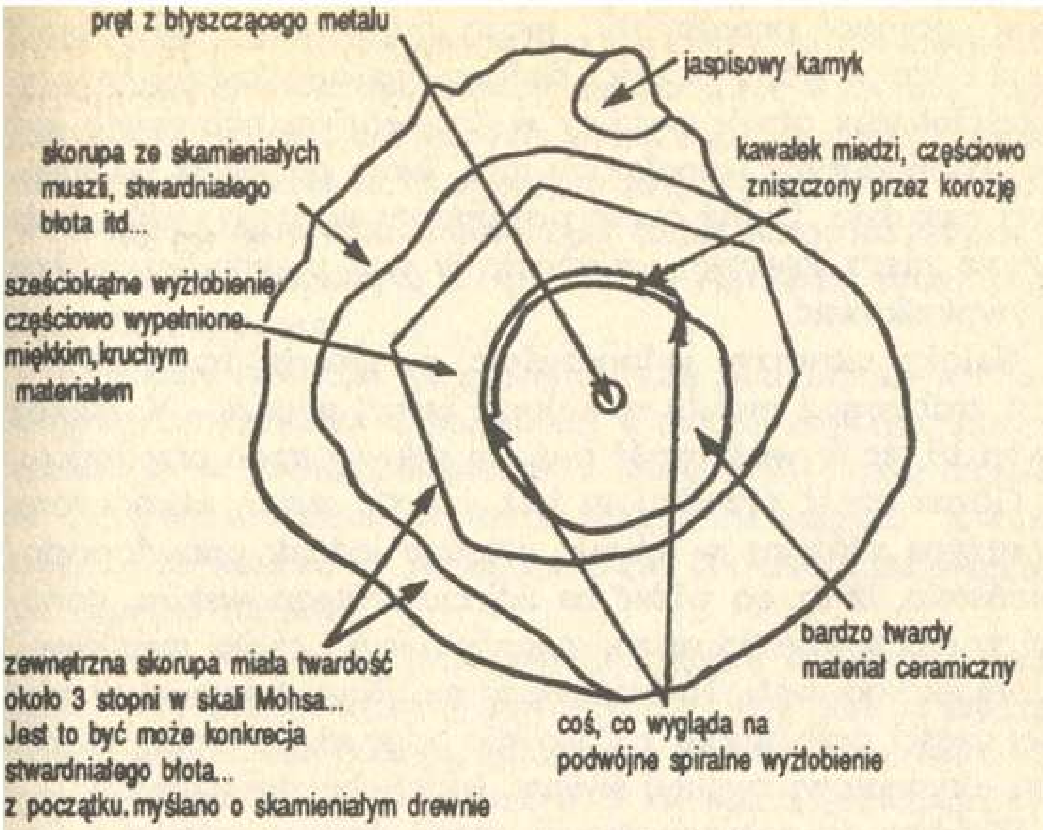
pręt z błyszczącego metalu
jaspisowy kamyk
skorupa ze skamieniałych muszli, stwardniałego błota itd...
kawałek miedzi, częściowo zniszczony przez korozję
sześciokątne wyżłobienie, częściowo wypełnione miękkim, kruchym materiałem
zewnętrzna skorupa miała twardość około 3 stopni w skali Mohsa... Jest to być może konkrecja stwardniałego błota... z początku myślano o skamieniałym drewnie
bardzo twardy materiał ceramiczny
coś, co wygląda na podwójne spiralne wyżłobienie

Wewnętrzna struktura przedmiotu z Coso.

być skorodowany na jednym z końców. Tymczasem trzon jest niewątpliwie zakończony czymś, co wygląda na metalową sprężynę czy spiralę. Trzy człony przedmiotu znajdują się na trzonie, a środkowy – z ceramiki, z niewielką domieszką skorodowanej miedzi, jest najbardziej widoczny i on właśnie został przecięty na pół.

Do czego można to porównać? Tu włosy jeżą się na głowie, ponieważ przedmiot ten najbardziej przypomina... świecę samochodową!

Jeśli próbować przeciąć piłą na pół zwykłą świecę samochodową tuż przy jej sześciokątnej obudowie, porcelana okazuje się oczywiście za twarda dla piły do metali, lecz świecę można przełamać. Znajdzie się wówczas wszystkie elementy podobne do części przedmiotu z Coso, z pewnymi jednak różnicami.

Widoczny w przekroju miedziany pierścień, otaczający obie połowy przedmiotu, może odpowiadać miedzianej uszczelce w górnej części stalowej nasady każdej świecy. Sześciokątny otwór wycięty w kamiennym tworzywie jest prawdopodobnie wypełniony rdzą, która pozostała po stalowej nasadzie. Dolna część przedmiotu wygląda, jakby była zżarta przez korozję, i niewiele w tym przypadku można wywnioskować.

Należy zauważyć jednocześnie, że główny trzon świecy jest zrobiony z metalu w kolorze jasnej miedzi – V. Maxey twierdzi, że tę właściwość posiada główny trzon przedmiotu.

Górna część przedmiotu jest, jak się zdaje, zakończona sprężyną ułożoną w spiralę, istnieje jednak prawdopodobieństwo, iż to, co widać na zdjęciu rentgenowskim, stanowi w rzeczywistości resztki nagwintowanej części metalowej, która skorodowała. Najważniejszy metalowy fragment w górnej części przedmiotu z Coso nie odpowiada raczej żadnemu elementowi zwykłej świecy, jakiej obecnie używamy.

Wróćmy do najważniejszych pytań. Jeśli przedmiot z Coso jest rzeczywiście zapłonową świecą lub czymś podobnym, to z jakiego okresu pochodzi, skąd się pojawił i co robi ukryty w czymś, co badacze nazywają „kamieniem"?

Po pierwsze, nie wiadomo dokładnie, czym jest substancja, która otacza przedmiot z Coso. V. Maxey określa ją czasem jako „stwardniałą glinę", na której powierzchni zebrała się cała kolekcja różnych kamyków, także „gwóźdź", „podkładka", itp. Jeśli substancja ta nie jest złożem osadowym, łatwiej da się wyjaśnić istotę przedmiotu. Mogłaby to być stara świeca zapłonowa, pochodząca sprzed wielu lat, do której w ten czy inny sposób przykleiło się zgęstniałe, a później stwardniałe błoto. Substancja znajdująca się na powierzchni ma według obliczeń twardość 3 w skali Mohsa (od nazwiska niemieckiego mineraloga), co nie oznacza zbyt dużej twardości. Jest to twardość kalcytu – po talku i gipsie. Najwyższy stopień w skali ma diament. Diamentowa piła została prawdopodobnie uszkodzona tylko dlatego, iż człowiek, który jej używał, nie zdawał sobie sprawy z obecności w kamieniu substancji twardej jak porcelana.

Przedmiot ten, o ile nie stanowi produktu współczesnej technologii, jest z całą pewnością jednym z najważniejszych, jakie kiedykolwiek znaleziono. Trudno sobie wyobrazić kalifornijskich Indian, używanych świec zapłonowych, chociaż niektóre wynalazki technologiczne mogły pojawić się bardzo wcześnie, a następnie zniknąć, jak to się stało, na przykład, z kryształową soczewką z Niniwy i babilońskimi akumulatorami elektrycznymi.

V. Maxey twierdzi, że główny trzon przedmiotu nie jest magnetyczny, mimo że wcześniej w swoim artykule, zamieszczonym w „Desert Magazine" z lutego 1961 roku, napisała: „Jedynie ten metalowy trzon reaguje na magnes". Uważa ona, że to właśnie ta metalowa część tak utrudniła przecięcie obiektu na pół.

W. Lane wystawił ten przedmiot u siebie w sklepie, żądając zań 25 000 dolarów – trochę drogo, jeśli jest to rzeczywiście tylko stara świeca zapłonowa. Podobno interesuje się tym przedmiotem wiele muzeów, a zwłaszcza „Smithsonian", lecz gdyby „Smithsonian" go nabył, to chyba tylko po to, by się zapodział gdzieś w jego piwnicznych magazynach, gdyż taki właśnie los spotkał większość próbek i okazów w tym muzeum.

Nie ma żadnych danych, by sądzić, że jakiś zawodowy naukowiec zbadał kiedykolwiek ten przedmiot. Tak więc odpowiedź na pytanie, czym właściwie ów przedmiot jest, pozostaje w sferze przypuszczeń. Wygląda na to, iż obiekt z Coso podzieli los innych tajemniczych rzeczy i znalezisk jak mumia z Wyoming czy manuskrypt Voynicha...

POPRZEDNI ŚWIAT UMARŁ

W 1971 roku ukazał się bardzo rzetelny i obiektywny artykuł Wilberta Rusha seniora, profesora biologii w Cancordia College w Ann Arbor (stan Michigan). Jego tytuł brzmiał: *Skamieliny śladów ludzkich stóp*. Profesor pogrupował znalezione dowody na trzy grupy. Przyznał, że wśród licznych okazów istnieją i takie, które wyrzeźbiono ludzką ręką. O wielu skamielinach trudno powiedzieć, czy są prawdziwe czy nie. Najwięcej uwagi artykuł poświęca jednak tezie, że „bezsprzecznie istnieją autentyczne ślady człowieka, zachowane w skale".

Już w 1938 roku czasopismo „Science Newsletter" przyznało, że skamieniałe odciski są zagadką, której współczesna nauka nie potrafi rozwiązać. W komentarzu stwierdzono, że rozmiary znalezionych śladów odpowiadają wielkością ludzkiej stopie (23–26 centymetrów). Sam kształt również jest łudząco podobny. „Gdyby tylko kciuk był odrobinę większy, a mały palec nie był odchylony od osi stopy o niemal 90 stopni, ślady z pewnością byłyby pochodzenia ludzkiego". Jednak nawet najśmielsze teorie antropologiczne umieszczają powstanie gatunku człowieka dopiero około miliona lat temu! Znalezione odciski pochodzą sprzed 250 milionów lat...

W okresie karbońskim ery paleozoicznej, bo o tych czasach właśnie mówimy, najwyższymi formami życia były zwierzęta wodno-lądowe, spokrewnione z żabą i salamandrą. Jeśli to one pozostawiły intrygujące ślady, jakich ogromnych musiały być rozmiarów! Innym nie rozwikłanym problemem jest brak śladów kończyn przednich. Znajdowano jedynie odciski kończyn tylnych, ułożonych we wszystkich możliwych kierunkach, które niewątpliwie należały do istot dwunożnych.

Tak więc Coś Dużego chodziło po naszej planecie ćwierć miliarda lat temu, zostawiło po sobie wiele śladów, zniknęło, a my nie wiemy, co to jest. Zagadka pozostaje nie odgadniona i ze spuszczoną głową musimy przyznać, że nasze poczynania, mające na celu jej rozwiązanie, przypominają miejscami zachowanie Kubusia Puchatka tropiącego ślady Łasiczki.

Dużo łatwiej byłoby rozwiązać niecodzienną tajemnicę, gdyby, na przykład, wraz ze śladami znaleziono skamieniałe kości nieznanej istoty. Byłoby to jakieś ziemno-wodne zwierzę, mierzące około dwóch metrów wzrostu, chodzące na dwóch łapach, zaopatrzonych w piętą, pięć palców i być może... sandały. (Stukilowy żabojaszczur w sandałkach?!)

Wydaje się, że muszą gdzieś istnieć skamieniałe szkielety, o których naukowcy jeszcze nic nie wiedzą. Może ewolucjoniści szukając tzw. brakującego ogniwa spoglądali na niewłaściwe drzewo genealogiczne? Czy byłoby aż tak dużą fantazją wyobrazić sobie ropuchowatego płazo-gada wynurzającego się z paleozoicznego bajora i odciskającego bosą stopę (?) na mokrym piasku? Inteligentne osobniki tego gatunku z pewnością robiłyby wrażenie. Można domniemywać, że byłyby panami morza i lądu. Miałyby zdolność zapadać w stan hibernacji na długie okresy i oczywiście żyłyby całymi wiekami.

Gdyby jeszcze trochę dalej pospekulować na temat płazo-gadów, można by dojść do przypuszczenia, iż dożyły one okresu panowania gadów. Tłumaczyłoby to, kto zostawił ślady obok łap dinozaurów. A co z sandałkami? – zapyta ktoś. Gdyby owe inteligentne prażaby rzeczywiście dotrwały do ery gadów, to w taki długi okres z pewnością wkroczyłyby prawa ewolucji. Można by więc oczekiwać od owych istot rozwinięcia pewnego rodzaju cywilizacji. A wykonanie osłony dla stopy nie wymaga jeszcze wysokiego ilorazu inteligencji. Ślady pochodzą sprzed ponad 250 milionów lat. Nieznane istoty miały więc wiele lat, aby metodą prób i błędów dojść do wielu wynalazków.

Czasopismo „American Anthropologist" w 1896 roku doniosło o odkryciu śladów stopy ludzkiej o długości prawie 37 centymetrów. Znaleziska dokonano około sześciu kilometrów na północ od Parkersburga, nad brzegiem rzeki Ohio, po stronie stanu West Virginia.

W 1927 roku Albert Knapp odnalazł coś, co zdawało się być skamieniałym w wapieniu śladem podeszwy buta. Odkrycia dokonano koło Kanionu Fishera w Pershing County (stan Nevada). Geolog z nowojorskiej Fundacji Rockefellera potwierdził, że znalezisko jest wapieniem pochodzącym z triasu.

Mikrofotografie znalezionego odcisku wyraźnie uwidaczniają, że podeszwa wykonana była z dobrze wyprawionej skóry i zszyta ręcznie. W jednym miejscu nitka, cieńsza od nici używanych przez szewców około roku 1927, wyraźnie zaznaczała podwójny ścieg.

Wieści o znalezisku ludzkich śladów przyszły również w 1932 roku z Nowego Meksyku. Niejaki Ellis Wright, traper, podał do wiadomości, że natrafił na odciski ludzkich stóp niewiarygodnie dużych rozmiarów. Znajdowały się one w gipsowej skale zachodniej części White Sands. Za jego namową zorganizowano wyprawę badawczą, która potwierdziła dokonanie znaleziska. W skale ogółem znajdowało się trzynaście śladów, przecinających wąski przesmyk między wzgórzami. Każdy z nich miał około 56 centymetrów długości i od 20 do 25 centymetrów szerokości. Wszyscy naukowcy byli zgodni co do faktu, iż ślady pozostawiła istota ludzka. Odciski były bardzo dobrze zachowane, nawet z wyraźnie zarysowanym podbiciem stopy.

W maju 1969 roku gazeta „Tulsa Sunday World" zamieściła artykuł o znalezieniu olbrzymich odcisków stóp kilka kilometrów za granicami miasta Tulsa. Odkrycia dokonał Troy Johnson, pracownik łączności, który kopiąc w ziemi, odsunął jej wierzchnią warstwę wraz z korzeniami roślin i żwirem z piaskowca. Jego oczom ukazała się skała ze skamieniałymi śladami kilkunastu zwierząt, z których wielu odkrywca nie potrafił zidentyfikować, i kilka wyraźnych, pięciopalczastych odcisków, posiadających zdecydowanie ludzki charakter.

Pan Johnson miał już ponad trzynastoletnie doświadczenie w pracach archeologicznych, między innymi dla uniwersytetów w Oklahomie i Arkansas. Swoje odkrycie udostępnił towarzystwom archeologicznym, choć sam dokładnie wiedział, co znalazł. Miejsce odkrycia było bowiem kiedyś piaszczystą plażą, a więc idealnym miejscem na pozostawienie swych śladów dla potomnych.

Troy Johnson wiedział, że znalezisko wzbudzi powątpiewanie w kręgach akademickich. Nauka wcześniej już ustaliła, iż mieszkający na tych terenach prehistoryczny człowiek był zdecydowanie mniejszy od współczesnego *Homo sapiens*. Jakże więc mógłby pozostawić dużo większe od niego ślady? Odkrywca sam wykonał gipsowe odlewy odcisków, które potem udostępnił wielu uznanym badaczom i naukowcom. Każdy z nich, bez jednego wyjątku, dał taką samą odpowiedź – niemożliwe. Wkrótce powstała nawet pogłoska, że odkrycie Johnsona jest archeologiczną mistyfikacją.

Artykuł C.H. McKennana z „Tulsa Sunday World" przedstawia sprawę z nieco bardziej przychylnym nastawieniem i otwarciem na nowe teorie. Skała wapienna pokryta odciskami ważyła około piętnastu ton. Można więc było śmiało wykluczyć, że została przetransportowana na szczyt wzgórza i wpasowana w krajobraz. Jej warstwy były identyczne jak warstwy okolicznych mniejszych skał, rozsianych po całym wzgórzu. Wskazywało to, że wapień był efektem procesu geologicznego, zwanego wyniesieniem. Za autentycznością odkrycia przemawia również i to, że ślady pokryte były przez wieki dość grubą warstwą ziemi, oraz fakt, że odciski w wielu miejscach nakładają się na siebie, tworząc strukturę, której nie sposób byłoby wykonać dłutem i młotkiem.

Książka doktora Emersona Hartmana *Giant of the Sierras* („Olbrzym z gór") zawiera reprodukcję szkicu, wykonanego rzekomo w 1921 roku przez pracownika parku narodowego, przedstawiającego odciski ludzkich stóp i ślady dinozaurów. „Dokładność szkicu została potwierdzona przez wykonaną przy okazji fotografię, która ukazuje ślad lewej stopy człowieka, a także niewyraźnie widoczne zarysy odcisku nogi dinozaura"– pisze doktor Hartman. W przypisie dodaje, że Benjamin Franklin Allen, założyciel Geologicznego Stowarzyszenia Potopu w Los Angeles, stwierdza, że widział te same ślady. Zgodnie ze świadectwem Allena, odciski były nie tylko znakomicie zachowane, „jakby wyciśnięte w miękkim betonie, który szybko twardniał, ale także z tej samej warstwy geologicznej zostały pobrane ślady jaszczurki, ptaka i innych drobnych zwierząt, wszystkie tak doskonałe, jak w momencie kiedy zostały odciśnięte".

Pytanie brzmi: jak to się stało, że owe ślady pozostały na prehistorycznej plaży wystarczająco długo, by stać się skamielinami? Dlaczego inne stworzenia nie zadeptały tropów? Przecież z całą pewnością następny porządny deszcz – czy choćby przypływ – zmyłby je bezpowrotnie.

Najlepszym sposobem pokrycia i zachowania dla przyszłych pokoleń gruntu, być może z odciskami stóp istot żywych, jest... nagła katastrofa.

W swym dziele *Prehistory and Earth Models* („Prehistoria i modele Ziemi") doktor Melvin Cook wykazuje, że „nagłe pogrzebanie w wyniku katastrofy umożliwia zachowanie szczątków do fosylizacji, ponieważ powoduje, że okaz nie jest narażony na wpływ warunków atmosferycznych. Nie tylko miękkie, ale także twarde części ciała zwierząt mają tendencje do znikania w relatywnie krótkim czasie, jeżeli są eksponowane na powierzchni gruntu. W normalnych warunkach procesy rozkładu i niszczenia przez zmiany pogodowe postępują znacznie szybciej niż sedymentacja, a więc są to jak najmniej sprzyjające fosylizacji warunki".

Z drugiej strony, prowadzi dalej swój wywód doktor Cook, katastrofy rzeczywiście stwarzają bardzo korzystne warunki dla procesu kamienienia szczątków organicznych. Takie wstrząsy znacznie zwiększają szanse pogrzebania okazu i przynoszą ze sobą „znaczne prawdopodobieństwo osadzania się – w warunkach antyseptycznych, odwadniających, sprzyjających mumifikacji – aktywności hydrotermalnej".

Tu wyłania się wielki paradoks, polegający na tym, że ta sama katastrofa, która pozwoliła szczątkom przedstawiciela jakiegoś gatunku przetrwać do naszych czasów i znaleźć się we współczesnym muzeum, była prawdopodobnie wystarczająco gwałtowna, aby kompletnie zetrzeć tę istotę z powierzchni Ziemi w stanie żywym! Może to tłumaczyć, dlaczego stworzenia, najpowszechniej reprezentowane w obrębie skamielin, w tym trylobity, nie istnieją już obecnie na Ziemi. Patrząc z tej perspektywy rozumiemy, że to obute w sandał Coś, co rozdeptało trylobita, mogło przejść jeszcze tylko kilka kroków, zanim naturalny kataklizm nie starł go z powierzchni ziemi – a może razem z nim i cywilizację, którą zdołał stworzyć?

JESZCZE O POPRZEDNIM ŚWIECIE

W listopadzie 1829 roku w kamieniołomie położonym 20 mil na północny zachód od Filadelfii odkryto, że bryła marmuru wydobyta z głębokości dwudziestu metrów nosi ślady jakiś wycięć. Wyciosane w marmurowej bryle znaki przypominały kształtem litery „I“ i „U“. J.B.Browne („American Journal of Science“, t.1) donosił w swym raporcie: „Na szczęście wezwano na miejsce kilku najbardziej szanowanych obywateli Norristown. Ich świadectwo zaprzeczyło rodzącej się plotce, że znaki wyryto po wydobyciu marmuru, a całe odkrycie jest tylko zwykłym fałszerstwem“.

W rzeczywistości J.B. Browne nie mówi o literach „I“ i „U“. Nazywa je po prostu znakami. Zamieszczone w „American Journal of Science“ zdjęcie przedstawia je do góry nogami, co daje dość niezwykły efekt. Zamiast na łuku, „U“ oparte jest na nóżkach i przypomina w ten sposób dolmen, czyli grobowiec megalityczny z okresu neolitu. „I“ wznosi się po jego prawej stronie niczym monolit, tj. posąg lub obelisk wyciosany z jednego kamienia. Wygląda to tak, jakby jakaś pradawna dłoń od początku przeznaczyła marmurowe bloki na nagrobki i płyty pamiątkowe.

W czerwcowym numerze „Scientific American“ z 1851 roku znaleźć można przedruk z „Boston Transcript“, dotyczący naczynia z kruszcu, znalezionego na wzgórzu Meeting

House w Dorchester po wysadzeniu olbrzymiej bryły skalnej:

„Po złożeniu znalezionych części otrzymano naczynie w kształcie dzwonu, wysokie na 10,5 centymetra, o szerokości 16,5 centymetra u podstawy i 8,5 centymetra u wierzchołka i grubości 0,5 centymetra. Kolorem przypomina cynk lub jakiś kruszec z dużą domieszką srebra. Po bokach znajduje się wzór kwiatowy złożony z sześciu elementów, pięknie wysadzany czystym srebrem. W dolnej części wije się gałąź winorośli lub wieniec, także inkrustowany srebrem. Jakiś zdolny rzemieślnik wyrytował, wyrzeźbił i inkrustował całe naczynie po mistrzowsku. To tajemnicze naczynie wykonano z twardego zlepieńca, wydobytego z głębokości 4,5 metra. Doktor J.V.C. Smith, który podróżował ostatnio po Wschodzie, badając setki najdziwniejszych sprzętów użytku domowego, jeszcze nigdy nie spotkał się z czymś podobnym. Nie ulega jednak wątpliwości, że przedmiot ten został wyrzucony na powierzchnię podczas wysadzania skały".

Ktoś mógłby oczywiście powiedzieć, że Amerykanie zbyt często ulegają urokowi sensacyjnych odkryć. Ale jeśli cała sprawa była czystą mistyfikacją, oszust wiele by ryzykował. Po pierwsze, naczynie w ogóle mogłoby nie być znalezione wśród gruzów; po drugie, wskutek eksplozji mogło się rozpaść na kawałki zbyt drobne, by je w całości zrekonstruować; po trzecie, oszust mógłby sam wylecieć w powietrze; po czwarte, żona przeklęłaby go za zniszczenie dla zwykłego żartu ich najdrogocenniejszego skarbu. Wreszcie, jeśli wszystko to było jedynie dowcipem, kto miałby na tym skorzystać?

W grudniowym numerze „Timesa" z 1851 roku ukazał się przedruk artykułu ze „Springfield Republican", zatytułowany *Zagadka dla archeologów*:

„Hiram de Witt, mieszkaniec Morrisonville w Illinois, powrócił niedawno z Kalifornii, przywożąc ze sobą skałę kwarcową wielkości ludzkiej pięści. Przyniósł on znalezisko na wystawę kamieni, którą zorganizowano w święto Dziękczynienia. Przez przypadek skałka została upuszczona na ziemię i rozpadła się ukazując wnętrze. W środku znaleziono metalowy gwóźdź, otoczony grubą warstwą kwarcu i nieco zardzewiały. Gwóźdź był zupełnie prosty, a jego główka nienaruszona. Kto zrobił ten gwóźdź? Kiedy znalazł się w nie skrystalizowanym jeszcze kwarcu? W jaki sposób dotarł do Kalifornii? Jeśli główka tego gwoździa potrafiłaby mówić, wiedzielibyśmy więcej o historii Ameryki, niż będzie to kiedykolwiek możliwe".

W liście z 5 grudnia 1875 roku do „American Antiquarian" niejaki Hannibal Fox opisał swoje dziwne odkrycie. Podczas orki znalazł w polu maskę wykonaną z żelaza i srebra. Opis tego znaleziska gazeta opatrzyła następującym komentarzem: „Topienie żelaza czy srebra w tyglu i przygotowanie matrycy przez pokrycie twarzy po śmierci gliną, a następnie wlewanie metalu, tak aby uzyskać rodzaj trwałego okucia, to czynności zbyt skomplikowane, aby były znane prymitywnym krajowcom czy nawet budowniczym kopców nagrobnych".

„Scientific American" z 22 lipca 1882 roku informuje o zagadkowym odkryciu reliktów kultury przedindiańskiej w Wirginii:

„Przedmioty znalezione w pobliżu góry Pisagah w Północnej Karolinie uznano za absolutnie unikalne. Niektóre z nich to sprzęty używane w gospodarstwie, ozdobione wyobrażeniami ludzi i zwierząt w płaskorzeźbie o różnym stopniu wypukłości. Jak się wydaje, tak precyzyjna robota mogła być wykonana jedynie za pomocą narzędzi metalowych".

Korespondent „Scientific Republican" stwierdza dalej, że postaci ludzkie utrwalone w płaskorzeźbach nie są wzorowane na podobiznach Indian amerykańskich, gdyż wszystkie okryte są obcisłymi ubraniami, które nie są strojem typowym dla Indian. Niektóre przedstawiają ludzi siedzących w fotelach, inne na grzbietach przeróżnych zwierząt – niedźwiedzi, piesków preriowych i ptaków. Można by sądzić, że nieznanemu twórcy nie brakowało wyobraźni. Tu jednak powstaje nowa zagadka. Niektóre rysunki wyobrażają jeźdźców dosiadających nosorożców, hipopotamów i wielbłądów dwugarbnych. Albo nasz tajemniczy rzeźbiarz na własne oczy widział te afrykańskie zwierzęta, albo zobaczył gdzieś ich podobizny, albo był nie tylko obdarzony wyobraźnią, lecz i posiadał dar jasnowidzenia.

„Scientific Republican“ wysuwa teorię, że „znalezione przedmioty to wytwory wcześniejszej i bardziej rozwiniętej cywilizacji, podbitej i częściowo zniszczonej przez Indian, których rasa biała odkryła po przybyciu do Wirginii“. Jednak „tylko biały człowiek mógł z taką precyzją i znawstwem oddać podobizny zwierząt Starego Świata“ – stwierdza bez dalszych wyjaśnień raport.

W naszej wyobraźni powstaje więc obraz człowieka z lasu, który napotyka schowek pełen niezwykłych statuetek, ukrytych w górach Allegheny przez jakąś „wcześniejszą i bardziej cywilizowaną rasę“. Człowiek ów zatrzymuje się, podziwia i jest tak poruszony mistrzostwem ich wykonania, że siada i posługując się siekierą i nożem, rzeźbi w znalezionym w pobliżu kamieniu swe własne wyobrażenia oraz ludzi dosiadających afrykańskich zwierząt. Następnie wkłada te dzieła do kryjówki i rusza swoją drogą...

9 czerwca 1891 roku pani S.W. Culp jak zwykle rąbała węgiel, aby go wrzucić do wiadra. Z rozbitej bryły wypadł na ziemię dziwny przedmiot. Początkowo myślała, że znaleziony w kawałku węgla łańcuch znalazł się tam przypadkiem, ale kiedy chciała go wyciągnąć, okazało się to niemożliwe; pękając bryła rozpadła się dokładnie w samym środku, a łańcuch był ułożony tak, że jego końce stykały się ze sobą tworząc kolistą obrożę. Gdy bryła rozłupała się, środkowa część łańcucha zwisała swobodnie, podczas gdy końce nadal pozostały zatopione w węglu.

Zostawmy tę zagadkę studentom archeologii, gdyż uwielbiają oni łamać sobie głowy nad geologiczną budową Ziemi, której głębiny kryją odwieczne tajemnice i ciągle wyrzucają je ze swego wnętrza niczym wieloryb wodę. Jedno jest pewne: węgiel ten pochodzi z karbonu i świadczy o tym, że jakieś istoty zdolne do twórczej pracy pozostawiły po sobie ślad w piaskach Pensylwanii.

Kwartalnik „Creation Research Society“ (marzec 1971) zamieścił list Franka J. Kenwooda, który pisze, że pracował kiedyś jako palacz w elektrowni miejskiej w Thomas w Oklahomie. „Pewnego razu, gdy rozbiłem kawał węgla, ze środka wypadł żelazny garnek, zostawiając w nim swój wycisk – pisał Kenwood. – Poszukując miejsca, z którego pochodził węgiel, dowiedziałem się, że został sprowadzony z kopalni Wilburton w Oklahomie".

Określenie wieku przedmiotów takich jak monety, łańcuchy, srebrne maski czy metalowe naczynia jest szczególnie trudne. Metoda radiowęglowa jest możliwa jedynie w przypadku materii organicznej, takiej jak kości, drewno, węgiel i wyroby włókiennicze.

Oczywiście nieraz już próbowano podobnych oszustw dla żartu lub zwykłej reklamy. Powierzchowne choćby badanie sposobu, w jaki dokonano wspomnianych odkryć, oraz analiza osobowości ludzi, którzy byli ich uczestnikami, wyklucza prawdopodobieństwo fałszerstwa podyktowanego chęcią zysku lub zabawy kosztem naiwnych. O ile bowiem wiadomo, żadna z tych osób nie rozbiła namiotu na podwórku i nie żądała opłaty za wstęp.

Z pewnością wielu czytelników pomyśli: no dobrze, jeżeli te nadzwyczajne wyroby rzeczywiście istnieją, dlaczego nigdy wcześniej o nich nie słyszałem? Wielu zadawało sobie to samo pytanie. Odpowiedź jest prosta: często przedmioty takie nieumyślnie gubiono, niszczono lub umieszczono w muzealnych magazynach, a niejeden trafił do „Smithsonian Institute", gdzie stłoczony w jakimś składzie, daremnie oczekiwał na dalsze badania.

Na łamach „New York Timesa" z lipca 1973 roku Felicja A. Holton opisuje znalezisko archeologiczne na farmie w południowej części Illinois, które podważyło dowody na to, że człowiek prehistoryczny żył w dorzeczu rzeki Valley przez osiem tysięcy lat. Na polu Teodora Kostera w Illinois znaleziono wyroby i kości, które przyczyniły się do tego, że miejsce to zasłynęło jako jeden z najważniejszych i najbardziej fascynujących terenów wykopaliskowych w Ameryce Północnej w ostatnim trzydziestoleciu. Dotychczas badacze odkryli piętnaście odrębnych warstw, noszących ślady ludzkiego osadnictwa, z których każda zachowała się w doskonałym stanie. Tak wyraźna separacja społeczności jest zjawiskiem wyjątkowo rzadkim w Ameryce Północnej. Dlatego też zespół naukowców i studentów, który próbuje ustalić historię mieszkańców tego terenu, uważa, że miejsce to jest potencjalnie najbogatszym źródłem informacji, niezbędnych do zrekonstruowania dziejów człowieka na obszarze Ameryki Północnej.

Zapewne wielu zastanawia się, dlaczego grupa jakichś zapalonych archeologów i antropologów z tak ogromnym entuzjazmem odnosi się do odkrycia określonego na osiem tysięcy lat, jeśli znajdowano już wyroby znacznie starsze. Otóż dzieje się tak dlatego, że wykopalisko w Illinois ujawnia kilka warstw kulturowych, przy czym duża różnorodność przedmiotów domowego użytku oraz budowli może wiele powiedzieć o ludziach, którzy niegdyś zamieszkali ten teren. Zwykła moneta, rzeźbiona głowa czy medalion to wyroby niewiele mówiące o wzajemnych stosunkach kilku kultur. Znalezienie na głębokości 4,5 metra metalowego kielicha inkrustowanego srebrem, pochodzącego z wysadzonej skały, jest faktem godnym uwagi dopiero wtedy, gdy tego rodzaju przedmiot zostanie wykopany w miejscu noszącym ślady pradawnej osady.

Można się oczywiście spierać, że budynki, drogi i mury są bardziej trwałe niż błoto i piach; nie zmyje ich deszcz i nie rozproszy burza i jeśli istniała tu niegdyś cywilizacja, musiał pozostać jej ślad na powierzchni ziemi. Powinniśmy jednak pamiętać, że masy lądu naszego globu przeszły w ciągu minionych lat przez kilka epok lodowych. Olbrzymie lodowce przesuwały się od bieguna spłukując, miażdżąc i ścierając na proch wszystko, co stanęło na ich drodze. Wystarczył jeden taki lodowiec, aby znieść z powierzchni ziemi ślady każdej cywilizacji, a przecież zlodowaceń było kilka. Chodzi o to, że lodowiec nie jest w rzeczywistości kataklizmem. Przesuwa się wolno, a jeśli już coś niszczy, to robi to całkowicie, tak że nic nie jest w stanie przetrwać. Gdyby nie nagły wybuch Wezuwiusza, nic by nie zostało z pięknych budowli Herkulanum czy Pompei, więc jeśli szukamy dowodów istnienia dawnych cywilizacji, trzeba spojrzeć wstecz, tam gdzie pradawna kultura mogła się zachować dzięki naturalnym żywiołom lub siłom przyrody.

Na wyspie Royal w stanie Michigan jakieś nieznane imperium zdołało wydobyć około tysiąca ton miedzi. Interesujące, że ludzie ci musieli posiadać środki do przetransportowania metalu z terenu wydobycia. W południowej części Ohio znaleziono kilka pieców hutniczych, a farmerzy w tym stanie ciągle jeszcze wykopują jakieś żelazne przedmioty na swoich polach. Pochodzenie tych pradawnych wytapiaczy żelaza do dziś nie jest znane. Mogli to być wikingowie, tajemniczy budowniczowie kopców lub dawno zapomniana cywilizacja, zamieszkująca niegdyś Amerykę. Można jedynie stwierdzić z pewnością, że kiedy pierwsi osadnicy przybyli do Ohio w latach 1790–1810, „znaleźli co najmniej sto porzuconych wzgórz, otoczonych kamiennymi fortyfikacjami. Niektóre z nich nadal znajdują się na wzgórzach Fort i Spruce oraz w forcie Glenford. Podobne umocnienia można spotkać w Hill Fort i Manchesterze. W tym ostatnim pierwsi osadnicy znaleźli też wyroby z cegły i krótki żelazny miecz". W roku 1820 Caleb Atwater opisał w swym raporcie piec obudowany cegłami, którzy widział w Circleville. W pobliżu znajdowały się sztylet i puchar, oba wykonane z kruszejącego już żelaza.

W czasopiśmie „Fate" z 1972 roku Clyde Keeler pisze, że próbując wyjaśnić tę zagadkę wraz z grupą innych poszukiwaczy, wykopał całkowicie nie naruszony piec: „Po zamknięciu został wypełniony błotem i wapiennym marglem. W środku znajdował się mały gwóźdź z prostokątną główką wbity w cienką deskę, obrabiane drewno, żużel, gładzone kamienie i ludzkie kości. W odlanej formie znalazłem także dwudziestokilogramową sztabę żelaza".

W grudniu 1869 roku „Los Angeles News" wydrukowały sprawozdanie uzupełnione przez korespondenta „Cleveland Herald" z Wellsville w stanie Ohio:

„Kapitan Lacy z Hammondsville w Ohio zatrudnił ludzi do wykopania wejścia do nadszybu węglowego. Podczas tej pracy olbrzymia góra węgla runęła w dół, odsłaniając ogromny, gładki wał łupkowy, na powierzchni którego widniało kilka wyraźnych wersów wypisanych hieroglifami. Dotychczas nikt jeszcze nie zdołał rozszyfrować, w jakim języku napisano te słowa. Litery są wypukłe, a pierwsza linijka zawiera ich dwadzieścia pięć. Przypuszczalnie zostały wycięte w węglu jeszcze w okresie jego tworzenia się z torfu. Materia, z której powstają łupki, musiała wypełnić odcisk wyrzeźbionych liter, a potem się utrwalić, gdyż po usunięciu węgla odkryliśmy, że litery na łupkowej ścianie są odwrócone".

Ta łupkowa ściana z tajemniczymi hieroglifami została odkryta na głębokości 30,5 metra pod ziemią. Jeśli litery wyciosano w węglu w stadium jego tworzenia, jak sugeruje dziennikarz, znów mielibyśmy do czynienia z okresem karbońskim sprzed około dwustu pięćdziesięciu milionów lat!

„Scientific American" ze stycznia 1886 roku przynosi raport z Lexington w Kentucky, który mówi o masywnym podziemnym murze kamiennym, odkopanym przez pracowników kamieniołomu odległego o kilka kilometrów od szczytu Frankfort:

„Szwy i spoiwa zaprawy były tak gładkie, że musiały być wykonane przez ludzi. Ponad murem usunięto trzymetrową warstwę osadu i sześciometrową warstwę skalną. Posuwając się powstałym w ten sposób chodnikiem, kopiący przemierzyli dwanaście metrów od miejsca, w którym rozpoczęli pracę. Tak więc znaleziony mur znajdował się w centrum kopalni wapienia, którą zbudowano już po jego ustawieniu. Z przodu był dokładnie wykończony, a wrażenie masywności, jakie sprawiał, zawdzięczał umiejętnym rękom, które pogrzebano przed wiekami, a których dziś pozazdrościliby najlepsi budowniczowie i murarze".

W roku 1953 górnicy kopalni Lion w Wattis w stanie Utah natknęli się na sieć tuneli o wymiarach 1,5 do 2 metrów wysokości i szerokości, w których znajdował się węgiel pochodzący z tak zamierzchłej przeszłości, że zwietrzał do stanu nie nadającego się już do celów ogrzewniczych ani nawet na podpałkę. Poszukiwania w pobliżu góry, prowadzone w liniach będących przedłużeniem podziemnych tuneli, nie doprowadziły do żadnego wejścia. Tunele odkryto, gdy górnicy pracowali w dwuipółmetrowym chodniku głębokości 2600 metrów, co dowodzi niezbicie, że powstały one zbyt dawno, aby jakiekolwiek ślady na zewnątrz przetrwały do dzisiaj.

W 1954 roku profesor John E. Wilson z Wydziału Inżynierii na uniwersytecie w Utah wygłosił nastąpujący komentarz dla pisma „Coal Age“: „Nie ma wątpliwości, że oba przekopy zostały zrobione przez ludzi. Prawdopodobnie zostały wykopane na długości około 140 metrów, poczynając od zewnątrz aż do miejsca, w którym znaleźli je górnicy. Nie istnieją jednak żadne znane nam przesłanki dla określenia ich wieku“.

Jesse D. Jenninge, profesor antropologii na uniwersytecie w Utah, nie potrafił zidentyfikować tajemniczych kopaczy z przeszłości, ale zaprzeczył, jakoby olbrzymie tunele oraz węglowe wyręby mogły być dziełem plemienia Indian amerykańskich. Powiedział:

„Po pierwsze, takie prace wymagałyby bezpośredniego zapotrzebowania na węgiel na pobliskim terenie, ponieważ przed przybyciem białego człowieka transport odbywał się przy pomocy ludzi dźwigających ładunek. Jeśli chodzi o zużycie, nie ma śladów istnienia tak ogromnych palenisk węgla wśród tubylców zamieszkujących rejon kopalni w Wattis“.

W listopadzie 1967 roku jedna z kolumn „Dallas Morning News“ zamieściła opis miasta pogrzebanego pod ziemią w Rockwall w stanie Teksas. Największy spór dotyczył kwestii, czy dziesięć spośród trzystu osiemdziesięciu kilometrów kwadratowych stanowiło fundament dla olbrzymich murów kamiennych starożytnych fortyfikacji, z których niektóre osiągały nawet wysokość piętnastu metrów, czy też – jak utrzymywała większość geologów – były tylko tworem natury w kształcie piaskowych dajk, tj. żył skał magmowych. Ponieważ skały tworzące dajki są zwykle odporniejsze na wietrzenie niż skały otaczające, tworzą więc w terenie jakby wały lub groble.

Badacz Raymond B. Cameron stwierdził, że mury tajemniczego miasta były grube na dwadzieścia centymetrów, a kamienie ułożone jeden na drugim, tak że końcami wrzynały się w środek kamieni sąsiadujących z nimi u góry lub u dołu. To oznacza, że pracę wykonał jakiś doświadczony budowniczy. Krawędzie kamieni sprawiały wrażenie, jakby zostały okantowane. W ten sposób uzyskały kształt zbyt regularny, aby mógł powstać pod wpływem działania samych tylko czynników atmosferycznych lub innych sił przyrody.

Cameron twierdził dalej, że między kamieniami znajduje się rodzaj zaprawy, ale za największą sensację uznał to, że po wyjęciu ze ściany czterech olbrzymich kamieni dostrzeżono na nich napisy, które nie mogły powstać w wyniku erozji, gdyż jej działanie pod ziemią nie jest możliwe. Znany archeolog, hrabia Byron Kuhn z Porok, który odwiedził Dallas w latach dwudziestych naszego stulecia, wyraźnie skłaniał się ku opinii, że były tam niegdyś mury starożytnego miasta, gdyż bardzo przypominają odkryte podczas wykopalisk w Afryce Północnej i na Środkowym Wschodzie.

W czerwcu 1969 roku ludzie pracujący przy wyrównywaniu półki skalnej między Edmond i Oklahomą natknęli się na formację skalną, która wzbudziła wiele kontrowersji wśród badaczy tego rejonu. Dla laika miejsce to przypominało kafelkową mozaikę podłogową. Nawet niektórzy eksperci nie mogli się oprzeć podobnemu wrażeniu. „Jestem pewien, że wykonał ją człowiek, ponieważ kamienie ułożono precyzyjnie między równoległymi liniami, które przecinają się nawzajem tworząc kształt diamentu, przy czym wszystkie skierowane są na wschód" – powiedział Durwood Pate, geolog z Oklahoma City, badający ten teren. „Znaleźliśmy otwory po słupach oddalonych dokładnie co dziewięć metrów od siebie. Wierzchołek kamienia jest zupełnie gładki, ale jeśli się go podważy, widać pod spodem wyżłobienia wskazujące na zniszczenie powierzchni. Wszystko jest zbyt precyzyjnie wykonane, by uznać to za formację naturalną".

Doktor Robert Bell, archeolog z uniwersytetu w Oklahomie, wyraził pogląd, że wspomniane znalezisko nie jest, jak twierdzi większość ekspertów, dziełem ludzi, ale wytworem natury. Powiedział, że nie dostrzegł śladu żadnej substancji służącej jako zaprawa murarska. Jest to o tyle dziwne, że przecież Pate wydobył spomiędzy kamieni rodzaj błota i uznał je za naturalne spoiwo.

Delbert Smith, geolog i prezes Towarzystwa Sejsmograficznego w Oklahomie, stwierdził, że zespół skał znaleziony na głębokości około jednego metra rozpościerał się na powierzchni wielu kilometrów kwadratowych. Powiedział: „Bez wątpienia dokonali tego ludzie, ale nie mam pojęcia, kim byli".

Wesley Swanson natrafił na odłamek kamienia, na którym widoczne były ślady obróbki, jak gdyby formowano go w rodzaj narzędzia. Według Pate'a, przedmiot wyglądał jak prymitywna siekiera lub narzędzie ogrodnicze. Stwierdził ponadto, że dopiero gdyby znaleziono jakieś narzędzie z drewna lub innej substancji organicznej, można by zastosować technikę radiowęglową dla określenia przybliżonego wieku znaleziska.

Pate uznał, że kamienie w kształcie diamentów tworzyły posadzkę ludzkiego schronienia, ponieważ jedynie bardzo długie użytkowanie mogło tak dokładnie wygładzić ich powierzchnię. Wyraził też przypuszczenie, że prawdopodobnie istniało kilka pomieszczeń, na co wskazywały duże rozmiary tego podłoża.

„Majowie zamieszkujący tereny Ameryki Środkowej budowali kamienne posadzki – dowodził Pate. – Nie ustalono dotąd, czy Indianie z obszaru Wielkich Równin także to robili, ale przecież nie jest to wykluczone".

Ponieważ te pogrzebane pod ziemią miasta znaleziono na terytorium Teksasu i Oklahomy, wielu zaczęło je podświadomie łączyć z ekspansją kolonialną Majów i Azteków z Ameryki Środkowej i Meksyku, co samo w sobie byłoby archeologiczną sensacją. Ale prawdziwą rewolucją, wywracającą wszystko do góry nogami, byłoby stwierdzenie, że istniała kiedyś na tych terenach rozwinięta cywilizacja, o której dziś właściwie nic nie wiemy.

Pamiętajmy, co powiedział Paul Valéry: „Cywilizacje także są śmiertelne".

CZĘŚĆ 5

ZAGADKOWE ZWIERZĘTA

CZY ŻYJĄ JESZCZE DINOZAURY?

Pewne odkrycia w Afryce powołały do życia osobliwy problem, który warto jasno przedstawić i zastanowić się nad nim, mimo że wywołuje on niechęć uczonych. Lecz dla ogółu jest to kwestia rozpalająca wyobraźnię. Rzecz dotyczy pytania, zrodzonego być może z marzeń: czy jest możliwe, by jakieś dinozaury żyły jeszcze w najbardziej zapadłych zakątkach Ziemi?

Mamy oczywiście dowody na poparcie twierdzenia, że dinozaury wyginęły z kretesem przed milionami lat, choć sporo ludzi wierzy, że one jeszcze istnieją. Dowody, które przytaczają, są rzeczowe, chociaż wyłącznie pośrednie. Znaczna ich część mogłaby zostać odrzucona jako wytwory wyobraźni, pomyłki, efekt zbyt daleko posuniętego entuzjazmu czy niedorzeczności głoszone przez tubylców. Jednakże istnieją zwierzęta, jak tuatara (zwana też hatterią, *Sphenodon punctatus*), gatunek gada o długości jednego metra, i kilka milionów krokodyli, których istnieniu nie można zaprzeczyć, gdyż owe gady są równie realne jak słonie z naszych ogrodów zoologicznych czy bydło z naszych pól. A przecież zwierzęta te, pochodzące sprzed milionów lat, przetrwały do naszych czasów bez żadnych istotnych przeobrażeń cielesnych.

Znany południowoamerykański myśliwy, szczycący się swym nazwiskiem – F. Gobler (po polsku *gobbler* znaczy mniej więcej „pożerający wszystko"), po powrocie z Angoli oświadczył w dzienniku „Cap Argus", że w Afryce żyje olbrzymie zwierzę, którego wygląd można porównać do rzekomego dinozaura z bagien jeziora Dilolo, którego tubylcy nazywają *chipekwe*. „Jego waga – twierdził on – wynosiła podobno cztery tony, atakuje nosorożce, hipopotamy i słonie. Myśliwi słyszeli w nocy, jak *chipekwe* pożera zabitego nosorożca, miażdżąc kości i wyrywając ogromne kawały mięsa. Głowę i ogon ma takie same jak ogromna jaszczurka. Jeden z uczonych niemieckich sfotografował go. Przeszukiwałem bagna, lecz tubylcy powiedzieli, że pojawia się on niezmiernie rzadko i nie mam żadnej szansy na wytropienie tego potwora. Niemniej jestem przekonany, że *chipekwe* istnieje naprawdę."

Oświadczenie i zdjęcie wywołało na łamach dziennika eksplozję komentarzy, lecz najdziwniejsze było to, że większość specjalistów, zarówno spośród naukowców, jak i myśliwych znających dobrze te okolice, przyznawała, że istnienie tego potwora jest możliwe.

Inny znany łowca grubej zwierzyny, major H.C. Maydon, mający ponad dziesięcioletnie doświadczenie w polowaniu na zwierzęta w Afryce, napisał na ten temat: „Czy ja w to wierzę? A dlaczego nie? Jest w tym, według mojej oceny, pięćdziesiąt procent tubylczej wyobraźni, lecz i zarazem pięćdziesiąt procent prawdy. Kiedyś w Livingstone w Rodezji spotkałem człowieka, starego myśliwego badacza, który przysięgał, że widział potwora wodnego w jeziorze Mweru (czy Moero) i badał jego ślady. A dlaczego nikt jeszcze nie złapał żadnego z nich? Dlatego, że żyją w lasach albo na bagnach. Ilu ludzi widziało bongo (wielką antylopę *Tragelaphus* z lasów i z trzęsawisk) albo olbrzymiego leśnego wieprza (*Hylochoerus* z Meinertzhagen, krewny babirussy) czy dujkera o żółtych plecach (małą leśną antylopę *Cephalophus*)? A przecież nie są one wyjątkowo rzadkimi okazami".

Również wart zastanowienia jest fakt, że najsłynniejszy handlarz zwierząt, Carl Hagenbeck, nie tylko wierzył w te opowiadania, lecz i wyłożył znaczną sumę pieniędzy na zorganizowanie wyprawy, którą wysłał do Afryki pod wodzą swego najlepszego myśliwego. Trzeźwy człowiek interesu,

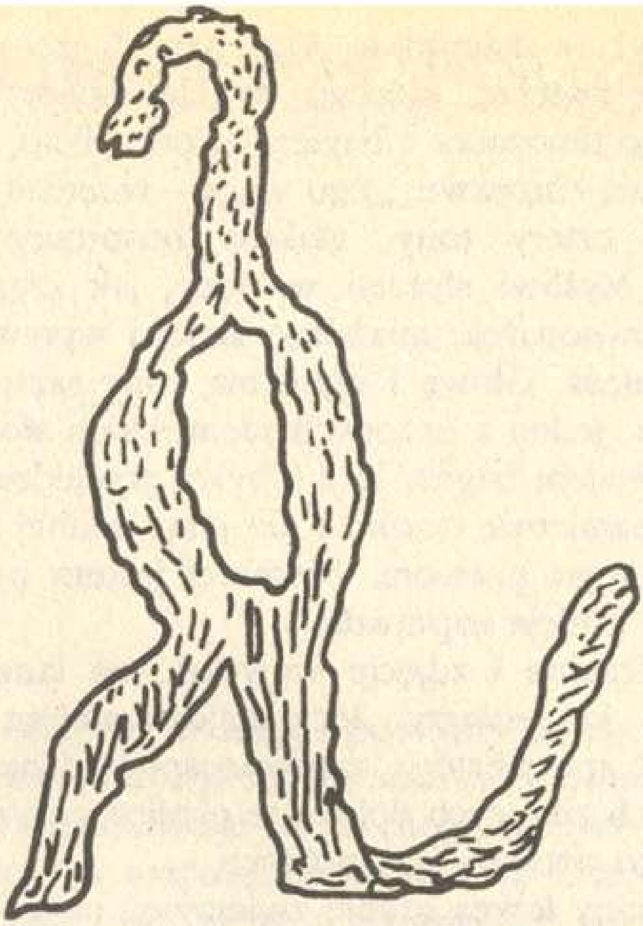

Domniemany wizerunek tyranozaura, odkryty na skałach jednego z kanionów w Arizonie.

mający wieloletnie doświadczenie w zakupie i sprzedaży zwierząt, nie angażowałby się w podobną sprawę, gdyby nie miał bardzo realnych podstaw, by sądzić, iż jego pieniądze przyniosą mu konkretne korzyści.

„Otrzymałem z dwu konkretnych źródeł – pisał Hagenbeck – doniesienia o istnieniu ogromnego, całkowicie nieznanego zwierzęcia, które podobno mieszka w Rodezji. Otrzymałem w rzeczywistości identyczne relacje, jedną od moich współpracowników, drugą od angielskiego dżentelmena, który był na polowaniu na grubego zwierza w Afryce Środkowej. Doniesienia te były więc całkowicie niezależne od siebie. Tubylcy opowiadali obu moim informatorom, że w głębinach wielkich bagien żyje ogromny potwór, na pół słoń, na pół smok. Nie jest to jednakże jedyne świadectwo istnienia tego zwierzęcia. Już wiele lat temu Menges (Joseph Menges, podróżnik – myśliwy Carla Hagenbecka –

przyp. red.), który jest oczywiście godny zaufania, słyszał podobną opowieść od Murzynów; jeszcze bardziej niezwykłe było doniesienie, że na ścianach niektórych grot środkowej Afryki znajdują się autentyczne rysunki tego dziwnego stworzenia. Według tego, co opowiadano mi o zwierzęciu, może to być jedynie rodzaj dinozaura, zbliżonego prawdopodobnie do brontozaura".

Łatwo jest śmiać się z tych opowieści, drwić z majora Maydona i nieszczęsnego handlarza zwierząt. Wolno traktować takie relacje ze sporą dozą sceptycyzmu i ostrożność jest bez wątpienia warta zalecenia, jeśli nie chce się mieć na karku całego tabunu pukających się w głowę uczonych. Jednakże pozostawienie zarazem sprawy swojemu biegowi byłoby postawą niegodną badacza.

Granice zoologii są bardzo szerokie – liczba zwierząt, które mogą być jeszcze wykryte na naszej planecie, jest o wiele większa, niż można sobie wyobrazić i niż ogół gotów jest uznać. I nie są to tylko mikroskopijne robaki czy maleńkie tropikalne chrząszcze, lecz także duże zwierzęta jak np. okapi (zwierzę wielkości małego konia), którego istnienie do roku 1900 uważane było za bajkę. Liczba rodzajów zupełnie nowych zwierząt, które odkrywa się co roku, jest zaskakująco wysoka.

Upowszechnił się pogląd, że powierzchnia Ziemi jest dziś dokładnie zbadana, w większej części dobrze poznana i odtworzona na mapach. Jest to pogląd fałszywy. Procent powierzchni ziemskiej, która jest rzeczywiście zamieszkana, oznaczona, uprawiana albo służy do regularnej komunikacji, jest bardzo mały. Nawet jeśli do tego dodać obszar, który jest używany jedynie do polowań albo zbiorów, to i tak rozległe tereny pozostają całkowicie nie użytkowane.

Takie tereny znajdują się na każdym kontynencie: na każdym kontynencie są strefy, do których nie dociera żaden człowiek przez wiele lat. I nie są to tylko rozpalone pustynie albo lodowe połacie stref podbiegunowych.

W pewnych rejonach tropików istnieją tereny nieprawdopodobnie rozległe, gdzie nikomu nie udało się jeszcze dotrzeć. Nietknięte łańcuchy górskie w Australii były oglądane tylko z dołu, nikt nie zapuścił się dotąd na wielkie połacie północnych Himalajów, nie udało się nikomu zwiedzić mrocznych zakątków Nowej Gwinei. Bagniste ziemie Addaru w środkowej Afryce zajmują blisko 4700 kilometrów kwadratowych, a moczary z Bahr el Ghazal o wiele więcej. Fakt, że na mapie są zaznaczone nazwy, nie oznacza wcale, iż kraj jest znany! Lotnicze zdjęcia topograficzne, wykonane nowoczesną techniką, umacniają jedynie fałszywe przekonanie, ponieważ mnóstwo szczegółów terenowych zostało zarejestrowanych z dość dużą precyzją i szybko umieszczonych w atlasach. Otrzymują one nazwy i zapełniają puste miejsca, gdy tymczasem kraj pozostaje nietknięty.

Innym faktem, z którego nie zdają sobie w pełni sprawy nawet specjaliści, jest niezwykła selektywność, jaką przejawiają liczne zwierzęta w wyborze miejsca osiedlenia się. Zwłaszcza wielkie zwierzęta starają się przebywać w strefie jak najbardziej ograniczonej, która często jest bardzo specyficzna, jeśli idzie o szatę roślinną lub inne charakterystyczne cechy środowiskowe. Nawet zwierzęta wędrowne, przemieszczając się często z jednej do drugiej części jakiegoś szczególnie odpowiadającego mu rodzaju lasu, unikają innych lasów. Hipopotamy całymi stadami żyją w pewnych odcinkach rzeki i nigdy nie zobaczy się ich w innych. Wszelkie stworzenia, które żyją w tropikalnych bagnach otoczonych suchą dżunglą, pozostaną tam zawsze i o ile na te bagna nie przedostaną się ludzie, może ich nikt nigdy nie zobaczyć. Na takich bagnistych terenach, rozciągających się na przestrzeni 4700 kilometrów kwadratowych, może z pewnością ukrywać się wiele ogromnych zwierząt.

Jeszcze większe możliwości ukrycia się przed naszymi oczami mają zwierzęta wodno-lądowe. Nie od rzeczy jest tu zauważyć, iż wszelkie świadectwa dotyczące nie zidentyfikowanych zwierząt podobnych do dinozaurów odnoszą się do stworzeń błotnych, które chowają się do wody, kiedy czują niebezpieczeństwo.

Rozległość Afryki jest przysłowiowa i może być potwierdzona przez tysiące pilotów, lecz aby można było rzeczywiście to ocenić, trzeba zobaczyć wszystko z poziomu ziemi.

I tylko obserwując z ziemi można również zrozumieć prawdziwy charakter tropikalnych lasów i bagien. Można spędzić wiele czasu wypatrując w małym skrawku zarośli zwierzęcia, którego się nie widzi, choć słyszy się jego oddech. Można nie zauważyć nawet słonia, który potrafi poruszać się bezszelestnie wśród trzcin.

Nic więc dziwnego, że mieszkańcy Afryki, a szczególnie myśliwi polujący na grubą zwierzynę w najbardziej odludnych terenach, nie żartują sobie z opowiadań, które tak bawią ignorantów. Weźmy choćby opowieść przywiezioną w roku 1920 z Kongo przez niejakiego M. Lepage'a.

Człowiek ten powrócił z wyprawy myśliwskiej i oznajmił, że spotkał na bagnach niezwykłe, ogromne zwierzę. Zwierzę to zaatakowało go, wydając rodzaj pomruku. Myśliwy strzelał jak szalony, lecz widząc, że to nie powstrzymuje zwierzęcia, wycofał się pospiesznie. Kiedy potwór zaniechał pościgu, Lepage odwrócił się i obserwował go przez lornetkę przez dość długi czas. Oświadczył, że zwierzę miało osiem metrów długości, długi, spiczasty pysk, mały róg nad nozdrzami i łuskowatą narośl na górnych kończynach. Jego przednie łapy wydawały się uformowane jednolicie jak u konia, lecz łapy tylne zakończone były oddzielnymi palcami.

Najdziwniejszą rzeczą w tych opowiadaniach jest nie tyle ich liczba, co krańcowe rozproszenie miejsc ich pochodzenia. Do tego jeszcze nasze nowoczesne atlasy są bardzo mylące z powodu zwyczaju, wypływającego na ogół z konieczności, umieszczania całej Afryki na jednej stronie, co stwarza wrażenie, że Kamerun nie leży zbyt daleko od górnego biegu Nilu. Ta odległość wynosi faktycznie 2500 kilometrów, a obszar pomiędzy jednym i drugim to rozległe tereny lasów, błot i sawann. Tubylcy mieszkający po jednej stronie tego obszaru nie mają zupełnie nic wspólnego z mieszkańcami z drugiej strony, a jednak na obu krańcach słyszy się pełno bardzo podobnych historii.

Historie opowiadane przez tubylców spotyka się na całym obszarze lasów w strefie deszczów równikowych, od Gambii na zachodzie, do Nilu na wschodzie i ku południowi aż do Angoli i Rodezji. Myśliwi Carla Hagenbecka słyszeli takie opowiadania w Liberii, a szef niemieckiej wyprawy do Kamerunu w 1913 roku sporządził bardzo interesujące sprawozdanie, które nigdy nie zostało w całości opublikowane, lecz którego fragmenty były cytowane przez wielu autorów. Z bardzo odległych od siebie okolic zebrał on opisy domniemanego zwierzęcia, nazywanego *mokele-mbembe*; dostarczyli mu ich doświadczeni miejscowi przewodnicy, którzy absolutnie nie mogli się znać ani kontaktować ze sobą.

We fragmentach jego raportu czytamy: „Zwierzę, jak mówią, ma szarobrązową, gładką skórę, jest prawie tak wielkie jak słoń, a przynajmniej jak hipopotam. Ma podobno długą, bardzo giętką szyję i coś w rodzaju rogu. Inni mówili też o długim, muskularnym ogonie jak u krokodyla.

Łodzie, które się próbują doń zbliżyć, zwykle zostają zatopione – zwierzę atakuje je błyskawicznie i zabija ludzi, lecz nie zjada ciał. Stworzenie to żyje rzekomo w grotach wydrążonych przez rzekę w iłach przybrzeżnych na wyraźnych zakolach. Mówi się, że potwór wychodzi na brzeg nawet w biały dzień, szukając pożywienia; jest podobno wyłącznie roślinożerny. Szczegół ten nie pasuje do mitycznych wyobrażeń zwierząt. Pokazywano mi jego ulubioną roślinę – rodzaj liany o dużych, białych kwiatach, mlecznym soku i owocach podobnych do jabłek. Na wybrzeżu rzeki Ssombo pokazywano mi ślady, które rzekomo zostawiło to zwierzę szukając pożywienia. Trop był świeży, a rośliny opisywanego gatunku znajdowały się naokoło. Lecz było tam tyle śladów słoni, hipopotamów i innych ssaków, że nie można było wyodrębnić specjalnego tropu".

Na temat wiarygodności opowiadań tubylców toczy się zajadłe dyskusje. Opinie wydają się być prawie równo podzielone, choć obie strony skłonne są lekceważyć pewne fakty. To prawda, że animistyczne wierzenia mieszkańców Afryki pełne są duchów, tak realnych dla tubylców jak dla nas zwierzęta.

Jednocześnie należy podkreślić ich doskonałą znajomość przyrody: Afrykańczyk potrafi nazwać wszystkie zwierzęta swego kraju, zna dokładnie ich obyczaje i odróżnia wszelkie najdrobniejsze ich odmiany.

W kontaktach z cudzoziemcami zdarza się, że aby sprawić przyjemność słuchaczowi, Afrykańczyk przejaskrawia fakty, a nawet często fantazjuje. Lecz równie silna jest jego niechęć do ujawniania jakichkolwiek szczegółów dotyczących jego terenu, które, jak sądzi, mogłyby interesować cudzoziemca. Wypływa to z lęku i przykrych doświadczeń. Ale jeśli uda się już zdobyć zaufanie mieszkańca Afryki i ten zaczyna opowiadać o obyczajach zwierząt, należy słuchać go z uwagą. Afrykańczycy zawsze uważali, iż komary mają coś wspólnego z malarią, który to fakt został przez nas stwierdzony stosunkowo niedawno. Podobnie było z okapi – mówiono o nim w Afryce na długo wcześniej, zanim biały człowiek po raz pierwszy schwytał to zwierzę.

Posłuchajmy więc, o czym jeszcze mówi się w Afryce.

Nieżyjący już król Lewanik z plemienia Barotse interesował się żywo fauną swego kraju i znał opowieści o ogromnym gadzie, żyjącym na terenie wielkich bagien. Przekazał swoje informacje białym, lecz prawie nikt nie uwierzył w nie. Wydał więc bezwarunkowy rozkaz, aby następnym razem, skoro tylko któryś z jego poddanych zobaczy zwierzę, natychmiast dano mu znać. Po pewnym czasie zgłosiło się trzech mężczyzn z oświadczeniem, iż na brzegach spotkali zwierzę, które miało długą szyję i małą głowę, podobną do głowy węża, i że wycofało się na błota czołgając się na brzuchu. Król udał się niezwłocznie w to miejsce i w swym urzędowym raporcie oświadczył, że zwierzę zostawiło szlak w trzcinach „tak szeroki, jak gdyby go przebił trek-wagon (wóz transportowy Burów, przypominający słynne „kryte wagony“ z czasów podboju Dzikiego Zachodu) po zdjęciu kół“.

Inne lokalne świadectwa pochodzą z bardzo oddalonych od siebie źródeł. Doświadczony biały myśliwy, niejaki Stephens („sierżant“ Stephens, wspomniany przez wielkiego przyrodnika angielskiego, Johna Guille'a Millaisa), sprawujący nadzór nad dużym odcinkiem linii telegraficznej, biegnącej wzdłuż brzegów górnego Nilu, dostarczył wielu wskazówek o ogromnym gadzie, mieszkającym na moczarach i znanym wielu plemionom pod nazwą *lau*. Tubylcy opisywali Stephensowi zwierzę bardzo szczegółowo, a kilku z nich utrzymywało, iż byli przy tym, jak je zabijano. Różnice dotyczące długości tajemniczego *lau* były znaczne (oceny wahały się od 12 do 30 metrów), jednakże panowała zgoda co do tego, że był gruby jak osioł, maści ciemnożółtej i że miał głowę wyglądającą niegodziwie, podobną do głowy węża, z wieloma mackami czy też „grubymi kolcami", które wyciągał, chcąc chwycić swą ofiarę. Później belgijski administrator kolonialny w Kongo oświadczył, że niejeden raz widział *lau* na bagnach i strzelał do niego.

Jedno z bardziej przekonujących sprawozdań tubylców pochodzi z Rodezji Północnej i wydaje się dotyczyć zwierzęcia spokrewnionego z *chipekwe*. Pewien Anglik („pisarz" o nazwisku J.E. Hughes), który spędził osiemnaście lat nad jeziorem Bangweolo w tym kraju, opisał zabicie jednego z tych zwierząt, tak jak mu to przedstawił wódz plemienia z tych stron, który słyszał o wydarzeniu od swego dziadka. Prawdopodobnie mężczyźni z plemienia zabili to zwierzę oszczepami używanymi do polowań na hipopotamy. Miało gładkie ciało, bez sierści, ciemną barwę, a jego głowa ozdobiona była pojedynczym rogiem z białej kości.

Historia ta była głęboko zakorzeniona w lokalnej tradycji i wspomiany Anglik wierzył w istnienie zwierzęcia. Przyczyniło się do tego zapewne oświadczenie angielskiego urzędnika o nazwisku H. Croad, który słyszał, jak jakieś wielkie zwierzę pluskało się w jeziorze nocą, a nazajutrz rano badał ogromnych rozmiarów nieznane ślady na brzegu.

Nazwa „dinozaur", która oznacza po prostu „straszliwą jaszczurkę", jest terminem potocznym, a nie naukowym. Najlepiej by było nadać tę nazwę dwu grupom gadów, uważanym za ostatecznie wymarłe, lecz często określa się tym mianem także wymarłe gatunki wielkich zwierząt z wszelkich innych grup, wliczając w to praszczurów żółwi, krokodyli i jaszczurek. Jednakże ani w znaczeniu ogólnym, ani gatunkowym nazwa dinozaur nie musi przywodzić na myśl koniecznie prymitywnej budowy, archaiczności genetycznej czy nawet wielkich rozmiarów, gdyż istnieje dużo takich osobników, które są wielkości średniej, małej lub miniaturowej. Krokodyle jako grupa są równie stare i pojedynczo znacznie większe niż wiele dinozaurów, a żółwie należą do jednej z najbardziej prymitywnych grup spośród wszystkich gadów. Mała tuatara o kształcie jaszczurki, która żyje jeszcze na wyspach w pobliżu Nowej Zelandii, jest w ogólnym pojęciu dinozaurem; jest ona stworzeniem o wiele bardziej prymitywnym – pochodzi z dawniejszych czasów niż obie grupy zwierząt, nazywane przez nas w wąskim sensie dinozaurami.

Te ustalenia stawiają całe zagadnienie w zupełnie innym świetle. O ile żółwiom, tuatarze i krokodylom udało się przeżyć od epoki gadów, nie ma rzeczywiście żadnych powodów, aby zwierzęta z innych grup, wśród których znajduje się sporo osobników o wiele mniej prymitywnych i w ramach których mieszczą się okazy zakwalifikowane do dinozaurów, miałyby również nie przeżyć. Większość gadów wyginęło przy końcu okresu zwanego kredowym, kiedy bardziej energiczne i zwinne ssaki zyskały przewagę. Lecz nie jest wykluczone, że kilka z nich mogło przetrwać aż do naszych czasów w ogromnych, odizolowanych bagnach afrykańskich, jedynej części świata, która pozostała tropikalna i względnie niezmienna od okreu kredowego i której prawie nie dotknęły ani wielkie zlodowacenia, ani ruchy górotwórcze epok przejściowych.

Czy wszystko to może być tylko wytworem wyobraźni i marzeń? Czy ci wszyscy myśliwi polujący na grubą zwierzynę, strażnicy rezerwatów dla zwierząt, afrykańscy urzędowi kronikarze szukali tylko sensacji lub byli pijani?

Nie ma dowodu naukowego, że dinozaury przetrwały do naszych czasów. Ale nie ma też całkowitej pewności, że ich pojedyncze egzemplarze nie mogły przetrwać.

ŻYWY PTERODAKTYL I INNE ZAGADKOWE ZWIERZĘTA

„The Illustrated London News" z 9 lutego 1856 roku donosił:

Prawdziwy potwór. W Culmont (Haute-Marne) dokonano odkrycia o wielkim znaczeniu naukowym. Robotnicy zatrudnieni przy kopaniu tunelu, który miał udostępnić połączenie dwu linii kolejowych z Saint-Dizier i Nancy, wysadzili potężny blok kamienny i właśnie rozbijali go na kawałki, gdy nagle spostrzegli, jak z jamy, która się tam znajdowała, wyszło żywe stworzenie o potwornym wyglądzie. Ten stwór, który wydaje sią należeć do klasy zwierząt uważanych za wymarłe, miał bardzo długą szyję i paszczę uzbrojoną w spiczaste zęby. Opierał się na czterech długich łapach, które były połączone błonami, przeznaczonymi zapewne do utrzymywania zwierzęcia w powietrzu, i zakończone czterema palcami zaopatrzonymi w długie, haczykowate pazury. Kształtem przypominał nietoperza i różnił się od niego tylko wielkością – był mniej więcej rozmiarów gęsi. Jego błoniaste skrzydła rozpościerały się na około 3,2 metra. Był szaroczarny, miał skórę gładką, grubą i tłustą; jelita zawierały tylko bezbarwny płyn. Kiedy wyszedł na światło, przejawił kilka oznak życia i poruszył skrzydłami, lecz wkrótce potem skonał wydając chrapliwy krzyk. Ten dziwaczny stwór, którego można określić jako żywą skamielinę, został dowieziony do Gray, gdzie pewien przyrodnik, bardzo biegły w dziedzinie paleontologii, natychmiast go rozpoznał jako należącego do rodzaju *Pterodactylus anas*, którego szczątki kopalne odnajduje się w warstwach, określanych przez geologów nazwą „lias". Skała, w której potwór ów został odkryty, należy do formacji szacowanej przez geologów na ponad milion lat. Jama, w której znajdowało się zwierzę, miała dokładny kształt jego ciała, co wskazuje, iż było ono zupełnie otoczone przez złóg osadowy. (Prasa z Gray).

W styczniu 1960 roku ukazała się w kilku dziennikach północnej Kalifornii („San Francisco Examiner", „Humbelt Times") ciekawa informacja. Vern Harden, hodowca zwierząt, opowiadał, jak łowiąc ryby w odległym jeziorze w Trinity Alps, za pomocą haka na rekiny, zamocowanego do struny od pianina, złapał ogromną salamandrę długości ponad 2,5 metra.

Trinity Alps i znaczna część północnej Kalifornii stanowią tereny bardzo urozmaicone i mało znane. Poza kilkoma drogami, zbudowanymi w stosunkowo niedawnych czasach, można tam znaleźć zakamarki zupełnie nie zbadane. Jest to ten sam obszar, skąd napływa tyle wieści o Wielkich Stopach (Sasquatchach).

Oczywiście znane są salamandry olbrzymie w Japonii i w Chinach (*Megalobatrachus japonicus* i *davidianus*) żyjące mniej więcej na tej samej szerokości geograficznej, na tej samej wysokości bezwzględnej i w podobnym środowisku. Te azjatyckie salamandry osiągają maksimum 1,8 metra długości. Największą znaną w Stanach Zjednoczonych salamandrą jest diabeł błotny z delty Mississippi (żyjący w wodzie *Cryptobranchus alleganiensis*), który osiąga około 70 centymetrów długości, oraz inna salamandra z Kalifornii (ziemna, *Dicamptodon ensatus*), nazwana olbrzymią, chociaż nie przekracza 30 centymetrów.

Sprawozdanie Hardena zostało przekazane Victorowi Twitty, biologowi ze Stanford Institute, który miał powiedzieć: „Niezwykłe, jeśli to prawda". Doktor Robert Stebbins, zoolog z uniwersytetu w Kalifornii, wysłuchał opowieści i odniósł się do niej sceptycznie, choć z zainteresowaniem. Ten bardzo znany specjalista w dziedzinie badań płazów przypomina sobie historię opowiedzianą przez innego biologa ze Stanford Institute, George'a Myersa. Myers spotkał kiedyś starego rybaka z Sacramento River, który trzymał w wannie salamandrę ponad metrowej długości. Nie udało mu się odkupić jej ani też dokładnie dowiedzieć, gdzie została złapana, lecz opisywał ją jako podobną do salamandry japońskiej. Jest to ocena dość subiektywna, gdyż ostatecznie stworzenie obejrzane przez Myersa było prawie o połowę większe od największej znanej w Stanach Zjednoczonych salamandry.

Lecz co stało się ze zwierzęciem jeszcze większym, bo o długości 2,5 metra? Harden twierdzi, że zerwał się blizzard (burza śnieżna) i że musiał zostawić płaza w spokoju. Można by uznać, iż jest jeszcze jedna z wielu dobrze znanych opowiastek rybaków o wielkiej rybie, którą złapali, zwłaszcza że pewien ksiądz, ojciec Bernard Hubbard z Santa Clara College, wydał oświadczenie dyskredytujące relację Hardena. Artykuły w gazetach nie są, rzecz jasna, precyzyjne, lecz można przypuszczać, że przyczyną poddawania w wątpliwość oświadczenia Hardena były jakieś urazy między obu panami. Ojciec Hubbard miał brata, emerytowanego inżyniera, który zgromadził prawie wszystko, co można było zebrać odnośnie salamandry olbrzymiej z północnej Kalifornii. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat rybacy z tamtych okolic opowiadali o okazach osiągających 2,75 metra długości! I choć Hubbardowie zdawali się dawać wiarę tym wszystkim opowiadaniom, to teraz całkowicie odrzucili relację Hardena, co jest przynajmniej niekonsekwentne.

A może rzekome olbrzymie salamandry nie były wcale salamandrami (płazami), lecz gadami podobnie jak dinozaury?!

Latem 1969 roku rozeszły się pogłoski, jakoby po Teksasie włóczyło się zwierzę podobne do jaszczura. Według jednej z relacji, jaszczur ten odciągnął jakiś samochód sześćdziesiąt metrów od drogi i zabił jego kierowcę. Próby dotarcia do źródła tych opowieści okazały się daremne i dinozaur z Teksasu zakończył swój żywot jedynie jako pogłoska.

Jednakże 26 lipca 1970 roku w londyńskim „Sunday Express" ukazał się artykuł przynoszący podobnie brzmiącą historię:

Żołnierze i policjanci udali się, by zapolować na potwora, który, jak zewsząd donoszą, błąka się podobno w lesie koło Forli w środkowych Włoszech. Potwora – którego niektórzy nazywają dinozaurem – po raz pierwszy widział w ubiegły wtorek czterdziestoośmioletni wieśniak, Antonio Samorani. Oświadczył, że gonił go jakiś ogromny, łuskowaty stwór, mający cztery i pół metra długości. Szedł na grubych łapach, a jego oddech był cuchnący. Rolnik uciekał co sił w nogach, a on szedł za nim prawie przez dwieście metrów.

Policjanci odnieśli się do tego najpierw sceptycznie, ale zmienili nastawienie, kiedy zobaczyli ogromne ślady na polanie niedaleko miejsca, gdzie Samorani widzieć miał potwora. Szef policji, doktor Pedoni, oświadczył: „Jesteśmy przekonani, że w lesie ukrywa się jakieś ogromne zwierzę". Widziały je także inne osoby. Uzbrojeni policjanci i żołnierze, zaopatrzeni w sieci, zaczynają przeczesywać teren. Chcemy, o ile to będzie możliwe, złapać je żywe. Ponad tysiąc strzelców będzie czatowało na zwierzę, gdy tylko 1 sierpnia zostanie otwarty sezon łowów. Jeśli lokalni myśliwi znajdą je pierwsi, nie będziemy w stanie ich powstrzymać. (Podobna historia zdarzyć się miała we Francji w 1933 roku, ale nic bliżej o tym nie wiadomo).

Gdyby ktoś z Czytelników wybierał się kiedyś na polowanie na potwory, niech koniecznie przeczyta opowiadanie L. Sprague'a de Campy – *Strzelba na dinozaury.* Przy okazji dowie się, jak to jest możliwe, by dziś we Włoszech, Francji czy w Teksasie mogły pojawić się prajaszczury. Ale lepiej nie włóczyć się po bezludnych okolicach...

PLEZJOZAUR PATAGOŃSKI

„Plezjozaur! Słodkowodny plezjozaur! – krzyknął Summerlee. – Że też dożyłem takiego widoku! Drogi profesorze Challenger, jesteśmy najszczęśliwszymi z zoologów, jacy żyli na świecie".

Tak pisał w *Świecie zaginionym* Arthur Conan Doyle, zafascynowany odkryciami pułkownika Fawcetta.

Jak zdążyliśmy się przekonać, potwór z Loch Ness nie stał pierwszy w kolejce do sensacyjnych doniesień prasowych. Nie on też pierwszy ściągnął na siebie uwagę całego świata. Jedenaście lat wcześniej, w roku 1922, gazety na wszystkich kontynentach, nie wyłączając czcigodnego „Timesa", donosiły o poszukiwaniu plezjozaura patagońskiego. Ponieważ jednak chodziło o plezjozaura oraz dotyczyło to Patagonii – nikt nie brał tego poważnie.

Patagonia już wówczas cieszyła się opinią siedliska dziwacznych bestii. Jest to dziki, niegościnny, najbardziej na południe wysunięty region Ameryki Południowej. Jest też bardzo słabo zaludniony, a niektóre jego części do dziś pozostają prawie nieznane. Po prostu miejsce, z którego od czasu do czasu nadchodzą osobliwe pogłoski. Dotyczy to zresztą również i innych stron Ameryki Południowej, jednak w wypadku Patagonii naukowcy podchodzą do tych informacji bardzo ostrożnie, a wszystko z winy wielkiego leniwca, czyli *Megatherium*.

Leniwiec jest dobrze znanym zwierzęciem, które spędza życie zwisając głową w dół z gałęzi drzew, co nie jest zajęciem zbyt męczącym. Wielki leniwiec natomiast to stworzenie prehistoryczne, które żyło na ziemi. Mierzyło cztery i pół metra wzrostu, a pod pokrytą długim włosem skórą miało wrośnięte kostne płytki, które opancerzały całe zwierzę. Pierwsze szczątki leniwca odkrył i opisał w 1789 roku baron George Cuvier, słynny francuski anatom. „Już samej przyczyny jego zagłady trudno byłoby dociec – pisał Cuvier. – Jeśli jednak ono żyło, to w jaki sposób umknęło myśliwym i przyrodnikom?"

Cuvier bynajmniej nie zabiegał o odpowiedź na to retoryczne pytanie. Najwyraźniej zwierzę takie już nie istniało. Jednak w legendach miejscowych Indian Tehuelche było coś niezwykle do leniwca podobnego: ogromny, odporny na strzały potwór, który harmonizował z opancerzonym *Megatherium* lub – jak go ostatnio nazywają – *Mylodonem*. Jeśli nawet Cuvier znał te podania, niewątpliwie nie wierzył w nie. Nauka to nie dziedzina plemiennych legend, lecz konkretnych fizycznych świadectw.

Stopniowo uświadomiono sobie, że człowiek pierwotny był współczesny temu olbrzymowi. W 1898 roku przywieziono do Londynu skórę *Mylodona*, którą odkryto w jaskini w Zatoce Ostatniej Nadziei. Jaskinia kryła również ludzkie szczątki, siano, miejsce po palenisku oraz odchody. Sama skóra zrolowana była stroną zewnętrzną do środka. Doktor Moreno, Latynos, który ją przywiózł do Londynu, ocenił jej wiek na kilkaset lat, a wyjątkowo dobry stan tłumaczył suchym powietrzem wypełniającym jaskinię. Jednak naukowcy z Londyńskiego Towarzystwa Geologicznego mieli co do tego wątpliwości. Sir Arthur Smith-Woodward twierdził, że skóra jest stosunkowo świeża, gdyż zachowała miękkość. W tej sytuacji zrodziło się pytanie, czy należy przyjąć, że wielki leniwiec żyje jeszcze gdzieś w patagońskich lasach.

Są powody, by sądzić, że tak. Kilka lat wcześniej o spotkaniu ze zwierzęciem bardzo podobnym do *Mylodona* zameldował wybitny polityk i badacz w jednej osobie, Ramon Lista. Oddał on w jego kierunku kilka strzałów, stworzenie jednak uniknęło pocisków. Relację o spotkaniu z podobnym włochatym zwierzęciem, zwanym *succareth*, znajdujemy w dawnym opisie Ameryki Południowej – dziele André Theveta. Uwzględniwszy przytoczone przez autora legendy oraz to, że Indianie sporządzali z jego skóry osłonę, można by je z powodzeniem uznać za *Mylodona*, który przetrwał swoją epokę.

Wzmianki te stały się inspiracją do zorganizowania ekspedycji (jedną z nich sponsorował „Daily Express"), które na przełomie wieków, pełne nadziei, wyruszyły, by podjąć próbę schwytania żywego okazu. Wszystko na próżno. Z czasem nawet już samo przypuszczenie, że ktoś wierzy w dalszą egzystencję *Mylodona*, było w środowisku naukowców wystarczającym powodem do żartów. *Mylodon* stał się rodzajem zoologicznego wyznania wiary, że w Ameryce Południowej nie czeka już na odkrycie żadne duże zwierzę.

W ten sposób naukowcy zwarli szyki w gotowości do odrzucenia każdej relacji o niezwykłych stworzeniach, widzianych na tym kontynencie. Zakładali bowiem, że obszar ten jest już dziś zbyt dobrze znany, aby jakieś duże zwierzę mogło ujść uwagi człowieka. A jednak mimo że lesiste góry Patagonii, dżungle Matto Grosso i dorzecze Amazonki zostały już kartograficznie ujęte, tereny te są ciągle jeszcze w większości nie zbadane. Nowoczesne techniki sporządzania map na podstawie zdjęć lotniczych stwarzają wrażenie, że te ogromne obszary są już dobrze znane, gdy tymczasem nie tknęła ich jeszcze ludzka stopa. Na kontynencie, gdzie trudno jest odnaleźć całe miasto, a starożytne metropolie pozostają w zupełnym zapomnieniu, wszechogarniająca dżungla może chronić każdą tajemnicę. Czyżbyśmy byli aż takimi głupcami, żeby odrzucać wszystkie pogłoski jako pozbawione sensu?

Niektórzy zawierzyli im bez reszty, tak jak uczynił to niezwykły brytyjski odkrywca, pułkownik Percy Fawcett. Marzenie o tajemniczej białej rasie i jej wspaniałym, zagubionym gdzieś w brazylijskiej puszczy mieście doprowadziło ostatecznie do jego śmierci w nie wyjaśnionych okolicznościach. Był on jednak skrupulatnym, rzetelnym obserwatorem i nie popadał w przesadę w swych przedsięwzięciach. W wydanym pośmiertnie przez jego syna pamiętniku pisze on o pogłoskach na temat potworów.

„W boliwijskiej Madidi znaleziono ogromne ślady. Indianie mówią, że należą one do olbrzymiego stworzenia, które czasem, na pół wynurzone, widywane jest na moczarach. Z pewnością są to ślady nieznanego zwierzęcia, ślady potężne, o wiele większe od tropów jakiegokolwiek znanego nam gatunku".

Pogłoski zawsze są niejasne. W innym miejscu Fawcett mówi, że „w lasach Madidi tubylcy często osaczają mieszkającą na bagnach tajemniczą i ogromną bestię, prawdopodobnie przedpotowego potwora, o którym donoszą również z innych części tego kontynentu".

Fawcett był inspiratorem jednej z najwspanialszych powieści o Ameryce Południowej. Nad brzegami River Verde, na granicy boliwijsko-brazylijskiej, ciągną się rozległe wzgórza Ricardo Franco, które Fawcett dokładnie przemierzył w 1909 roku.

„Ani czas, ani ludzka stopa nie tknęły dotychczas tych szczytów. Porośnięte aż do wierzchołków lasami, trwają jak świat zaginiony, a fantazja podsuwa obraz kryjących się tam pozostałości dawno minionych epok. Dzięki nie zmienionym warunkom, uwolnione od konieczności walki o życie, potwory z epoki początków ludzkiej egzystencji mogą spokojnie przemierzać ograniczoną nieprzebytymi skałami wyżynę".

Po powrocie do Londynu Fawcett został przedstawiony Conan Doyle'owi. Odkrywca z wielkim przejęciem opowiadał pisarzowi o wyżynie i jej ekscytującym odizolowaniu od reszty świata. Pokazał też wykonane tam zdjęcia. Pisarz, który nosił się już z pomysłem na nową powieść, poprosił Fawcetta o więcej szczegółów, których mu pułkownik nie poskąpił. W wyniku tego spotkania po pewnym czasie powstał *Świat zaginiony,* który w roku 1912 szedł w odcinkach w „The Strand".

Rozmowa z pułkownikiem Fawcettem stała się katalizatorem kilku pomysłów, które zaprzątały wyobraźnię Conan Doyle'a. Podczas morskiej wycieczki pisarz ujrzał wreszcie w pobliżu greckiej wyspy Aegina węża morskiego, „osobliwe stworzenie ponadmetrowej długości z długą szyją i dużymi płetwami". Był to, według niego, „młody plezjozaur". Przyjaciel z Australii przesłał Conan Doyle'owi opis schwytanego w sieć w Madgee Beach innego „niemowlęcia plezjozaura", które było dokładnie takie samo jak to, które pisarz i jego żona widzieli na Morzu Śródziemnym.

W 1909 roku Conan Doyle przeprowadził się do nowego domu w Crowborough, w sąsiedztwie odkrytych kamieniołomów. Tam natrafił na skamieniałe ślady. Niezwykle podekscytowany znaleziskiem, napisał do Muzeum Brytyjskiego, które przysłało eksperta dla zbadania tego kamienia. Zrobili to wspólnie z Doyle'em, którego zainteresowanie geologią nie ustało po tym wydarzeniu, i ostatecznie pisarz zgromadził wielką kolekcję skamielin. To właśnie wokół niemowlęcia plezjozaura, gór z opowieści Fawcetta i aktualnie toczącego się sporu o małpę człekokształtną, czyli tak zwane „zagubione ogniwo ewolucji" osnuł Conan Doyle swoje pierwsze naukowe powieści.

„Świat zaginiony", którego pierwowzorem są wzgórza Ricardo Franco, zamieszkują małpy człekokształtne, stanowiące pewne zagrożenie dla odkrywców. Żyje tam również wiele odmian innych stworzeń, nie wykluczając dinozaura. Przypomnijmy irlandzkiego dziennikarza Mallone'a, który opowiada o jeziorze Gladys, leżącym na Ziemi Maple'a White'a.

„Dojrzałem też na żółtym brzegu coś podobnego do wielkiego łabędzia z niezgrabnym cielskiem i długą szyją. Stworzenie grzebało dziobem w wodzie, aż nagle zsunęło się do jeziora. Przez parę chwil widziałem jeszcze, jak wygięta szyja i kiwający się łeb unosiły się i opadały na falach. Potem dało nurka i zniknęło mi z oczu".

Zwierzę to było oczywiście plezjozaurem. Określenie „wielki łabędź" sugeruje, że Doyle wyobraził sobie z jakichś powodów, że stworzenie jest białe. Być może, pamiętał o martwym wężu z krótkiego opowiadania Kiplinga pt. *A Matter of Fact* („Niezbity fakt"). Był to również biały wąż. Ciekawe, że tylko jeden świadek z Loch Ness widział białego potwora. A zatem sztuka kreująca naturę? Niewykluczone, gdyż *Świat zaginiony* stał się wielkim sukcesem, z pewnością ubarwiając wiele obiegowych koncepcji. W ten sposób przygotowana została scena na pojawienie się patagońskiego plezjozaura.

W początkach roku 1922 dyrektor ZOO w Buenos Aires, doktor Clementi Onelli, otrzymał list od amerykańskiego poszukiwacza złota o nazwisku Sheffield, który w pogoni za tym kruszcem przemierzał podgórze Andów w prowincji Chebut w Patagonii. Otóż w okręgu Esquel w pobliżu górskiego jeziora natrafił on na rozległe, wyciśnięte w zaroślach ślady. Krzaki i trawa były zmiażdżone i głęboko wgniecione w ziemię. Sprawcą tego spustoszenia mogłoby być tylko bardzo ciężkie zwierzę. Sheffield ruszył tym tropem, który urwał się na brzegu jeziora.

Ale to nie wszystko. „Na środku jeziora dostrzegłem zwierzę o silnej łabędziej szyi, którego ruchy pozwalały się domyślać kształtu ciała zbliżonego do krokodyla".

Przekazując tę wspaniałą wiadomość lokalnej prasie, doktor Onelli podkreślił, że Martin Sheffield to jego przyjaciel, którego darzy zaufaniem. „Nie jest on wprawdzie naukowcem, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że tak jak twierdzi, widział on pływające po jeziorze okazałe i dziwne zwierzę o łabędziej szyi". W odczuciu laika opis Sheffielda odpowiadał sylwetce plezjozaura, który – aczkolwiek nieznany – to dzięki znajdowanym skamielinom był nieobcy paleontologom.

Nie był to jedyny meldunek. W 1897 roku Onelli osobiście podróżował po Patagonii. Dowiedział się tam od chilijskiego farmera znad jeziora White, że nocami daje się słyszeć dziwny hałas, jakby po kamienistej plaży ciągnięto ciężki wóz. Kiedy indziej znów, gdy świeci księżyc, można zobaczyć wielkie zwierzę, pływające po jeziorze. Jego gadzia szyja unosi się wysoko nad wodą. Wystarczy najlżejszy odgłos, by natychmiast znikało w głębinie.

O innym potworze doktor Onelli usłyszał w 1907 roku. Pewien Norweg, inżynier Vaag (członek Granicznej Komisji Demarkacyjnej, powołanej w 1902 roku do ustalenia granicy między Chile i Argentyną), badając strumień nazywany przezeń River Tamango, znalazł w nim padlinę dużego zwierzęcia. Odkrył też ślady innego stworzenia, którego teraz uznał za plezjozaura.

Po pierwszym oświadczeniu Onelli otrzymał jeszcze jedną informację, że podobną bestię w 1913 roku widział pewien Anglik na jeziorze w południowej części okręgu Santa Cruz. W świetle tych opowieści doktor Onelli uznał autentyczność relacji Sheffielda. Poparło go kilku argentyńskich kolegów. Społeczeństwo zeelektryzowane było perspektywą odkrycia jakiegoś prehistorycznego stworzenia w rodzaju tych z powieści Conan Doyle'a. W Buenos Aires popularna kawiarnia znów przybrała nazwę „El Plesiosauro".

Jak komentował to „Scientific American", naukowcy z innych krajów okazywali jedynie „wzgardliwy sceptycyzm" w stosunku do zjawiska „przedpotopowego potwora", który żyje i ukrywa się w Argentynie. Zbyt dobrze pamiętali aferę z *Megatherium,* aby pójść tropem jakiejkolwiek bzdury z cyklu „świat zaginiony". Dyrektor nowojorskiego Muzem Przyrodniczego, doktor F.A. Lucas, uznał to za śmieszną plotkę. „Im się człowiek bardziej zbliża do źródeł takiej relacji, tym mniej osób potrafi coś istotnego o nich powiedzieć. Nikt chyba nie wie, w jaki sposób powstają podobne pogłoski".

A tego właśnie postanowił dociec Onelli. „New York Times" z 16 marca doniósł, że źródłem tych pogłosek jest, według Onellego, *Glytodon*, czyli gigantyczna odmiana pancernika. Gazety wszakże prześcigały się w domysłach na temat potworów, zupełnie lekceważąc ich tożsamość (*Onelli sądzi, że andyjski plezjozaur może być pancernikiem, czyli nowym Megatherium* – to jeden z typowych nagłówków), tak że nie było ostatecznie wiadomo, jaki pogląd reprezentuje doktor Onelli, a już z pewnością nie wiedzieli tego nierozgarnięci dziennikarze.

Nie zrażony niepowodzeniem wypraw związanych z *Megatherium,* doktor zaproponował zorganizowanie własnej ekspedycji w celu odnalezienia Sheffieldowskiego potwora. Gdy spotkał się z odmową sfinansowania tego przedsięwzięcia przez spółkę filmową, postanowił zebrać pieniądze w drodze publicznej subskrypcji. Otrzymał listy od stu ochotników. Na wyprawę potrzebował dwa tysiące pesos, a dostał ich trzy tysiące.

Ekspedycja opuściła Buenos Aires 23 marca 1922 roku. Kierowali nią José Cihagi, nadintendent zwierzyńca w Buenos Aires, oraz argentyński inżynier Emilio Frey, który przed dwudziestu laty jako członek Argentyńsko-Chilijskiej Komisji Granicznej doskonale poznał prowincję Chebut.

Ekspedycja nie miała oczywiście na celu znalezienia nieśmiertelnego plezjozaura, lecz jego potomka o długości czterech metrów, który prawdopodobnie małą kolonią zamieszkuje to jezioro. Uczestnicy wyprawy zaopatrzeni byli w strzelby na słonie, lassa oraz dynamit do zaminowania jeziora. Grupa podążyła drogą morską do Mauquen, potem ciężarówką do Bariloche, a następnie konno dotarła do prowincji Chebut. Zdecydowano, że jeżeli sześć tygodni nie przyniesie pozytywnego wyniku, wyprawa ruszy w dalsze, jeszcze dziksze części tego terytorium.

Byli jednak w Argentynie ludzie, których wyprawa irytowała. Przewodniczący Towarzystwa Ochrony Zwierząt, doktor Albarrin, zażądał od ministra spraw wewnętrznych, aby ten – na podstawie ogólnokrajowego zarządzenia nr 2786, które reguluje sprawy polowań na rzadkie gatunki zwierząt – odmówił wydania zezwolenia na organizację wyprawy. Jeśli bowiem ów plezjozaur rzeczywiście istnieje, to według Albarrina, powinien być tą ustawą objęty. Zabrania ona polowań na tego rodzaju stworzenia. Ileż to szacunku zyska sobie w świecie kraj, który swym własnym plezjozaurom nie będzie przeszkadzał w swobodnym rozmnażaniu się. Żarliwy opór doktora Albarrina jeszcze bardziej rozbawił międzynarodowe środowisko naukowe.

Gdy ekspedycja znalazła się już w głębi kraju, powstało pewne zamieszanie wokół problemu zezwoleń. Gubernator Chebutu przyznał, że nie ustanawiał żadnego zakazu polowań na tego rodzaju zwierzynę. Jednak dalej, w Cariga, uważano, że taki zakaz istnieje. Do czasu rozstrzygnięcia kontrowersji ekspedycję zatrzymano. Jak doniosła „Chicago Tribune", „wyprawa naukowców i niemal naukowców, koczując na pięknym pojezierzu w regionie zwanym Szwajcarią Argentyńską, rozkoszowała się wakacjami na koszt nauczycieli, listonoszy i robotników, których pieniądze umożliwiły zorganizowanie tej ekspedycji".

Po tej zdecydowanie cierpkiej notatce przez następnych dziesięć dni panowała cisza, aż 26 kwietnia ogłoszono, że projekt okazał się nieudany, a grupa wraca do domu.

Do jeziora, w którym Sheffield widział zwierzę, dotarli 18 października. Leży ono osiemdziesiąt kilometrów od najbliższego osiedla. Badacze wynajęli od walijskiego kolonisty łódź, którą wyposażyli w silnik przyczepny. Jezioro zostało dokładnie przeszukane. W nadziei wywabienia prehistorycznego stworzenia na powierzchnię Frey odpalił jedenaście ładunków dynamitu. Nie pokazało się nic.

Już w Buenos Aires doktor Onelli potwierdził, że wyprawa zawróciła w kwietniu, jednak przyczyną nie było fiasko projektu, lecz zbliżająca się zima. Był on również pełen nadziei na odnalezienie plezjozaura w którymś z andyjskich jezior, w związku z czym następnego lata ruszyć ma kolejna wyprawa. I to byłoby właściwie wszystko. „Jeśli nawet patagoński plezjozaur kiedykolwiek istniał – podsumował „Scientific American" – to prawdopodobnie umknął w nieznanym kierunku".

Poszukiwania patagońskiego plezjozaura przebiegały w wielkim zamieszaniu. Teraz można by podjąć próbę usystematyzowania tego, kto i co widział, oraz gdzie się to działo.

Sheffield zameldował o zwierzęciu w górskim jeziorze w pobliżu Esquel i tam też poszła wyprawa w 1922 roku.

Sam Onelli podał, że w 1913 roku otrzymał od pewnego Anglika relację o podobnym zwierzęciu w położonym bardziej na południe Santa Cruz. Niewykluczone, że sprawozdanie to ma jakiś związek z poniższą historią.

W kwietniu George Grant, wówczas mieszkaniec Toronto, opowiedział dziennikarzowi z „The Globe" o przygodzie, jaką wraz ze swym synem przeżył w 1910 roku na jeziorze Nahuel Huapi.

„Jeśli się nie mylę, to ja i mój syn jesteśmy jedynymi białymi ludźmi, którym kiedykolwiek udało się zobaczyć jednego z tych prehistorycznych potworów. Zdarzyło się to około roku 1910. Jako pierwszy osadnik na półwyspie wrzynającym się w przepiękne jezioro Nahuel Huapi zostałem mianowany dyrektorem nowo powstałej spółki.

W tym właśnie czasie przedstawiciel rządu dokonywał lustracji własności spółki, a ja i mój syn pilotowaliśmy jego zespół wokół dzikiego, nieregularnego wybrzeża półwyspu. Wysadziliśmy inżyniera i jego asystentów z całym sprzętem na brzeg, a sami postanowiliśmy pożeglować dla przyjemności przy dosyć silnym wietrze. Płynęliśmy pod wiatr zatoką, zwaną Pass Coytrué, którą wyznaczał ów półwysep. Miała około ośmiu kilometrów długości i półtora szerokości, głębokość zaś wciąż stanowiła niewiadomą. Kiedy byliśmy blisko skalistego brzegu półwyspu, tuż przed halsowaniem przypadkiem zerknąłem za rufę, w kierunku środka jeziora. Tam, o jakieś czterysta metrów, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, ujrzałem obiekt, który mógł mieć cztery i pół do sześciu metrów średnicy i wystawał około dwóch metrów nad wodę.

Ponieważ nasza żaglówka pędziła właśnie równolegle i zaledwie w odległości kilku metrów od skał, mogłem temu poświęcić tylko przelotne spojrzenie. Poleciłem więc synowi, aby nie spuszczał oka z tej osobliwości, podczas gdy ja lawirowałem naszą trochę nieporęczną łajbą. Wszystko to odbyło się przy wielkiej szybkości i w okamngnieniu pruliśmy już w tamtym kierunku, a wówczas obiekt zniknął. Upłynęło doprawdy tylko kilka minut, zanim wzięliśmy ostry kurs na miejsce, w którym znajdował się potwór, a jednak na przejrzystej wodzie jeziora nie było już po nim najmniejszego śladu. Gdy opowiedziałem o tym wydarzeniu sąsiadom, dowiedziałem się, że Indianie często snują opowieści o pojawiających się tu wodnych zwierzętach".

Pan Garret wycisnął, co mógł, ze swej krótkiej przygody. Jego relacja zasługuje również na miejsce w archiwum.

Gdy ekspedycja Onellego dotarła do Bariloche na brzegach Nauel Huapi, jej członkowie usłyszeli pogłoski o innym jeszcze potworze z San Martin de los Andes, leżącego nad jeziorem Lacar, dwieście czterdzieści kilometrów na północ. Wyprawa skręciła jednak na południe, do Epuyen, a to dlatego, że o tamtym potworze nie słyszano już od wielu lat.

Jezioro Lacar leży w północno-wschodniej części południowych Andów, w granicach Parku Narodowego w Lanin. Na wschodnim brzegu tego jeziora, dwieście pięćdziesiąt metrów nad poziomem wody, z widokiem na całe Lacar stoi dom Barneya Dickinsona. Mieszkał on tam od końca lat czterdziestych. Zainspirowany serią artykułów o potworze z Loch Ness, Dickinson w 1959 roku przesłał do „Illustrated London News" opis własnych spostrzeżeń.

Siadywał on często wieczorami i obserwował jezioro, po którym pływało niewiele łodzi. Przez te lata niezliczoną ilość razy widywał „dziwne wodne kształty", których nie potrafił niczym wytłumaczyć. Wydawały się zbyt duże jak na jakiekolwiek znane zwierzę, takie jak na przykład wydra, choć jej południowoamerykańska odmiana osiąga wielkie rozmiary. Czyżby więc te „dziwne kształty" powstawały za sprawą potwora?

Tak właśnie tłumaczą to miejscowe legendy. Aurakanie, miejscowi Indianie, zawsze wierzyli, że w tym jeziorze żyje potwór. Zwą go hiszpańskim imieniem *cuero*, co znaczy „skóra wołowa", którą owo zwierzę miało przypominać swym wyglądem: wypukłe, ciemne i chropowate. Nazywane jest ono również *el bien peinado*, czyli „bezwłosy", ze względu na podobieństwo jego grzbietu do łysiny. Mamy też rutynowe opowieści o dziwnych śladach znajdowanych na brzegu oraz o resztkach posiłków potwora w postaci skóry, sierści i piór. Dickinson wspomina o *gauchos*, którzy twierdzą, że widywali to stworzenie, unoszące się po prostu na powierzchni wody w postaci wielkiego, pojedynczego garbu o fakturze wołowej skóry. A działo się to zawsze nad wieczorem. Podobne relacje znamy już znad Loch Ness, kiedy się mówiło o kształcie wywróconej łodzi.

W roku 1922 dziennikarz z Catalan, Fabia Vidal, przedstawił pogłoski o innych potworach z jeziora San Martin (prawdopodobnie pomylił San Martin de los Andes z południowym jeziorem) oraz z jeziorem Viedma. Nie ma jednak żadnych relacji z tamtych stron.

A oto sprawozdanie o wężu morskim. Komandor porucznik Bevilaqua, dowódca argentyńskiego statku „Keveah", podczas pobytu w Filadelfii opowiedział dziennikarzowi „New York Timesa" (17 września 1922), że on również widział na patagońskim wybrzeżu „dziwne i monstrualne zwierzę". Zdarzyło się to w 1906 roku, gdy jego statek przepływał przez Cieśninę Magellana, w odległości czterystu pięćdziesięciu metrów od brzegu, podczas popołudniowej wachty komandora.

„Widoczność była bardzo dobra i nie sądzę, abym się mylił. Obserwowałem właśnie przez lornetkę zarysy brzegu, kiedy ujrzałem spadający z wysokiej skały do morza potężny, oblodzony głaz. W chwilę później, w miejscu skąd spadł kamień, zauważyłem duże zwierzę, które patrzyło w moim kierunku. Miało psią głowę i szyję długości około dziesięciu metrów. Nie był to żółw, bo żółwie nie mają takiej szyi. Jestem również pewien, że to nie był wąż, bo węże nie żyją pośród lodu i śniegu".

I nie był to w rzeczy samej plezjozaur. Niezależnie od przesadnie długiej szyi, możemy mieć pewność, że ów oficer widział ssaka.

W kwietniu 1905 roku kapitan statku „Rhone", przygotowując się do opływania przylądka Horn, ujrzał u chilijskiego brzegu „łeb zwierzęcia nieporównywalnego z żadnym innym oprócz tych, które ozdabiają dzioby łodzi Wikingów i wielkich dżonek na Nigrze". Szyja jego wystawała z wody na wysokość zaledwie półtora metra, a za nią podążały „falujące ruchy ciała, które wydawały się bardzo długie". Jest to druga z dwóch znanych relacji o wężu morskim przy tym południowoamerykańskim przylądku. Może rok wcześniej komandor Bevilaqua widział to samo zwierzę?

Węże morskie odwiodły nas od właściwego celu łowów, jakim są potwory z jezior Patagonii. Amerykański ekscentryk, Charles Fort, który zbierał relacje o wszelkich osobliwościach, po przeczytaniu w „Scientific American" o patagońskim plezjozaurze napisał do profesora Onellego. Ten odpowiedział, że słyszał ponownie o potworze, nie dysponuje jednak szczegółami na ten temat. Kilka lat temu do Onellego napisał też Bernard Heuvelmans, aby się dowiedzieć, jaki jest stan aktualnej wiedzy o zwierzęciu. Okazało się, że profesor od wielu już lat nie żyje. W 1956 roku wyruszyła druga ekspedycja badawcza z zamiarem rozpracowania potworów z prowincji Chebut, zorganizowana przez doktora Marinesco z uniwersytetu w Cordobie.

Dzięki porośniętym lasami płaskowyżom Patagonia przypomina pod względem klimatu Szkocję. Przywykliśmy już do tego, że meldunki o potworach najczęściej nadchodzą znad wysokogórskich jezior. Gdyby w 1922 roku znalazł się choćby jeszcze jeden odważny naukowiec, to tajemnica patagońskiego plezjozaura doczekałaby się z pewnością rozwiązania. Jednak po rozczarowaniu, jakie naukowcom przyniosła bardziej obiecująca sprawa żywego *Mylodona*, a także na skutek obawy przed zaangażowaniem się w jakąś przygodę z „zaginionego świata" Dolye'a, nikt już nie był w stanie podjąć się takiego zadania. Poza pierwszą wyprawą Onellego, podjęto tylko jedną próbę.

Ameryka Południowa nie jest kontynentem tak dobrze znanym, jakby się to z pozoru mogło wydawać. Są jeszcze na jej mapie białe plamy, puste przestrzenie, gdzie mogą się z powodzeniem czaić nieznane zwierzęta. Tak jak to ujął profesor Chellenger, zwracając się do Mallone'a i innych przed wyruszeniem ich wyprawy do świata zaginionego:

„Tu, w Matto Grosso – przesunął cygarem nad częścią mapy – lub w tym kącie, gdzie zbiegają się granice trzech krajów, nic by mnie nie zadziwiło".

SMOK WRÓT BOGINI ISZTAR

„I był tam również smok, któremu Babilończycy cześć oddawali" (*Księga Bela i Smoka).*

W 1902 roku, po czteroletniej pracy niemieckiego archeologa Roberta Koldeweya, odkryta została najznakomitsza budowla Mezopotamii – wspaniałe wschodnie wrota Babilonu. Już samo w sobie wystarczająco doniosłe, odkrycie to odsłoniło jednocześnie tajemnicę, która dopiero czekała na wyjaśnienie: czym jest smok wrót bogini Isztar?

Nawet jako ruina wrota Isztar są imponujące. Z podejściem poprzez obmurowaną ścianami groblę, przechodzącą pod wysokimi łukami, z dwiema wieżyczkami strażniczymi po bokach – wrota te zbudowane są z żółtych, niebieskich i czarnych glazurowanych cegieł. Ściany grobli ozdobione są na przemian rzędami płaskorzeźb, przedstawiających dumnie stąpające lwy, podczas gdy strażnice pokrywają reliefy innych zwierząt. I tu właśnie zaczyna się tajemnica. Około roku 600 przed Chrystusem wrota zrekonstruował Nebokadnezar II. Wykonany pismem klinowym napis z dumą obwieszcza zamiary króla:

„Stawiam w tym przejściu srogich *rimi* i nieubłaganych *sirruszi*, przydając w ten sposób wrotom tak wielkiej świetności, że cała ludzkość będzie na nie patrzeć w podziwie".

Koldewey szybko rozszyfrował *rimi*. Mimo że ich wizerunki są stylizowane i niedokładne, to nie ma wątpliwości, że chodzi tu o tury, czyli groźne dzikie bydło z Eurazji, którego ostatnie okazy wyginęły na Litwie w 1627 roku. Płaskorzeźby pokazują tura z profilu, przez co powstaje wrażenie, że ma on tylko jeden róg, co być może dało początek legendzie o jednorożcu (biblijny jednorożec, który nie pozwolił się ujarzmić i zaprząc do pługa, jest błędnym tłumaczeniem słowa „rim" na hebrajski. Septuaginta nie zna tura i myli go z arabską gazelą). *Rim* był takim samym autentycznym zwierzęciem jak złowrogie lwy na ścianach grobli. I jedno, i drugie, dzięki swym straszliwym zaletom, zostały wybrane, by strzec wrót miasta i paraliżować strachem przybywających doń wieśniaków.

Sirrusz przysparza więcej kłopotów. Na wrotach Isztar przedstawiony jest jako monstrualny czworonóg. Tylne kończyny wyposażone są w potężne szpony, przednie zaś to łapy lwa. Stworzenie ma długi ogon i szyję z małą, wężową główką, zakończoną rogiem, posiada też rozdwojony język, który wystrzela z zamkniętego pyska. Ponieważ jest pokryty łuską, możemy mniemać, że miał on być w założeniu odmianą gada. A jednak, jak pisze Koedewey, „warto zauważyć, że mimo obecności łusek, zwierzę posiada również owłosienie. Trzy kędziorki jak korkociągi zwisają mu z łba w okolicach uszu, a na szyi, tam gdzie powinien być jaszczurczy grzebień, widzimy długi rząd loczków".

Zatem cóż to za stworzenie? Robert Graves podsuwa myśl, że podobnie jak chimera, ma ono mieć znaczenie symboliczne; składankowa bestia z kalendarza: lew, orzeł i wąż, reprezentujące trzy tradycyjne pory roku.

A może podobnie jak lwy i tury jest to zwierzę rzeczywiście istniejące? W pierwszym sprawozdaniu z wykopalisk w Babilonie Koldewey napomyka, że jest to niewykluczone. „Gdyby tylko przednie jego nogi nie były tak wyzywająco i charakterystycznie kocie, takie stworzenie mogłoby rzeczywiście istnieć".

Gdyby Henry Layard natrafił na wrota bogini Isztar sto lat wcześniej, *sirrusz* zostałby uznany za kolejnego fantastyczne-

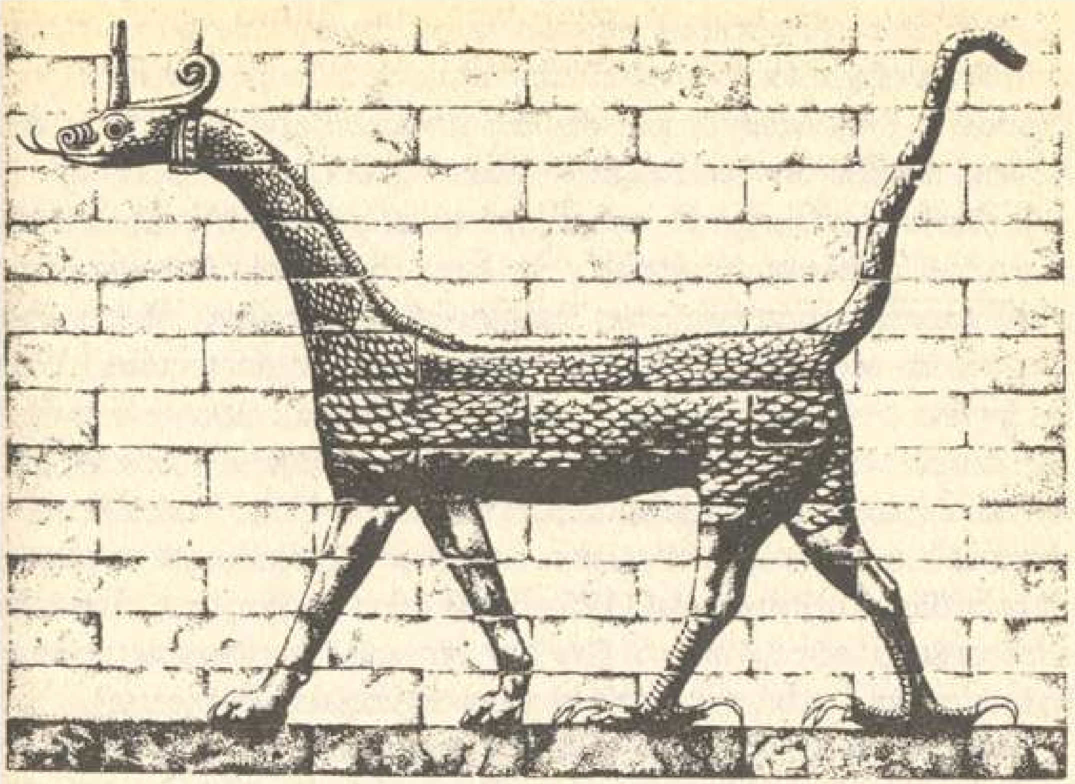

Glazurowana płaskorzeźba z babilońskiej bramy Isztar, przedstawiająca tajemnicze zwierzę.

go potwora, jakich jest mnóstwo w sztuce Mezopotamii. Ostatecznie jego nazwa znaczy tyle co „wspaniały wąż", a przedziwna kompozycja cech różnych zwierząt byłaby wówczas nie do zaakceptowania. Jednakże w tym czasie narodziła się nowa gałąź nauki – paleontologia. Cuvier i inni odtworzyli ze skamieniałych szczątków potwory tak nieprawdopodobne, że żadna artystyczna wyobraźnia nie byłaby im w stanie dorównać. „Żaden dwudziestowieczny koszmar – pisze Jacquetta Hawkes – żadna, choćby najbardziej makabryczna poetycka imaginacja nie stworzyłaby niczego tak pysznie fantastycznego jak gady epoki jurajskiej i kredowej". Odkryto skamieliny dionozaurów o długich szyjach i ogonach oraz małych główkach opatrzonych rogami, a więc cechach podobnych do prezentowanych przez *sirrusza*.

Kilka lat później w *Das Ischtar Tor in Babylon* („Wrota Isztar w Babilonie"), wspaniałej relacji z wykopalisk, Koldewey z całą dezynwolturą porzuca swoją poprzednią scjentyczną rezerwę:

„Jeśliby w przyrodzie istniało takie stworzenie jak *sirrusz*, to należałoby ono do rzędu dinozaurów i do podrzędu ornitopodów. Najbliższym krewnym smoka z Babilonu jest iguanodon, znaleziony w Belgii w warstwach epoki kredowej".

Jednakże *sirrusz* nie mógł być taką rekonstrukcją, jakiej dokonali dzisiejsi naukowcy w wypadku iguanodona, a to z tej prostej przyczyny, że Babilończycy nie byli paleontologami. A więc *sirrusz* to albo stworzenie fantastyczne i tylko przez przypadek zbliżone do dinozaura, albo też zwierzę rzeczywiście istniejące, ale podobnie jak tur, znane jedynie z pogłosek nadchodzących z odległych części imperium. Na asyryjskim obelisku znajduje się inskrypcja określająca Tiglath-Pilsera I (1175–1093) jako „pogromcę dzikich *rimi* u stóp gór Libanu". Czyżby również i *sirrusza* można było spotkać gdzieś w dalekich prowincjach Babilonu?

Amerykański pisarz Willy Ley jest przeciwnego zdania. Uważa on, że *sirrusz* ma swój początek w pogłoskach o wodnych potworach środkowej Afryki. Sąd swój opiera na tym, że pewien podróżnik znalazł tam glazurowane cegły, podobne do budulca użytego przy wznoszeniu wrót bogini Isztar. Kilka takich cegieł przywiózł do Europy Hans Schomburgh, myśliwy, który znalazł je podczas łowienia zwierząt na zlecenie dyrektora hamburskiego ZOO, Carla Hagenbacka. Wszystko to działo się na kilka lat przed publikacją babilońskiego raportu Koldeweya.

Schomburgh przywiózł również pogłoski o pewnych tajemniczych zwierzętach znanych w całej środkowej Afryce. Penetrując okolice jeziora Bangweolo, stwierdził ze zdziwieniem, że nie ma w nim hipopotamów. Afrykańczycy wyjaśnili, że w jeziorze żyje zwierzę, które choć mniejsze, jednak skutecznie je wypłoszyło. Stworzenie to nigdy nie wychodziło na brzeg, a więc nie znaleziono żadnych jego śladów. Schomburgh uznał to wszystko za bajki i nie myślał niczego dalej dociekać. Kiedy jednak powtórzył to Hagenbackowi, dowiedział się, że jego pracodawca posiada relacje z innych źródeł, szczegółowo potwierdzając tę historię. Hagenback wysłał nad Bangweolo ekspedycję, która jednak nie zdołała nawet tego jeziora odnaleźć.

Afrykańczycy zamieszkujący okolice Bangweolo nadali temu zwierzęciu imię *chipekwe*. Opowieści pochodzące z innych części Afryki wskazują, że nie jest to jedyne w swoim rodzaju zwierzę. Znane jest także pod imieniem smoka *kongo*. Historie te szczegółowo analizuje Bernard Heuvelmans w książce *On the Track of Unknown Animals* („Na tropie nieznanych zwierząt"). Przytacza tam kluczowe dowody, przedstawione przez ponad trzydzieści osób z różnych miejsc w dorzeczu Konga, Nilu i Zambezi. Wszystkie te zwierzęta są ziemnowodne, rozmiarami z grubsza zbliżone do hipopotama. Wieloma jednak szczegółami, a także trybem życia bardzo się między sobą różnią. Heuvelmans wnioskuje, że „zróżnicowanie opisów afrykańskich smoków jest niewątpliwie skutkiem istnienia co najmniej trzech typów zwierząt. Nic więc dziwnego, że połączenie wszystkich tych stworzeń dało absurdalną i fantastyczną bestię, w którą trudno uwierzyć, nie mówiąc już o jej zidentyfikowaniu".

Trzy typy, o których mówi Heuvelmans, to krótkonosy krokodyl, wielki zębacz oraz „wodny słoń" (prawdopodobnie rzekomo wymarłe *Dinotherium*). Niemniej jednak jest też znikoma ilość dowodów na istnienie wielkiego gada z małą, trójkątną główką, krótkim, grubym rogiem i długą, giętką szyją. Jego długość, łącznie z potężnym ogonem, miałaby wynosić około dziesięciu metrów.

Niedaleko już stąd do smoka wrót bogini Isztar. Albo do wielkiego iguanodona, gdyż wszyscy oczywiście aż się palą, aby zrobić z niego dinozaura. Antropolog C.W. Hobley we wschodnioafrykańskim czasopiśmie naukowym na temat różnych nieznanych zwierząt pisze, że „myśl o przetrwaniu jakiegoś wymarłego gatunku gadów jest dla naukowca bardzo ekscytująca". I nie tylko dla naukowca: po drugiej wojnie światowej grupa byłych oficerów zorganizowała kilka wypraw w poszukiwaniu „brontozaura z Katangi".

Niewiele jednak wiadomo o tym stworzeniu, a mętne relacje nakazują ostrożność w ocenie. W tym wypadku Heuvelmans tylko z lekka popiera „teorię dinozaura":

„Pewne jest tylko domniemane istnienie w Afryce Środkowej dużego, nieznanego gada. Pozostaje jeszcze jego identyfikacja, choć rozmiary zwierzącia wskazują na to, że podobnie jak krokodyle, jaszczurka z Komodo i wielki żółw – jest on reliktem wielkiego imperium gadów, które rozkwitało w erze jurajskiej. W Afryce panują wyjątkowo stabilne warunki geologiczne i klimatyczne, które sprawiają, że jest to najdogodniejsze miejsce dla zachowania takich pradawnych gatunków".

Potwory afrykańskie przypominające zwierzę z Loch Ness są rzadkością, choć wymieniony przez Konstancję Whyte *lau* z jeziora Victoria ma chyba długą szyję i garby, przypominające tym znajomy kształt. Początkowo *lau* znany był jedynie z tubylczych relacji, później jednak widzieli go także marynarze i podróżni z parowca. Szkocki żołnierz powracający z afrykańskiej służby (po pierwszej wojnie światowej) przywiózł relacje zainteresowanemu tą sprawą wielebnemu Williamowi Grahamowi z Ardesier. Powiadają, że *lau* ma pokryty garbami korpus długości przekraczającej trzydzieści metrów, jest brązowy z wierzchu i jasnożółty pod spodem – pisze pani Whyte. – Szyja jego jest długa, wężowa i jakby opatrzona czułkami".

Wokół *laua* mamy trochę zamieszania. Konstancja Whyte utrzymuje podobno, że żyje on w jeziorze Victoria i jest tym samym gatunkiem zwierzęcia co potwór z Loch Ness. Tymczasem H.C. Jackson, w studiu na temat ludności Nuer, opublikowanym w 1923 roku, powiada, że *lau* nawiedza bagna wokół źródeł Białego Nilu. Sir Harry Johnson, odkrywca okapi, zwrócił na to uwagę w książce o Ugandzie w 1902 roku.

„Wśród autochtonów krążą uporczywe pogłoski, że wody Victoria Nyanza (jezioro) zamieszkuje potwór (znany jako *lukwata*). Z opisów wynika, że stworzenie to może być małym waleniem, dużą krową wodną lub wreszcie, co bardziej prawdopodobne, ogromną rybą".

Następnie Arnold Drummond Hay utrzymywał, że widział „węża morskiego" w jeziorze Nyasa, jednak mógł to być równie dobrze duży pyton, płynący z uniesioną głową. Heuvelmans uważa, że *lau* i *lukwata* to ten sam gatunek, prawdopodobnie wielki zębacz, co tłumaczyłoby wspomniane przez panią Whyte czułki, gdyż z głowy zębacza wyrastają długie rybie wąsy.

Całe nieporozumienie znika, z chwilą gdy docieramy do Afryki Południowej, gdzie spotykamy potwora zdecydowanie bardziej swojskiego i niepodobnego do dinozaura.

Najpierw jednak mamy kilka relacji znad rzeki Orange. W 1922 roku Fred C. Cornell przypomniał sobie, że dwanaście lat wcześniej widział na tej rzece potwora w miejscu połączenia się Oub i Orange, w pobliżu Wielkiego Wodospadu. Byli z nim wówczas W.H. Browni V.B. Capetown oraz trzej ludzie z plemienia Bantu.

„Krzyk jednego z tubylców zwrócił moją uwagę na coś czarnego, wielkiego i wijącego się, co płynęło z dużą szybkością pod prąd po pełnych zawirowań kataraktach. Ogromne ciało potwora schowane było pod wodą, lecz jego szyję widziałem wyraźnie. Mógł to być ewentualnie olbrzymi pyton, ale jego rozmiary były wręcz niewiarygodne. Ten gad mógł żyć już całe wieki. Podobno ogromne pytony cechują się długowiecznością".

Zwierzę miało wielką głowę i trzymetrową szyję w kształcie wygiętego drzewa. Bantu twierdzili, że atakuje bydło, wciągając je do wody.

Podobne zwierzę w 1899 roku widział na tej samej rzece w pobliżu Upington G.A. Kinnear, zaś w roku 1929 poszukiwacz złota Hayes doniósł o potworze, którego zobaczył w rejonie połączenia rzek Orange i Gooinet. Czwarte spotkanie, w 1950 roku, było udziałem niejakiego Atherstone'a i odbyło się na rzece Ingruenfisi. Wzbudziło ono pewne zainteresowanie południowoafrykańskiej prasy.

Kilka lat później powtarzające się obserwacje w Vaaldam zwróciły uwagę profesora J.B.L. Smitha, naukowca, który pierwszy opisał latimerię. Był to człowiek najbardziej upoważniony do popierania koncepcji, że do dnia dzisiejszego mogły przetrwać również inne wymarłe jakoby zwierzęta z dawnych epok. Opowiedział on prasie o swym osobistym przekonaniu, że za relacjami o potworach musi się kryć tego rodzaju zwierzę. Potwór z Vaaldam stał się tak popularny, że powstała nawet o nim pieśń w języku Afrykanerów!

Czy któryś z tych potworów może być pierwowzorem smoka wrót bogini Isztar?

„*Sirrusz* – pisze Bernard Heuvelmans – mógł żyć w Afryce Środkowej, a więc tam, dokąd dotarli Chaldejczycy. Kiedy Hans Schomburgh wrócił z Afryki, to oprócz plemiennych baśni przywiózł ze sobą kilka glazurowanych cegieł, takich samych, z jakich zbudowane są wrota Isztar. Nie miał on oczywiście pojęcia, że między cegłami i potworami istnieje jakikolwiek związek. Jest zatem możliwe, że jeden z ziemnowodnych okazów smoka *kongo* znany był Chaldejczykom przed pięcioma tysiącami lat z wędrujących po świecie legend oraz że był to właśnie *sirrusz* z wrót bogini Isztar".

Wszystko jest oczywiście możliwe, jednak ten argument wydaje mi się nieprawdopodobny. Przywiezione przez Schomburgha cegły są trochę podejrzane, ich związek z Babilonem niepewny. Bernard Heuvelmans powiedział, że „z całą pewnością wyglądały na chaldejskie". Niezwykle trudno jest jednak uzasadnić tę teorię. Uświadomił to sobie prawdopodobnie Willy Ley, który pierwszy zainteresował się tymi cegłami. Wzmianka o nich została jednak usunięta z kolejnych wydań jego książki, w której roztrząsa on tę tajemnicę. Mezopotamczycy nie znali chyba zbyt dobrze wschodnich wybrzeży Afryki (a trzeba pamiętać, że Fenicjanie opłynęli ten kontynent jeszcze przed Herodotem), nie mamy jednak pojęcia, jak daleko zapuszczali się w głąb Czarnego Lądu. Afryka wydaje się obszarem zbyt dalekim i nieprawdopodobnym, aby poszukać tam genezy babilońskiego *sirrusza*. Zanim jednak znajdziemy coś bardziej przekonywającego, rozważmy jeszcze jeden dowód.

Sirrusz jest jednym z bohaterów babilońskiego mitu o stworzeniu świata, *Enuma Elisz*. W tym hymnie, śpiewanym podczas świąt religijnych, wszechmocny bóg Marduk uśmierca potwora, będącego emanacją zbuntowanej bogini Tiamat, a może nawet ją samą. *Enuma Elisz* stanowi udramatyzowaną część babilońskich uroczystości noworocznych, podczas których król odgrywa rolę boga w inscenizacji zabijania smoka oraz krępowania bogini. Jest to najstarszy przekaz, poprzedzający powstanie legendy o świętym Jerzym zabijającym smoka – pierwotnie to sam bohater krępował uprzednio księżniczkę.

Z osobliwego fragmentu apokryfu dowiadujemy się, że kapłani Marduka trzymali „smoka" w świątyni w Babilonie. O tym interesującym zwierzęciu jest mowa w *The Book of the Bel and the Dragon* („Księga Bela i smoka"):

„I był tam również smok, któremu Babilończycy cześć oddawali.

I rzekł król do Daniela: Czy powiesz mi może, że jest to smok mosiężny? Patrzcie no – jest żywy: je i pije. Jak możesz mówić, że nie jest on żyjącym bóstwem; czcijcie go zatem.

A wtedy Daniel rzekł do króla: Daj mi swe pozwolenie, a smoka tego zabiję bez miecza i ludzkiej pomocy. Zezwalam – odrzekł król. Naonczas Daniel wziął smołę, sadło i włosie, uwarzył wszystko razem, ulepił z tego wielką grudę i wepchnął do paszczy smoka, a ten rozpękł się na kawałki".

Chodzi tu prawdopodobnie o jaszczurkę ostrzegacza z Indii lub Egiptu, używaną do straszenia publiczności w czasie corocznej inscenizacji. Z pewnością nie był to dinozaur i nie wydaje się, aby stanowił pierwowzór smoka wrót bogini Isztar czy też jakiegokolwiek innego.

Mityczne potwory babilońskie, takie jak skrzydlate byki czy ludzie o ptasich głowach, miały w sztuce Mezopotamii stosunkowo krótki żywot. *Sirrusz*, lwy i tury widoczne są na przestrzeni dwóch tysięcy lat, aż do panowania Nebukadnezara, który przebudował wrota bogini Isztar. Tamtejszy *sirrusz*, choć najbardziej okazały, nie jest jednak jedynym przedsięwzięciem tego gatunku w sztuce. Podobne zwierzęta widzimy również, zazwyczaj jako atrybuty Marduka, na słupach granicznych imperium. Kilka z nich możemy obejrzeć w Muzeum Brytyjskim.

Marduka wraz z *sirruszem* widzimy także na okrągłych pieczęciach, przedstawiających sceny z *Enuma Elisz*, kiedy to Tiamat umyka przed bogiem. Jedna z tych pieczęci jest szczególnie interesująca.

Marduk wraz ze swym pomocnikiem ściga tam wężowego sprzymierzeńca bogini Tiamat. Potwór pokryty jest zwyczajną łuską (czyżby gad?), ma długą szyję i mały róg na czubku głowy. Kiedy po lekturze książki Konstancji Whyte o potworze z Loch Ness czyta się *Middle Eastern Mythology* („Mitologię Środkowego Wschodu“) Hooka, można zrozumieć rzeczywiste znaczenie tej pieczęci. A to dlatego, że widniejące na niej od czterech tysięcy lat zwierzę jest tym samym stworzeniem, które widzimy na zdjęciu wykonanym na Loch Ness przez Kennetha Wilsona.

Podobieństwo jest nadzwyczajne: oba stworzenia mają te same długie, wdzięcznie zakrzywione szyje, te same małe główki z niewielkim „różkiem“. Prymitywnie wyryta pieczęć, podobnie jak płaskorzeźba na wrotach, jest tylko artystyczną impresją, wykonaną według tradycyjnych schematów, nie zaś z natury. Tym niemniej tur istniał naprawdę, choć jego wizerunek powstał w ten sam spsoób. Wydaje się więc, że żyły dwa typy „wspaniałego węża“. Pierwszy to wielki gad w rodzaju tego z wrót Isztar, drugi zaś mógł być gatunkiem zwierzęcia ziemnowodnego – jak na okrągłej pieczęci. Krótkie łapy tego ostatniego w zamierzeniu przedstawiały płetwy, zaś o reszcie ciała artysta miał niejasne wyobrażenie. Gdzież więc żyły te potwory?

Najczęściej widywane są one w górskich jeziorach, takich jak Loch Ness czy Okanagan. Jeziora wyżyny Anatolii, choć leżą w innym pasie klimatycznym, przypominają swym środowiskiem wymienione wcześniej, a zatem mogą tam mieszkać potwory, choćby w jeziorze Van. Wśród Ormian zawsze krążyły legendy o smokach, zazwyczaj wyobrażanych jako węże i morskie potwory, które mogły być jednak tylko personifikacjami trąb i tajfunów morskich.

Bardziej interesujące są *nhangi*. „Te duchy-potwory stoją bardzo blisko smoków, jeśli pozostajemy na gruncie mitologii ormiańskiej“ – pisał Mardiros Ananikian. Wyraz „nhang“ po persku oznacza „krokodyl“, aczkolwiek w jednej z perskich baśni *nhangi* pojawiają się w postaci na pół mitycznych, przeogromnych morskich potworów. Ormiański tłumacz *Biblii* używa tego słowa jako ekwiwalentu krokodyla i hipopotama, a więc jest odpowiednikiem „lewiatana". Średniowieczna geografia uczy, że widywano je w rzece Aracani (Murad Chay) oraz w Eufracie, nie mogły więc być ani krokodylami, ani hipopotamami, które nie występują w tych rzekach. Niektórzy autorzy twierdzą, że *nhang* jest demonem, inni zaś utrzymują, że zwierzęciem. Wydaje się więc, że Ormianie mają jakieś nieznane rzeczne zwierzę, o którym opowiadają sobie w legendach.

Innym właściwym miejscem, w którym należałoby szukać babilońskiego smoka, są bagna przy ujściu Tygrysu, czyli jeszcze jeden „świat zaginiony". Jednym z niewielu podróżników, dobrze znających te moczary, jest angielski badacz Wilfred Thesiger. W *The Marsh Arabs* („Arabskie bagna"), swojej relacji z kilku podróży, wspomina mimochodem o jadowitych gadach, które można tam spotkać.

„Jak gdyby nie dość już było prawdziwych węży, to wierzą tam jeszcze w dwa potwory o nazwach *anfisz* i *afa*. Pierwszy ma podobno owłosioną skórę, a drugi posiada odnóża. Oba mieszkają jakoby w samym sercu bagien i są śmiertelnie jadowite".

Stąd też z pewnością pochodzą babilońskie smoki. I w taki właśnie sposób docierały do Babilończyków owe informacje – w formie kilku zdawkowych słów z ust podróżnika na temat nieprzebytej głuszy, która rozciąga się na południe od ich żyznej równiny.

Babilończycy mogli posiadać większą wiedzę o tych potworach niż zawarta w dostępnej nam informacji o *anfiszu*, który jest prawie tak dobrze nam znanym ssakiem o długiej szyi, czy o *afie*, którego odnóża przywołują na myśl *sirrusza*. Głębokie, porośnięte trzciną, nie zbadane i niemal nie rozpracowane kartograficznie bagna są doskonałą ucieczką dla zagrożonych gatunków. Towarzyszący Thesigerowi w jednej z podróży Gavin Maxwell przywiózł stamtąd do Anglii wydrę, którą później Muzeum

Brytyjskie sklasyfikowało jako nowy gatunek – *Lutrogale Maxwelli*, czyli wydra Maxwella.

Jeśli przetrwały gdzieś wielkie nieznane zwierzęta, to należałoby ich szukać właśnie na bagnach wokół ujścia Tygrysu. Być może, inny podróżny przemierzający te moczary odkryje kiedyś smoka wrót bogini Isztar.

CZĘŚĆ 6

ISTOTY POZAZIEMSKIE WŚRÓD NAS

Czy ludzie mieli już kiedykolwiek kontakt z istotami pozaziemskimi? Pytanie to nurtuje nie tylko autorów powieści science-fiction, choć do niedawna problem kontaktów stanowił materiał głównie dla ich twórczości. Coraz więcej naukowców zajmuje się poszukiwaniem i badaniem śladów, podejrzewanych o pochodzenie pozaziemskie.

Jeden z takich śladów to skalne malowidła z epoki paleolitu i neolitu. Czy można ich powstanie przypisać wyłącznie fantazji prehistorycznych artystów? Wszak fantazja opiera się na rzeczywistości. A jak wytłumaczyć zgodność treści malowideł odkrywanych w różnych częściach świata? I wreszcie – jak wyjaśnić tak wielką eksplozję tego rodzaju fantazji?

Istnieją teksty i legendy, na podstawie których można postawić hipotezę istnienia na Ziemi jakiejś wysoko rozwiniętej protocywilizacji. Jednakże nienaruszone rezerwy źródeł energii i surowców, bez których niemożliwe jest funkcjonowanie społeczeństw przemysłowych, to jeden z głównych argumentów przeciwko tej hipotezie. Nie znaleziono dotąd także śladów żadnego antycznego kompleksu przemysłowego. Warstwy przeszukiwanej przez archeologów ziemi są pod tym względem całkowicie puste, choć odkryto w nich niezliczone ilości reliktów prymitywnych kultur. Legendarna

Atlantyda także nie przekroczyła granic dzielących ją od społeczeństw uprzemysłowionych, ponieważ dysponowała ograniczonymi rezerwami paliw i energii. Sprawdzanie ich z „zewnątrz" musiałoby pozostawić w innych częściach świata jakieś ślady, zaś oficjalna, akademicka nauka uważa, że nigdzie ich jednak nie ma. (A tajemnicze kopalnie miedzi w Afryce Północnej? – powiedzą niektórzy). Dlatego też reprezentanci współczesnej archeologii i etnologii uważają, że tego rodzaju malowidła mają rytualne, religijne podłoże.

Taka teoria może zostać przyjęta dla czasów już po powstaniu kultów religijnych. Jakie więc źródła i praformy zainspirowały twórców rysunków wyrytych w skałach Sahary, przedstawiających figury podobne do rakiet i astronautów? Ponieważ na to pytanie nie można udzielić jednoznacznej odpowiedzi, uważa się, że malowidła te służyły celom rytualnym, choć ich powstanie nie było nimi uwarunkowane. Zresztą dopóty, dopóki źródeł powstania masek, kostiumów i kultowych figur poszukiwać będzie się z tradycyjnych punktów widzenia, przekroczenie muru niewiedzy nie wydaje się możliwe...

Dlaczego więc, skoro tu byli, nie pozostawili po sobie jednoznacznych śladów?

Bezpośredni kontakt z pozaziemską cywilizacją może dokonywać się za pomocą różnorodnych zjawisk natury technicznej, biologicznej czy socjalnej. Nasi przodkowie mogli nie zdawać sobie sprawy z tego typu zjawisk, a tym samym nie wzbudzały one w ogóle ich zainteresowania. Wszak i wielu współczesnych uważa, że jedynie niebywałej natury „kosmiczna zagadka" stanowić może dowód na ICH tutaj obecność. A czyż niedostatecznym „śladem" jest zjawisko natury technologicznej, polegające na nieporównywalności stopnia rozwoju niektórych technicznych i technologicznych elementów, znalezionych przez archeologów, z ogólnym stanem rozwoju danej epoki? Znaleziska takie nazywane są sprzecznymi „historycznie technicyzmami".

Drugi trop ma podłoże geograficzne. Pozwala on na wyszukanie pochodzących z różnych stref geograficznych i różnych epok czynników, które pokrywają się dokładnie w szczegółach. Na przykład, odkryte na Czukotce, tak zwane „uskrzydlone obiekty" znajdowano także i gdzie indziej. I choć próbowano w najróżniejszy sposób przyrównywać je do stylizowanych figur ptaków, motyli, uznawano je za ornamentykę laski szamana lub zdobienie łodzi, to aerodynamiczna i strukturalna analiza tych obiektów czyniła jeden z wariantów najbardziej prawdopodobnym: wariant przyjmujący, że chodzi tu o odzwierciedlenie latających maszyn!

Choć nie można wszystkich historycznych zjawisk tego typu odnosić do kontaktów z pozaziemskimi cywilizacjami, wiele z nich po dokładnych i wszechstronnych badaniach potwierdza możliwość obecności w czasach paleolitu gości z innej planety. Należy tu wymienić wszelkie rysunki, na których znaleźć można odwzorowanie kosmicznego umundurowania, a wśród nich słynne „Dogu" z antycznej Japonii i ich odpowiedniki; „okrągłe głowy" z gór Tassili, mało znane rysunki pramieszkańców Australii, Indian północnoamerykańskich, ludów Afryki, a także cały szereg płaskorzeźb wykonanych przez Majów. Ich *Kodeks Madrycki* zawiera szereg ilustracji przedstawiających mitologiczne postacie, wyposażone w tak zwane „plecaki", porównywalne z dzisiejszymi systemami indywidualnego przeżycia.

Wniosek powyższy jest wynikiem analizy wielu charakterystycznych elementów, takich jak: przymocowany na stałe tornister, obcisłe spodnie, części wyposażenia osłony głowy, mogące służyć potrzebom nawigacji lub wysyłaniu sygnałów świetlnych...

W różnych częściach świata znaleziono ponad sto, pochodzących z czasów starożytnych malowideł, których motywem jest zaopatrzona w różnego rodzaju astronautyczne elementy postać. Rozmieszczenie owych elementów w istotny sposób pokrywa się z układem oprzyrządowania w kombinezonach lotników i kosmonautów.

Nasuwa się tu jednak kolejne pytanie. Wszak przedstawiona na starożytnych znaleziskach technologia kosmiczna jest w gruncie rzeczy bardzo prymitywna. Prymitywne rakiety, niezgrabne urządzenia... Czyż rozumne istoty, zdolne pokonać odległości międzygwiezdne, nie powinny być znacznie bardziej rozwinięte technicznie?

Wielu twierdzi, że w owych przedstawianych przez prehistorycznych artystów „puszkach po konserwach“ nie zajechałoby się zbyt daleko. Idąc dalej uważają oni, że przybysze spoza Ziemi nie mogą mieć z tym wszystkim nic wspólnego, ponieważ podróże wyłącznie w granicach Układu Słonecznego byłyby dla tego sprzętu nie do zrealizowania. A cóż dopiero dalsze loty! A w granicach Układu Słonecznego nie ma przecież śladów życia istot rozumnych. Nie udowodniono również przebywania w Systemie Słonecznym stacji międzyplanetarnych, choć badania Marsa i pasa asteroidów mogą przynieść zaskakujące wyniki.

Ale...jeśli Oni tu byli, to dlaczego przestali się z nami kontaktować?

Jest możliwe, że istoty pozaziemskie są wśród nas, unikając jednak jakiegokolwiek kontaktu. W jakiej formie czy postaci, tego nie sposób ustalić, a ich „zabawa w chowanego“ może wydawać się absurdalna tylko z naszego, ludzkiego punktu widzenia. Istoty spoza Ziemi nie muszą mieć koniecznie takich samych interesów jak my. Ich motywacje mogą być inne. Być może, nie różnią się od nas zewnętrznie, chociaż sposób organizacji ich psychiki może być niesłychanie zaawansowany ewolucyjnie. Po osiągnięciu takiego stopnia rozwoju podróże międzyplanetarne mogą spoczywać na barkach biorobotów, nie zaprogramowanych na kontakt z ludźmi.

Poszukiwanie rozumu pozaziemskiego, tak w przeszłości jak i w przyszłości, służyć powinno nie wymazywaniu osiągnięć naszej cywilizacji, a przeciwnie – rozszerzaniu naszych horyzontów.

DZIWNE ŚWIATŁA NA NIEBIE SIEDEMNASTOWIECZNEJ AMERYKI

W dzienniku Johna Winthropa, który stojąc na czele dziewięciuset osadników z Nowej Anglii założył w 1630 roku miasto Boston, znajdują się opisy zjawisk powietrznych. Relacje Winthropa są przejrzyste, szczegółowe i pozbawione emocji. Trudno wątpić, iż chciał on pozostawić uczciwy opis zdarzeń, których prawdziwości nie miał powodu podważać. Są one w konsekwencji autentycznym świadectwem dziwnych rzeczy, jakie działy się na niebie w okresie kolonizacji Ameryki.

Pierwsze zdarzenie tego rodzaju opisane przez Winthropa, miało miejsce w marcu 1639 roku, zaledwie dziewięć lat po założeniu kolonii purytańskiej w Bostonie. James Everell, znany jako „człowiek skromny i roztropny", od 1634 roku członek pierwszego kościoła purytańskiego, któregoś dnia około godziny dwudziestej drugiej przepływał wraz z dwoma innymi mężczyznami Muddy River (błotnistą rzekę), która była wówczas ważnym dopływem rzeki Charles, zasypanym później i tworzącym grunt dla obszarów łączących dziś Back Bay z Bostonem. Nagle tuż ponad nimi rozbłysło na niebie wielkie światło. Stało ono z początku nieruchomo i Everell na tyle, na ile to było możliwe, dostrzegł, że miało ono kształt kwadratowy lub może prostokątny, o rozmiarach mniej więcej 2,5 na 3 metry.

Niespodziewanie światło przeniosło się bardzo szybko ponad rzekę Charles w stronę Charlestown, po czym wróciło w to samo miejsce. W czasie dwu do trzech godzin przemieszczało się tak zygzakiem nad Muddy River i rzekę Charles, oddalając się pospiesznie, wracając równie szybko, przez krótką chwilę trwało nieruchomo i znów rozpoczynało swój taniec. Sparaliżowani ze strachu, Everell i jego towarzysze trzęśli się skuleni na dnie łódki, nie mogąc wiosłować ani popchnąć swego statku żerdzią. Zygzakowate przeskoki światła wydawały im się podobne do „ruchów wieprzka, który próbuje uniknąć schwytania i biega tam i z powrotem".

Kiedy światło zniknęło ostatecznie, Everell stwierdził z przestrachem, że chociaż morze przez cały ten czas było w stanie odpływu, łódka została znacznie przesunięta dalej w górę rzeki – tak sądzili – od czasu gdy ujrzeli światło po raz pierwszy. Widocznie jakaś emanująca z niego siła popchnęła barkę pod prąd. Winthrop nie podaje więcej szczegółów dotyczących tej obserwacji, oświadcza tylko, że światło zauważyły później różne inne osoby, prawie w tym samym miejscu.

Pięć lat później zdarzył się podobny, choć jeszcze bardziej interesujący wypadek. Wieczorem 18 stycznia 1644 roku w okolicach Bostonu wiele osób spoglądających w stronę morza dojrzało około godziny dwudziestej światło o wielkości mniej więcej księżyca, które wznosiło się ponad horyzont na północnym wschodzie.

Kilka minut później ukazało się inne, bardzo podobne do tamtego, które szło od wschodu i zbliżało się do pierwszego, znajdującego się obecnie nad wyspą Noddle w bostońskim porcie. Zaczęła się wówczas jakby zabawa w kotka i myszkę między tymi dwoma światłami: „Jedno zbliżało się do drugiego, później oddalało się i zbliżało znowu wiele razy, aż w końcu zapadły za wzgórze wyspy i znikły". Z oddali wyrzucały w swoim kierunku małe płomienie czy też iskry.

W tej samej chwili wiele osób znajdujących się na wodzie między Bostonem i Dorchester słyszało, jak twierdzą, głos w niebie, który wymawiał „w sposób straszliwy" słowa: „Mały... mały... chodź... chodź". Ludzie ci, znani wszystkim jako „skromni i pobożni", utrzymują, że słyszeli te wołania, powtarzane około dwudziestu razy w różnych stronach. Chociaż nie byli w stanie ocenić odległości, z jakiej dochodził ten głos, wydawało im się jednak, że odzywał się on z bardzo daleka".

Po tygodniu światła widziano znowu, tak jak poprzednio głos z nieba powtarzał swe wezwania, tym razem z drugiej strony portu, koło wyspy Noddle. Jedynym komentarzem Winthropa na temat tych wydarzeń, poza ich prostym omówieniem, było stwierdzenie, że to ostatnie miejsce znajdowało się blisko okolicy, gdzie kilka tygodni wcześniej barka kapitana Chaddocka zatonęła z powodu wybuchu prochu w ładowni. Chaddocka podejrzewano, iż jest ekspertem od nekromancji i że „dokonywał dziwnych rzeczy po przybyciu z Virginii", gdzie został oskarżony o zamordowanie swego komendanta. Ciała wszystkich marynarzy, zabitych podczas eksplozji, zostały wyrzucone na brzeg, lecz ciała Chaddocka nigdy nie odnaleziono.

W pracy *Life and Times in Hopkington* („Życie codzienne w Hopkington", New Hampshire) C.C. Lorda, opublikowanej w 1890 roku, znaleźć można podobny, interesujący opis. Działo się to koło wzgórza Putney – znanego jednocześnie pod nazwą wzgórza Gould – w północnej części miasta, położonej nad doliną Contoocook. Resztki lasu sosnowego na północnym zboczu tego wzgórza uważane były za dawne „obserwatorium indiańskie", gdzie czerwonoskórzy wartownicy czatowali na wrogich rabusiów. W latach 1750–1800 świecące kule, fruwające w powietrzu i przemieszczające się powoli, widziano często ponad laskiem sosnowym albo blisko niego, tak we dnie jak i w nocy, choć najczęściej wieczorem. Około roku 1820 pewien młody człowiek, który pół wieku później opowiedział swą przygodę Lordowi, był odprowadzany aż do swego domu na przestrzeni ponad trzech kilometrów o zmierzchu przez wiele takich świecących kul. Zatrzymywały się za każdym razem, kiedy on stawał i odwracał się, aby rzucić na nie okiem, później znowu ruszały, kiedy szedł dalej, lecz nigdy nie zbliżały się do niego, utrzymując odległość co najmniej piętnastu metrów.

Ani w tym wypadku, ani w żadnym innym nie było jakichkolwiek oznak wrogości ze strony tych kulistych ciał i nikt nie poniósł nigdy żadnej szkody. W czasach kiedy Lord pisał swoje sprawozdanie, gdzieś pod koniec XIX wieku, nie widziano ich już od co najmniej jednego pokolenia, lecz wielu ludzi jeszcze je pamiętało.

Jakże bardzo wydarzenia te przypominają współczesne opisy UFO!

CO STAŁO SIĘ W ROBOZIERO

Działo się to w Roboziero, nie opodal miejscowości przyklasztornej, leżącej w okolicach Moskwy, w roku 7171 od powstania świata, według Kościoła ortodoksyjnego Przeświętej Rusi, co odpowiada dacie 1663 epoki nazywanej przez nas chrześcijańską.

Dokładna data – 5 sierpnia, sobota (kalendarza gregoriańskiego). Dostojnicy duchowni przesłuchali natychmiast świadków. Dwaj z nich, Iwaszko Rżewski i Lewka Fiedorow, pierwszy robotnik rolny, drugi wieśniak uprawiający własną ziemię, byli mniej zastraszeni od innych i przekazali zgodne opisy.

Według tych opisów, na małym jeziorze w Roboziero, szerokim prawie na dwa kilometry, ukazały się w samo południe olbrzymie płomienie na przestrzeni około 140 metrów. Niebo było bezchmurne. Nad płomieniami unosiła się czapa błękitnego dymu. Dwa rozżarzone światła tryskały z płonącego stosu.

To osobliwe zjawisko zniknęło na godzinę, po czym pojawiło się ponownie w miejscu oddalonym od pierwotnego o około 500 metrów. Po upływie dziesięciu minut wszystko znów się ulotniło, a następnie pojawiło po raz trzeci. Z chwilą ukazania się płomieni rozległ się straszliwy hałas i żar palił wszystko naokoło, tak że nie można było dopłynąć bliżej łodzią. Zginęło mnóstwo ryb. Pozostałe uciekały w popłochu.

Kiedy płomienie zniknęły, powierzchnię jeziora pokrywała czerwonawa warstwa czegoś podobnego do rdzy.

Powtórne przesłuchanie, przeprowadzone przez władze kościelne, miało miejsce 30 listopada tego samego roku i dało takie same wyniki.

Zapisy tych przesłuchań zostały opublikowane w całości w 1842 roku przez komisję archeologiczną, która przestudiowała archiwa klasztoru świętego Cyryla w Roboziero.

Drugie przesłuchanie dostarcza informacji na temat wysokości, do jakiej sięgały słupy ognia i dymu: 40 metrów według współczesnej miary.

Jeden ze świadków twierdził, że promieniowanie świetlne było tak ostre, iż można było zobaczyć dno jeziora leżące w tym miejscu na głębokości ośmiu metrów. Wielu świadków znajdowało się w bramie klasztoru, inni próbowali na łodziach zbliżyć się do płomieni. Doznali lekkich oparzeń.

Wysunięto oczywiście wiele hipotez, lecz żadna z nich nie utrzymała się. Z początku mówiono o fatamorganie, zjawisku dobrze znanym w tamtych czasach.

Lecz fatamorgana nie wypromieniowuje aż tyle energii, by spowodować oparzenia, i nie pozostawia grubej warstwy metalicznego tlenku podobnego do rdzy.

Kiedy na początku XIX wieku badania wybitnego uczonego Chladniego potwierdziły realność meteorytów, próbowano wyjaśnić zagadkę Roboziero jako upadek meteoru. Pomysł dobry, tyle że fałszywy: brak jakichkolwiek szczątków rzekomego meteorytu i meteoryt, który raz już spadł, nie objawia się później po raz drugi. Upadek meteorytu jest zjawiskiem prawie natychmiastowym, gdyż spada on z szybkością 20 kilometrów na sekundę. Jednakże ognista kula w Roboziero, gdy pojawiła się pierwszy raz, utrzymywała się, a woda płonęła w ciągu półtorej godziny, to znaczy, nastąpił rozkład na wodór i tlen, które reagowały ze sobą w sposób eksplodujący.

Teorii wyjaśniającej zjawisko jako spadek meteoru bronił energicznie D.O. Swiacki w 1915 roku w broszurze wydanej w Piotrogrodzie. Hipoteza ta została całkowicie obalona przez wszystkich specjalistów.

Mówiono o zderzeniu z kometą, co również nie wytrzymuje krytyki; byłaby to maleńka kometa. Z drugiej strony, jeśli jakaś kometa zderzyłaby się z Ziemią, odbyłoby się to, jak już wspomniano, błyskawicznie i nie trwałoby półtorej godziny.

Współcześni racjonaliści wysunęli natychmiast hipotezę, utożsamiającą zjawisko z piorunem kulistym. Hipoteza ta, najpierw uznana za nieprawdopodobną, obecnie jest dość popularna. Profesor Kapica zrobił bardzo dobre zdjęcia pioruna kulistego, odtwarzając go w swym laboratorium. Piorun taki jest plazmoidem, czyli zjonizowaną materią, naładowaną elektrycznie, która utrzymuje się w równowadze dzięki nie znanym do dnia dzisiejszego siłom. Jednakże piorun kulisty może istnieć maksymalnie kilkanaście sekund, a jego wielkość nie przekracza kilkudziesięciu centymetrów.

Jeśli zjawisko w Roboziero miałoby być piorunem kulistym, byłby to piorun kulisty zupełnie wyjątkowy.

Ponadto piorun kulisty spada zazwyczaj w czasie burzy i prawdopodobnie powstaje ze „zwykłego" pioruna. Cud nad jeziorem Roboziero zdarzył się przy bezchmurnym niebie, kiedy nie było burzy. Co więcej, zostały już przeprowadzone obserwacje pioruna kulistego wpadającego do wody. Wyniki jednej z takich obserwacji, w czasie której można było zmierzyć termometrem podwyższenie temperatury wody w cebrzyku, gdzie wpadł piorun kulisty, służą odtąd za podstawę do określania energii kulistego pioruna.

W żadnej z tych obserwacji nie stwierdzono nigdy warstwy rdzy, pojawiającej się na powierzchni wody. Byłoby to zresztą niemożliwe, gdyż piorun kulisty składa się ze zjonizowanego azotu i tlenu oraz z elektronów.

Piorun kulisty nie zawiera żelaza i nie może zostawić go po sobie.

A więc?

Tak więc Jurij Roscjus z Komisji Kontaktów w ZSRR wysuwa całkiem poważnie, chociaż dość ostrożnie, hipotezę sugerującą, iż to automatyczna sonda międzyplanetarna przybyła z innego świata i rozbiła się o Ziemię w wyniku awarii technicznej.

Za cudem z Roboziero miałaby stać pozaziemska technologia.

Hipoteza jest pociągająca.

Jednakże, nawet jeśli obiekt z Roboziero (o ile to był obiekt) przybył z kosmosu, to nie musiał być wysłany przez istoty rozumne. Być może, uderzyła o powierzchnię jeziora i eksplodowała w zetknięciu z wodą mała cząstka antymaterii.

Wydaje się dość prawdopodobne, że jakaś mała cząsteczka antymaterialna (mała, ale o niebywałej energii) spadła w tym miejscu. Należałoby wznowić poszukiwania. W trzy wieki po wypadku? – będą protestowali sceptycy. Trzy wieki po wypadku mamy to samo jezioro. I można sprawdzić, czy w jego dnie znajdują się minerały, które mogłyby wypłynąć na powierzchnię i pozostawić tam warstwę rdzy, czy też ich nie ma.

Jeśli ich nie ma, to można jeszcze wziąć pod uwagę przypuszczenie, iż warstwa czegoś w rodzaju rdzy, znaleziona na powierzchni jeziora, powstała w wyniku spalenia zewnętrznej powłoki maszyny. Jest zresztą możliwe, że owa maszyna mogła odlecieć po dwu bezowocnych próbach i po oderwaniu się części jej powłoki.

Nasze kapsuły kosmiczne, powracające z pozaziemskiej przestrzeni, pozbywają się w ten sposób znacznej części swego pancerza. A pasażerowie pozostają przy życiu. Można brać pod uwagę także inne międzyplanetarne teorie, które nie uwzględniają maszyn.

Obiekt z Roboziero mógłby być niezwykle energetyczną cząstką kosmiczną, która wtórnie spowodowała przeobrażenia w chwili uderzenia w Ziemię.

Mogłaby to być również cząstka antymaterii, która wywołała intensywne wydzielanie energii, i w rezultacie mógł się uformować plazmoid, przekształcający się dwukrotnie, zanim się nie rozpadł.

Można także patrzeć na to zjawisko w duchu myślenia Forta: oto drzwi otwierające się do innego wszechświata. Legendy pełne są opisów Innego Świata, o którym amerykański pisarz, Murray Leinster, powiada:

„Niektórzy nazywają go Avalon, inni Tir-Nam-Beo, a jeszcze inni Piekło".

To wyczerpuje, jak się zdaje, hipotezy, które można postawić odnośnie cudu w Roboziero. Prawdziwe rozwiązanie znajduje się, być może, poza granicami naszej wyobraźni.

Byłoby interesujące dowiedzieć się, czy 15 sierpnia 1663 roku miały miejsce jakieś bardzo silne zakłócenia magnetyczne. Nie można wykluczyć, że pewnego dnia dowiemy się tego, posiadamy bowiem coraz więcej sposobów wykrywania zakłóceń magnetycznych, które wydarzyły się w przeszłości. Zakłócenia te pozostawiają ślady w minerałach (paleomagnetyzm). Ich badaniem zajmuje się specjalna dyscyplina naukowa.

Jeśli 15 sierpnia 1663 roku dokonało się jakieś przemieszczenie biegunów magnetycznych, dowiemy się o tym. Nauka nie powiedziała swego ostatniego słowa i zapewne w niedalekiej przyszłości zostanie odsłonięta część prawdy o cudzie w Roboziero.

A może dowiemy się całej prawdy? Na przykład, jeśli pewnego dnia nawiązując kontakt z istotami pozaziemskimi, otrzymamy od nich informację, że kosmiczny statek eksploracyjny uległ awarii na Ziemi 15 sierpnia 1663 roku, według naszego kalendarza.

NIE ZIDENTYFIKOWANE OBIEKTY PODWODNE

Zacznijmy naszą podróż od Europy Północnej, gdzie w ostatnich latach odnotowano pojawianie się tajemniczych obiektów podwodnych w okolicach Grenlandii, Islandii, Norwegii, a zwłaszcza Szwecji. W kwietniu 1988 roku Bengt Gustafsson, główny dowódca armii szwedzkiej, podał do publicznej wiadomości, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy odnotowano aż trzydzieści przypadków wykrycia nie zidentyfikowanych obiektów podwodnych (USO) na wodach szwedzkich. Ponieważ raporty z obszaru Skandynawii prawie na pewno dotyczą statków cywilizacji ziemskiej, czasem są wytworami wyobraźni pobudzonej plotkami i paniką lub efektem pomylenia skał podwodnych i innych cech topograficznych dna morskiego, nie będziemy się przy nich zatrzymywać dłużej.

W roku 1959 na polskim wybrzeżu Bałtyku w okolicach Kołobrzegu żołnierze zaobserwowali, jak ze wzburzonego morza wyłonił się trójkątny obiekt o ponad trzymetrowych bokach. Tajemniczy przedmiot okrążył koszary i odleciał. W żaden sposób nie można go było uznać za wytwór cywilizacji ziemskiej, podobnie jak nie mógł nim być pojazd widziany nad jednym z fiordów norweskich w roku 1959.

Pewnego grudniowego wieczora o godzinie dziesiątej Lorentz Johnson wracał do domu w Skomsvoll, gdy nagle ujrzał przedmiot w kształcie cygara, unoszący się na niebie na wysokości około trzystu metrów. Wyposażony był w okna, z których sączyło się czerwonawe światło. Nagle wypadły z niego dwa podłużne obiekty i zniknęły w odmętach fiordu. Inny znajdujący się w pobliżu świadek nie spostrzegł niczego dziwnego, ale usłyszał plusk rozpryskującej się wody. Pięć lat później pewien człowiek łowiąc ryby w tym samym rejonie natknął się na coś na dnie morza. Przy użyciu sonaru, który miał na łódce, zlokalizował potężny obiekt. Cztery lata później potwierdzono to niezwykłe odkrycie, gdy norweska grupa badaczy UFO wykryła za pomocą sonaru sześciometrowy przedmiot na głębokości dziewięćdziesięciu metrów, lecz nurkowie nie zdołali do niego dotrzeć.

W lutym 1963 roku około pięćdziesięciu do osiemdziesięciu kilometrów od północnych wybrzeży Norwegii w kierunku Spitsbergenu miało miejsce bardzo dziwne wydarzenie. Okręty brytyjskiej floty królewskiej na północnym Atlantyku odbywały w tamtejszych rejonach ćwiczenia. Tego ranka świadek wydarzenia pełnił służbę obsługując radar sonarowy na jednej z fregat. Na ekranie radaru pojawił się punkt oznaczający trójwymiarowy obiekt. Dane wskazywały na przedmiot o szerokości od trzydziestu do trzydziestu pięciu metrów i wysokości ponad dziewięćdziesiąt metrów. Jego pojawienie się było tak nagłe, że przekracza możliwości jakichkolwiek znanych pojazdów, a świadek twierdzi, że ten sam obiekt pojawił się także na radarze najbliższego okrętu, przy czym warunki wykluczały błędną lokalizację celu. Nie zdołano jednak wypatrzyć go przez lornetkę ani skontaktować się z nim przez radio.

Wysłano więc odrzutowce, aby przechwyciły cel. Kiedy zbliżyły się do niego na odległość dwudziestu do dwudziestu pięciu kilometrów, na ekranie radaru zarejestrowano gwałtowny spadek punktu po ostrym łuku, po czym przebiegł przez pozostałe trzy ekrany i zszedł poniżej linii horyzontu, tzn. na wysokość dwustu pięćdziesięciu do trzystu metrów. Wszystko to stało się w ciągu dwóch, trzech sekund. Po utracie kontaktu radarowego cel został przechwycony pod wodą przez sonar rejestrujący obiekt poruszający się szybko na dystansie około piętnastu kilometrów w kierunku, w którym podążał obiekt latający obserwowany poprzednio na radarze. W końcu opadł głęboko w wodę, poruszając się błyskawicznie po zygzakowatym torze daleko od okrętu, a po kilku minutach kontakt został nieoczekiwanie przerwany. Okręt podpłynął do miejsca na morzu, gdzie obiekt pojawił się po raz pierwszy, ale nie było już po nim śladu. Nie udało się także ponownie nawiązać kontaktu.

Podobne meldunki o nie zidentyfikowanych obiektach podwodnych pochodzą także znad wybrzeży Wielkiej Brytanii – Anglii, Walii i Szkocji. Częste były tam przypadki, kiedy w strefach przybrzeżnych zauważano płomienie i wzywano statki ratownicze, które nie znajdowały po przybyciu niczego, co mogłoby wyjaśnić zaobserwowany pożar.

Takie wydarzenia zdarzały się z niejaką regularnością u wybrzeży wschodniej Anglii (Norfolk i Suffolk). W maju 1975 roku znaleziono przez przypadek jakiś bardzo masywny przedmiot. Około czterdziestu pięciu kilometrów od Gorleston (Norfolk) statek rybacki uderzył w obiekt zanurzony w wodzie na głębokości ponad cztery i pół metra, uszkadzając śrubę okrętową. Statek cofnął się, po czym za pomocą echosondy usiłował zlokalizować przeszkodę, ale nie zdołał jej odnaleźć.

W książce *Nadejście statków kosmicznych* Gavin Gibbons opisuje dziwne obserwacje, poczynione na wybrzeżu w Dyfed w Walii w marcu 1955 roku.

„O godzinie siódmej piętnaście wieczorem pani Harding, żona pewnego gospodarza z Abererth, usłyszała wołanie córki, która z głową zadartą ku niebu wskazywała w górę. Na północny zachód od miejsca, gdzie się znajdowały, nad powierzchnią morza lśniła olbrzymia, pomarańczowa, ciągnąca za sobą czarne pasmo kula, która znacząc na niebie zygzakowatą smugę powoli opadała w dół. Obie stwierdziły później, że bardzo przypominała słońce, gdyby nie dziwny tor, jaki zakreśliła, i długi, czarny ogon falujący z tyłu. Podczas gdy przyglądały się temu niezwykłemu zjawisku, nastąpiła eksplozja i dziwny obiekt, nie zmieniając kulistego kształtu i wciąż zachowując intensywnie pomarańczowy kolor, runął do morza. Co dziwniejsze, nadal widać było blask pod powierzchnią wody, który zniknął dopiero po ponad godzinie, kiedy obiekt ostatecznie się rozpadł. Ciągnący się z tyłu ogon zmienił kolor z czarnego na szary, zanim się rozproszył. Nie było słychać żadnych rejestrowalnych przez ucho ludzkie dźwięków ani w powietrzu, ani na wodzie".

Tego wieczora podobny obiekt widziano z brzegu kilkanaście kilometrów na północ w pobliżu Tywyn (Gwynedd). Z relacji dwóch świadków wynika, że jasnopomarańczowy przedmiot wpadł do morza i ponownie wystrzelił w powietrze, pozostawiając za sobą szary ślad. Niestety, nie ma pewności, czy oba raporty dotyczyły tego samego zjawiska.

Pewnego lipcowego dnia w roku 1910 załoga francuskiego statku rybackiego w trakcie połowu na kanale La Manche niedaleko wybrzeży Normandii spostrzegła „olbrzymi, czarny obiekt przypominający ptaka", spadający z nieba. Po chwili wpadł do morza, wyłonił się zeń, ponownie opadł i zniknął bez śladu.

Na południu Portugalii 6 lipca 1965 roku dowódca i członkowie załogi norweskiego tankowca zobaczyli obiekt w kształcie cygara, wylatujący z morza niedaleko Puerto la Cruz. Jaśniał niebieskim światłem, a szereg luków po bokach żółtym blaskiem.

Szesnaście lat później tuż nad granicą hiszpańską w prowincji Huelva dwóch chłopców widziało światło wydobywające się z morza jakieś trzysta metrów od linii brzegowej. Było to w nocy 8 lutego 1981 roku i uwagą ich zwrócił najpierw blask pochodzący z głębin. „Światło jaśniało coraz bardziej i bardziej, więc myśleliśmy, że to zbliżająca się łódź podwodna, ale nagle wynurzyło się z wody i przez chwilę pozostało zawieszone na wysokości około pięciuset metrów, po czym szybko zniknęło bez śladu".

Dalej na wschód, na Morzu Śródziemnym, odnotowano znaczną ilość wypadków aktywności USO. 26 lipca 1970 roku pewien nurek poławiający niedaleko Alcocebre we wschodniej Hiszpanii zszedł na głębokość siedmiu i pół do dziewięciu metrów około sześćdziesięciu metrów od brzegu i natknął się tam na dziwny metaliczny cylinder o długości ponad sześciu metrów, spoczywający na dnie morza. Po dokładnym obejrzeniu bezskutecznie usiłował go poruszyć czy choćby wydrapać coś na jego powierzchni nożem. Następnego ranka wiosłował wraz z kolegą w tym samym miejscu, kiedy jego towarzysz spostrzegł, że coś wydobywa się z wody. Kilka godzin później, gdy zanurkował tam ponownie, cylindra już nie było. Jako nurek z wieloletnim doświadczeniem stwierdził z całą pewnością, że kilka razy penetrował to samo miejsce.

Osiem lat wcześniej na Morzu Śródziemnym miało miejsce dziwne spotkanie z nie zidentyfikowanym obiektem podwodnym, jeden z nielicznych przypadków, w których oprócz pojazdów pojawiły się też nieznane istoty żywe. Miejscem tego wydarzenia był port rybacki w Le Brusc między Marsylią a Niceą w południowej Francji. Późną nocą 1 sierpnia 1962 roku trzech rybaków wypłynęło w morze, kiedy nagle zauważyli coś, co przypominało łódź podwodną, poruszającą się powoli wzdłuż powierzchni wody. Jacyś ludzie, podobni do żab, wynurzyli się z morza i wspięli na statek. Gdy rybacy zbliżyli się na odległość około trzystu metrów, jeden z nich krzyknął coś do nieznajomych przez głośnik. W odpowiedzi ostatni z przybyszów odwrócił się i pomachał ręką w ich kierunku. Gdy tylko znalazł się w środku, pojazd uniósł się nad powierzchnię wody i krążył przez kilka minut, migocząc jaskrawymi, czerwono-zielonymi światłami. Potem w kierunku rybackiej łodzi pomknął błysk białego reflektora, a następnie wszystko zgasło. Wtedy statek zaczął się obracać coraz szybciej, aż wystrzelił z ogromną prędkością i połyskując pomarańczowym światłem zniknął wśród gwiazd, pozostawiając rybaków oniemiałych i zafascynowanych widowiskiem. „Oprócz szumu fal nie usłyszeliśmy żadnego dźwięku pochodzącego ze statku i nietrudno się domyślić, że długo zastanawialiśmy się wspólnie, co to mogło być. Jeśli byłaby to łódź podwodna, helikopter czy hydroplan z pewnością byśmy je rozpoznali".

Niewielu świadkom udało się wejść w tak bliski kontakt z USO i zobaczyć jego załogę. Jeśli uznamy ją za prawdziwą, to wspomniana historia jest naprawdę nadzwyczaj wyjątkowa. Nie można oczywiście zaręczyć, że to wszystko rzeczywiście się zdarzyło, gdyż nie jesteśmy w stanie sprawdzić wiarygodności wszystkich relacji. Dlatego musimy polegać na uczciwości dziennikarzy i badaczy, których pracę wykorzystujemy, przy czym nie posługujemy się materiałami wzbudzającymi jakiekolwiek wątpliwości.

Pojawianie się USO zaobserwowano także u wybrzeży włoskich, zwłaszcza podczas masowych „odwiedzin" UFO na terenie Włoch w roku 1978. W październiku tego roku rybacy ujrzeli trzydziestometrowe słupy wody powstające przy spokojnej pogodzie oraz ciemne „ciało", dłuższe od ich łodzi, wynurzające się na krótką chwilę z morza, by natychmiast ponownie zniknąć w głębinach.

Porzucimy teraz Morze Śródziemne i podążymy na południe, gdzie również zarejestrowano pewną aktywność USO wokół kontynentu afrykańskiego. Jedyny raport z jego zachodniej części pochodzi z roku 1902, kiedy 28 października we wczesnych godzinach rannych na statku „Salisbury Fort", znajdującym się w Zatoce Gwinejskiej w pewnej odległości od wybrzeży Afryki Zachodniej na południowym Atlantyku, obserwator zauważył olbrzymi, czarny obiekt na prawej burcie. Wezwał drugiego oficera i wspólnie ze sternikiem obserwowali dziwną łódź podwodną. Drugi oficer wspominał później:

„Byliśmy trochę przestraszeni. W ciemności trudno było rozróżnić szczegóły, ale miało to około stu pięćdziesięciu do stu osiemdziesięciu metrów i dwa światła, po jednym na każdym końcu. Jakiś mechanizm (a może płetwy) poruszał wodę. Powierzchnia pojazdu robiła wrażenie łuskowatej, nie zaś gładkiej, a on sam powoli tonął. Opis nasuwa skojarzenia z jakimś olbrzymem wodnym, ale sto osiemdziesiąt metrów to rozmiary niewyobrażalnie ogromne jak na zwierzę, nie mówiąc już o światłach na każdym końcu".

Czy mogła to być nasza łódź podwodna? Wprawdzie mniej więcej w tym czasie produkcja łodzi podwodnych na świecie rozwijała się dość intensywnie, a pierwsza z nich została spuszczona na wodę przez Brytyjczyków w roku

1901, niemożliwe jednak, aby ten pierwszy model mógł się oddalić tak daleko od lądu.

Na wschód od Afryki jedyny zarejestrowany USO, o którym wiem, pojawił się na jednej z wysp, gdzie 10 lutego 1975 roku mieszkaniec Petite Ile zauważył bardzo jaskrawy przedmiot, wyłaniający się z morza i prędko znikający na horyzoncie. Dalej na wschód, gdzieś na Oceanie Indyjskim, czwarty oficer na statku „Queensland Star" ujrzał na niebie biały obiekt latający, który spadł do morza rozświetlając wodę; gdy obiekt zatonął, cząsteczki jakiejś białej substancji pojawiły się w morzu. Miało to miejsce 18 września 1901 roku.

Tajemnicze „łodzie podwodne" widywano także wokół Australii i Nowej Zelandii. 11 kwietnia 1965 roku na skałach Wonthaggi w Wiktorii (Australia) dwóch mężczyzn przez piętnaście minut obserwowało dwa przedziwne pojazdy. Z powodu znajdujących się na nich wieżyczek obserwacyjnych uznali je za łodzie podwodne, ale rzecznik marynarki wojennej tak wypowiedział się na ten temat: „Biorąc pod uwagę strefę pojawienia się obiektu oraz ukształtowanie linii brzegowej, wstępna analiza wykazała, że wspomniane statki nie mogły być łodziami podwodnymi".

Zaledwie cztery dni później dwóch nastolatków widziało dwa cylindryczne obiekty niedaleko Coolum (Queensland), a trzy dni potem dwaj rybacy uciekali przed dużym obiektem podążającym ich śladem w pobliżu Mooloolaby (Queensland). 6 czerwca 1965 roku na morzu niedaleko Fraser Island (Queensland) także widziano dwa nie zidentyfikowane obiekty: ciemne, wąskie i długie na około trzydzieści metrów. Inni świadkowie dostrzegli z samolotu dwa lub trzy mniejsze, krążące wokół tych większych.

Zagadkowe „łodzie podwodne" widziano również w 1965 roku w okolicach Nowej Zelandii, wcześniej nawet niż w Australii. 12 stycznia w Kaiparze na północ od Helensville samolot DC-3 przelatywał na wysokości stu pięćdziesięciu metrów nad przystanią, kiedy kapitan zauważył „wieloryba na mieliźnie", który po dokładniejszym obejrzeniu okazał się metaliczną konstrukcją o długości około trzydziestu metrów. Marynarka wojenna potwierdziła, że nie mogła to być normalna łódź podwodna z powodu niedostępności tego rejonu dla tego typu sprzętu. W listopadzie tego samego roku dwaj rybacy w drodze na Wyspę Stewarta zobaczyli w odległości około trzystu metrów wynurzającą się z morza dziwną wieżę, w pobliżu której pojawiła się także jakaś skrzynia. Po kilku sekundach woda wezbrała, pochłaniając oba przedmioty. Rybacy twierdzili, że nie widzieli ani wieżyczek obserwacyjnych, ani wielorybów, a eksperci marynarki wojennej zapewnili, że znajdujące się w tym miejscu skały uniemożliwiają poruszanie się okrętów podwodnych.

28 grudnia 1976 roku niedaleko Coomlieyna Beach koło Ceduna (Australia Południowa) grupa tubylców łowiących ryby przy brzegu spostrzegła łódź podwodną, wypływającą na powierzchnię. Miała około piętnastu metrów długości, białą wieżyczkę obserwacyjną, czarną linię centralną i czerwony pas na wysokości linii zanurzenia. Rzecznik królewskiej floty australijskiej oświadczył jednak, że łodzie podwodne są zazwyczaj w ciemnych kolorach, a opisane szczegóły nie pasują do wyposażenia żadnej marynarki wojennej na świecie. Co więcej, w tym samym czasie na wodach w tej strefie nie znajdowały się żadne okręty.

Dalej na północ nie zidentyfikowane obiekty podwodne spotykano w różnych miejscach u wybrzeży Azji Wschodniej, wśród których najbardziej wysunięty na południe był Wietnam. 16 czerwca 1909 roku niedaleko Dong Hoi w Annamie we wczesnych godzinach rannych pewien rybak przez dziesięć minut obserwował „ognistą kulę“, zanim wpadła do morza. Stosunkowo długi czas między pojawieniem się obiektu a jego zanurzeniem wyklucza przypuszczenie, że był to meteoryt. Niedaleko Inchon w Korei Południowej załoga amerykańskiego statku widziała dwa obiekty z dymiącymi wstęgami, które z wielką prędkością uderzyły w taflę morza, wzniecając ogromne bryzgi wody. Było to w grudniu 1950 roku, a sześć lat później ogromny przedmiot, promieniejący błękitnoszarym światłem, wpadł do morza w pobliżu Pusan w Korei Południowej. Łunę widziano jeszcze przez ponad godzinę, a obiekt kołysał się na powierzchni, zanim zatonął.

W latach 1956–1957 u wybrzeży Japonii również zaobserwowano dziwne przedmioty zstępujące do morza, a z mniej odległych wydarzeń tego rodzaju odnotować należy pojawienie się USO w sierpniu 1980 roku. Tym razem kapitan radzieckiego statku badawczego na Morzu Japońskim spostrzegł, jak metaliczny obiekt w kształcie cylindra powoli wyłania się z wody, zawisa na chwilę w powietrzu i nagle odlatuje w dal.

Przemierzywszy Ocean Spokojny, docieramy do Ameryki, gdzie także miały miejsce tego rodzaju dziwne wydarzenia. Zatrzymamy się najpierw na Aleutach (USA) na dalekiej północy, gdzie latem 1945 roku załoga amerykańskiego transportowca wojskowego wiozącego posiłki na Alaskę ujrzała ogromny, okrągły obiekt, wynurzający się z morza w odległości półtora kilometra. Po chwili wzniósł się w powietrze i okrążywszy statek odleciał na południe.

9 marca 1960 roku dwóch różnych świadków zaobserwowało tajemnicze zjawisko na wodach cieśniny Juana de Fuca w stanie Waszyngton. Na południe od Port Angeles dwaj kierowcy ciężarówek donieśli o pojawieniu się płomiennego pojazdu, opuszczającego się do wody. Na miejscu nie znaleziono jednak niczego i nie zgłoszono zaginięcia żadnego samolotu.

Odnotowano też liczne meldunki o obiektach wpadających do morza u wybrzeży stanów Oregon, Waszyngton i Kalifornii. Mimo iż w większości przypadków w toni morskiej nie pozostał żaden ślad, 27 lipca 1984 roku w pobliżu wyspy Lummi (Waszyngton) znaleziono na dnie morza metalowy pomarańczowozłoty przedmiot w kształcie jaja. Stanąwszy na nim, jeden z nurków usłyszał buczenie, a kiedy wypłynął na powierzchnię, jego płetwy pokrywał rudawy osad. Po kilku dniach płetwonurkowie wrócili na miejsce, ale ów przedmiot zniknął.

28 lipca 1962 roku kapitan i załoga łodzi rybackiej zaobserwowali niezwykły obiekt podwodny. Tuż przed świtem nisko nad wodą kapitan spostrzegł światła i podprowadził

łódź bliżej, aby lepiej się przyjrzeć. Przez lornetkę wypatrzył pękatą, oświetloną konstrukcję, która wyglądała jak rufa łodzi podwodnej sterowanej przez ludzi: „Widzieliśmy pięciu ludzi – dwóch w białych kostiumach, dwóch w ciemnych spodniach i białych koszulach i jednego w błękitnym stroju płetwonurka. Przepłynęliśmy na trawersie w odległości około czterystu metrów i byłem pewien, że to zanurzona łódź podwodna z szarej stali, bez oznaczeń, z pokładami tuż pod powierzchnią wody, tak że jedynie ogon i rufa o dziwnym kształcie były widoczne". Obiekt zbliżył się w ich kierunku i przemknął obok bardzo szybko, zmierzając w stronę otwartego oceanu. Doszli do wniosku, że to jakiś nowy typ radzieckiej łodzi podwodnej, choć nadal są wątpliwości co do trafności tego rozpoznania.

O dziwo, tylko jeden z raportów pochodzi z zachodnich wybrzeży kontynentu południowoamerykańskiego. Obserwacji dokonano ze statku rybackiego trzydzieści kilometrów od Chile koło Tocopilli. W nocy z 23 na 24 września 1971 roku zauważono kilka nie zidentyfikowanych obiektów latających, a wśród świadków byli także policjanci. Kilka godzin później „jakaś czerwona kula" okrążyła statek, po czym utonęła w morzu w odległości około czterech i pół kilometra od niego.

Nieliczne przypadki pojawiania się USO w zachodniej części kontynentu kompensuje ich mnogość w strefie wschodniej. Wygląda na to, że wybrzeże Argentyny szczególnie przyciąga nie zidentyfikowane obiekty podwodne. Najwcześniejszy meldunek pochodzi z czerwca 1950 roku od pewnego zapalonego piechura, który podążając z Tierra del Fuego do Buenos Aires późno w nocy przechodził wzdłuż brzegu Atlantyku między San Sebastian a Rio Grande. Nagle usłyszał plusk jakby rozgarnianej wody i zobaczył promieniejący, owalny przedmiot wynurzający się z morza około ośmiuset metrów od brzegu i lecący w stroną lądu. W dwa tygodnie później ten sam świadek widział podobne zjawisko, kiedy znajdował się między Rio Gallegos a Santa Cruz. Tym razem z morza wyłoniły się aż cztery USO.

W czerwcu 1959 roku nie zidentyfikowany obiekt podwodny długo zwodził argentyńską marynarkę wojenną. Meldunek o nim otrzymano już w Buenos Aires, ale ciągle nie można go było zidentyfikować. Wyglądał jak olbrzymia, srebrna ryba z ogromnym ogonem, przypominającym stabilizator pionowy w modelach B-17. Bardzo szybko się poruszał i wykonywał zwroty. Nurkowie podpłynęli bliżej, ale nie potrafili ustalić podobieństwa do żadnego ze znanych typów łodzi podwodnych.

Argentyńska. marynarka wojenna miała też kłopoty z dwiema rzekomymi łodziami podwodnymi w zatoce Nuevo, częściowo zamkniętym obszarze wodnym o powierzchni trzydzieści na sześćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Buenos Aires. W lutym 1960 roku próbowano wpaść na ich trop wszystkimi dostępnymi sposobami. Najpierw pojawiła się jedna, a po kilku dniach także druga. Mogły pozostawać w zanurzeniu przez parę dni i poruszać się szybciej niż statki na powierzchni. W badaniach pomagali eksperci floty amerykańskiej, ale łodzie zniknęły równie tajemniczo, jak się pojawiły.

Kierowca ciężarówki, który twierdzi, że wielokrotnie widywał w tym czasie świecące pojazdy zanurzające się i wynurzające z morza, tak się o tym wypowiedział: „Jestem absolutnie pewien, że w głębinach zatoki San Matias znajduje się baza Latających Spodków".

W Patagonii podobne zjawiska są tak powszechnie znane, że rozmowy o Marsjanach są rzeczą zwykłą wśród tamtejszych mieszkańców. 30 czerwca 1904 roku pewien kierowca przejeżdżając obok Compdoro Rivadavia zobaczył trzy lub cztery obiekty latające, które jeden po drugim wleciały do morza. Kilka kilometrów dalej spostrzegł świetliste przedmioty (może te same co poprzednio) wynurzające się z wody i krążące z dużą prędkością. W końcu wzbiły się wysoko i zginęły na niebie.

Kilka kilometrów na południe od zatoki San Jorge 18 marca 1966 roku pewien rolnik ujrzał w odległości nie większej niż trzydzieści metrów olbrzymi pojazd latający w kształcie cygara. Miał około dwudziestu metrów, był wykonany z jakiegoś szaroczarnego metalu, a jego gładka powierzchnia pozbawiona była okien i oznakowań. Z tylnego końca wydobywał się szary dym i wyglądało na to, że pojazd ma kłopoty, gdyż wydawał dziwne odgłosy, jakby sapania. Kiedy wpadł w wibrację jak przed eksplozją, gospodarz uciekł, aby się gdzieś ukryć. Gdy pojazd znajdował się nad samym morzem, runął prosto do wody. „Wcale nie płynął. Po prostu uderzył w wodę z ogromnym bryzgiem i szybko poszedł na dno".

Liczba USO i UFO pojawiających się u wybrzeży Argentyny świadczy o tym, że istnienie ich bazy (czymkolwiek są) na południowym Atlantyku nie jest jedynie fantastyczną mrzonką. Również dalej na północ, niedaleko wybrzeży Brazylii, zaobserwowano tajemniczą obecność. 10 stycznia 1958 roku kapitan marynarki siedział na ganku swego domu w pobliżu Curtiby, uważnie przyglądając się jakiejś „wyspie" przez lornetkę. „Wyspa" okazała się dziwną konstrukcją, składającą się z dwóch części, połączonych pionowymi uchwytami lub rurami, która poszła pod wodę na jego oczach.

Ośmioletnia dziewczynka mieszkająca niedaleko Iguape była świadkiem dramatycznego wydarzenia. 30 października 1963 roku usłyszała potężne wycie i ujrzała na niebie srebrzysty przedmiot, który przeleciał jej nad głową, uderzył w palmę i spadł do rzeki Peropava. Inni świadkowie zdążyli jeszcze zobaczyć, jak woda i błoto zagotowały się w tym miejscu. Twierdzili, że obiekt miał średnicę siedem i pół metra, a wyglądał, jakby był sporządzony z wypolerowanego aluminium. Nurkowie podejmowali liczne próby zlokalizowania dziwnego pojazdu, ale przeszkodziła im czterometrowa warstwa błota, w którą wpadł. Możliwe, że został naprawiony pod wodą, a potem uciekł w ciemności lub też utknął głęboko w błocie. W każdym razie nigdy nie znaleziono po nim śladu.

20 lipca 1967 roku kapitan argentyńskiego statku „Naviero" zaobserwował klasyczny nie zidentyfikowany obiekt podwodny, podczas gdy jego statek znajdował się sto osiemdziesiąt kilometrów od przylądka Santa Marta Grande w Brazylii. Wezwany na pokład, zobaczył UFO w kształcie cygara

o długości około trzydziestu pięciu metrów, połyskujący biało-niebiesko, który przez piętnaście minut gonił jego statek, po czym zanurkował, przepłynął pod nim i zniknął w głębinach. Kapitan widział, jak świecił jaskrawym blaskiem przesuwając się pod wodą.

W Amapie, na północ od Brazylii, w roku 1980 grupa ludzi oczekujących na prom spostrzegła UFO wynurzające się z rzeki Araguari. Pojazd wyglądał na masywny i miał około czterech i pół metra średnicy. Zawisł na wysokości pięciu metrów nad rzeką, potem uniósł się powoli i pomknął w kierunku morza.

Na północnym wybrzeżu kontynentu południowoamerykańskiego, w Wenezueli, także zarejestrowano aktywność UFO-USO. Obiekt w kształcie muszli w „wieńcu płomieni" opuścił się z nieba nad wodę mącąc ją i oświetlając jaskrawym blaskiem. Obserwował to pewien człowiek z pokładu szwedzkiego statku na północ od wyspy Orchila w grudniu 1959 roku.

27 sierpnia 1967 roku kilku świadków na plaży w Catia la Mar ujrzało UFO wydobywające się z morza. Jeden z nich opowiadał, że ocean „zagotował się" i trzy szare dyski wynurzyły się i odleciały. 29 marca 1973 roku koło Carayaca jakiś człowiek zobaczył maleńką postać, jakby pięcioletniego dziecka, w niewielkim okienku UFO, który wylądował na morzu kilka metrów od brzegu. Jego żona widziała dwa dziwne obiekty siadające na wodzie, z których jeden zanurzył się na chwilę, po czym oba wystartowały ponownie.

W roku 1963 na radarze niszczyciela amerykańskiej marynarki wojennej, odbywającego ćwiczenia u wybrzeży Puerto Rico kilka kilometrów na północ od Wenezueli na Morzu Karaibskim, zarejestrowano nieznany obiekt podwodny, poruszający się z prędkością ponad dwustu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Ten tajemniczy pojazd pojawił się na radarach trzynastu statków i był śledzony przez cztery dni, w ciągu których schodził na głębokość ośmiu tysięcy metrów. Żadna ziemska łódź podwodna nie może osiągać takiej szybkości ani zanurzyć się tak głęboko.

Gdy przesuwamy się dalej na północ przez Zatokę Meksykańską w kierunku południowych wybrzeży stanu Missisipi, docierają do nas meldunki o małych obiektach podwodnych o długości jednego metra i szerokości około dziesięciu centymetrów, błyszczących jak czysta stal, które bawiły się w chowanego z oficerami ochrony wybrzeża u ujścia rzeki Pascagoula. 6 listopada 1973 roku dwaj rybacy donieśli o pojawieniu się pojazdu oświetlonego bursztynowym blaskiem. Usiłowali uderzyć weń wiosłami i kotwicami, ale umknął w ciemność gasząc światła. Wydarzenie to miało miejsce w tym samym rejonie i niespełna miesiąc po słynnym incydencie z Pascagoula – zabraniu na pokład UFO dwóch ludzi.

Ze wschodnich wybrzeży Ameryki również docierają liczne meldunki, dotyczące ogromnych pojazdów z pluskiem wpadających do morza. Mogły to być jednak katastrofy samolotowe (choć mało prawdopodobne, skoro nie zgłaszano zaginięcia żadnego samolotu) lub odłamki kosmiczne czy meteoryty.

Latem 1954 roku przybył do Nowego Jorku holenderski statek rządowy. Załoga złożyła oficjalny raport o płaskim obiekcie, który wynurzył się z morza sto dwadzieścia kilometrów od brzegu. Kapitan zaobserwował przez lornetkę, że pojazd był początkowo szarawy, ale potem jego dolna część rozbłysła jaskrawym światłem. Wokół krawędzi były też widoczne jasne punkty, jak gdyby pochodzące od lamp.

Meldunek ze statku „St Andrew", pływającego gdzieś po północnym Atlantyku, najlepiej ilustruje trudności z odróżnieniem UFO od meteorytów. 30 października 1906 roku jakieś tysiąc kilometrów na północny wschód od przylądka Race w Nowej Fundlandii (Kanada) „St Andrew" przeszedł przez deszcz meteorów. Pierwszy oficer tak o tym opowiadał:

„We wtorek po południu było pogodnie i bezchmurnie, chociaż słońce świeciło słabo. Tuż po pierwszym dzwonku o godzinie czwartej trzydzieści zobaczyłem w oddali meteory, spadające jeden po drugim do wody jakieś osiem kilometrów od statku. Mimo że był dzień, zostawiły wyraźną czerwoną pręgę w powietrzu od zenitu aż po horyzont.

Jednocześnie trzeci mechanik zawołał mnie i wskazał olbrzymi meteor po prawej burcie, spadający zygzakiem w odległości nie większej niż półtora kilometra. Wyraźnie usłyszeliśmy syczenie wody. Meteor musiał ważyć co najmniej kilka ton, a jego średnica mierzyła w przybliżeniu jakieś trzy, cztery metry. Kształtem przypominał talerz i prawdopodobnie dlatego wzbudził charakterystyczny kołyszący ruch przy zetknięciu z wodą. Gdy bryła metalu uderzyła o taflę morza, strumień wody, piany i pary uniósł się na wysokość dwunastu metrów i przez chwilę wyglądało to jak otwór krateru. Gdyby zdarzyło się to nocą, meteor oświetliłby morze co najmniej na osiemdziesiąt kilometrów. Odgłos syczenia przy uderzeniu i uwalnianiu się pary był tak donośny, że pierwszy mechanik zszedł ze stanowiska, myśląc, że dźwięk pochodzi z maszynowni. Choć widziałem już wiele meteorów, żaden nie był równie wielki jak ten".

Świadkowie opisali meteor jako przedmiot w kształcie spodka, spadający po linii zygzakowatej kołyszącym się ruchem, to zaś wzbudza pewne wątpliwości, czy rzeczywiście był to meteor czy też UFO, zwłaszcza że w roku 1906 takie zjawisko nie było jeszcze powszechnie znane. Ale jeśli przyjąć, że meteory mogą zachowywać się w ten sposób, niewykluczone, że wiele spośród zaobserwowanych „nie zidentyfikowanych obiektów latających" wpadających do morza było po prostu meteorami.

Nie był jednak meteorem obiekt, który wpadł do wody w Shag Harbour w Nowej Szkocji (Kanada) 4 października 1967 roku. Zaobserwowano go w nocy z lądu, a świadek wyraźnie odróżnił kilka pomarańczowoczerwonych świateł, które kolejno zapalały się i gasły, aż cały pojazd zniknął w wodzie. Wtedy światła zmieniły się w pojedyncze białawe, a obiekt podskakiwał na falach w odległości ośmiuset metrów od brzegu. Policjanci również zauważyli światło rozbłyskujące na wodzie i podpłynęli do niego na łodziach, ale znaleźli jedynie duży obszar wzburzonej wody i żółtawej piany. Dwa dni poszukiwań zakończyły się niepowodzeniem. Nie było także meldunku o zaginięciu samolotu.

Podobne raporty pochodzą także z jezior i rzek. Jako szczególnie bogata w jeziora, Skandynawia odnotowała proporcjonalnie więcej takich przypadków. W ciągu jednego lata w 1946 roku tysiące ludzi meldowało o pojawianiu się nieznanych obiektów, które wyglądały jak rakiety przeszywające niebo i rozbijające się w jeziorach. Powszechnie uważano, że wysłali je Rosjanie, ale nigdy tego nie udowodniono. Jedną z takich „rakiet widm" rozbitych na dalekiej północy w Szwecji 19 lipca 1946 roku spostrzegł pewien gospodarz, Knut Lindback, z którym w roku 1984 przeprowadzono na ten temat wywiad.

Właśnie zbierał wraz z żoną zboże z pola w pobliżu jeziora Kälmjäru, kiedy usłyszał w górze buczenie, po czym zobaczył długi, szary przedmiot w kształcie rakiety, szybko zbliżający się do jeziora, który wpadł do wody wzbijając kolejno dwie wysokie fontanny. Według Lindbacka, obiekt miał około dwóch metrów długości, „zadarty nos" i szpiczastą rufę. „Wydaje mi się, że widziałem kilka małych skrzydełek po każdej stronie, ale nie jestem pewien. Wszystko stało się tak szybko" – powiedział. Lindback wypłynął na jezioro aż do miejsca, gdzie pojazd utonął. Wodorosty i lilie wodne miały poszarpane łodygi, a woda była mulista. Głębokość dochodziła tam zaledwie do około dwóch metrów, ale nawet intensywne poszukiwania przy pomocy wojska nie dały rezultatów.

O innych podobnych wypadkach doniesiono z jeziora Kattistjärn, dwadzieścia kilometrów na północny wschód od Kölmjärv. Chłopiec łowiący ryby zobaczył, że coś pada blisko niego, wzbijając wysoki słup wody. Miało to miejsce około kwadransa przed wydarzeniem opisanym przez Knuta Lindbacka. W tym samym czasie nad Bolebyn na północy widziano inny powietrzny obiekt, podobny do bańki na mleko, który przez piętnaście minut pozostawał w polu widzenia, nie mógł zatem poruszać się zbyt szybko. Trzy tygodnie później, 13 sierpnia, skrzydlaty obiekt runął do jeziora w środkowej Norwegii, a 18 lipca, na dzień przed „katastrofą" w Kölmjärv, dwie skrzydlate cygaropodobne „rakiety" wpadły jednocześnie do jeziora Mjosa w środkowej Norwegii.

Ponieważ opisane wyżej wydarzenia nastąpiły, zanim w 1947 roku cały świat usłyszał o UFO, skandynawskie meldunki o „rakietach widmach" do dziś należą do jednych z najbardziej zagadkowych. Jeśli były to rzeczywiście eksperymenty prowadzone przez Rosjan, musiałyby mieć miejsce regularne starty, które tłumaczyłyby dużą liczbę raportów o nie zidentyfikowanych obiektach, a przecież żadne szczątki po rozbiciu nie zostały znalezione.

W drugiej połowie naszego stulecia na terenie Skandynawii znajdowano olbrzymie wyrwy w grubej warstwie lodu na jeziorach, jak na przykład ta o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć metrów w lodzie o grubości jednego metra na szwedzkim jeziorze Uppramen (w 1968 roku). W roku 1976 widziano, jak jakiś ciemnoszary obiekt wyrył długi tunel w lodzie pokrywającym jezioro Siljan w Szwecji. 8 grudnia 1983 roku w Finlandii wieśniacy spostrzegli na niebie wirujące w powietrzu światła, a potem znaleźli dziurę – dwa i pół na trzy i pół metra – w lodzie na jeziorze Säkkiä, zaś podobne wydarzenia miały też miejsce w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Kilkakrotnie widziano UFO nurkujące w jeziorach i rzekach, a czasami także wynurzające się z nich.

Najdziwniejszy chyba meldunek złożył mieszkaniec Kolumbii Brytyjskiej, który 16 maja 1981 roku łowił ryby na rzece Thompson. Było jasne, słoneczne popołudnie. Nagle usłyszał odgłos, „jak gdyby ktoś wlewał na patelnię wodę", a w odległości dziewięćdziesięciu metrów od niego jezioro zabulgotało. „Typowy Latający Spodek" wynurzył się powoli z rzeki, wzbił się w powietrze i odleciał. Na rybaka spadł deszcz małych kulek, z których kilka zachował do analizy. Niestety, o wynikach tych badań nic nie wiadomo.

W listopadzie 1964 roku Frank S. Kinsey, były pilot sił powietrznych marynarki wojennej, odbywał krótką wizytę w pobliżu miejscowości Ventura w Kalifornii, gdzie udało mu się sfotografować USO.

Tego ponurego, pochmurnego ranka stali na brzegu ze szwagrem. „Nagle usłyszałem głośny hałas i dźwięk rozpryskującej się wody. Spojrzałem na jezioro i zobaczyłem, jak coś wynurza się z wody. Oniemiałem. Na szyi miałem aparat fotograficzny, ale tak mnie zaskoczyło to, co zobaczyłem, że zupełnie o nim zapomniałem. To coś wydobyło się z wody mniej więcej osiem metrów od nas i zawisło w powietrzu. Przypomniałem sobie o aparacie i w chwili gdy podnosiłem go do oczu, obiekt zaczął się oddalać. Zdołałem go tylko uchwycić na samym brzegu kliszy, gdyż w ciągu kilku sekund zniknął ponad szczytami. Gdy tak mknął do góry, jego kolory zmieniały się od barwy ciemnej lawendy, poprzez żółć, do ognistej pomarańczy. Potem straciłem go z oczu".

Przed zrobieniem zdjęcia Kinsey spojrzał na obiekt przez lornetkę i dostrzegł coś, co wyglądało na żywą istotę, odwzajemniającą jego spojrzenie!

Czy można te wszystkie relacje potraktować jak zwykłe oszustwa, halucynacje lub zjawiska naturalne? Niektóre dałoby się niewątpliwie zidentyfikować, gdyby dostarczono dodatkowych informacji, lecz żaden z tajemniczych obiektów nigdy nie ocalał dla analizy. Albo znikały, zanim przeszukano miejsce ich pojawienia się, albo bezpowrotnie ginęły w wodzie lub głęboko w mule.

Podobnie jak UFO, USO są ulotne, zwodnicze, wymykające się ludzkiemu poznaniu. Przypominają, że choć człowiek lubi uważać się za wyłącznego władcę tej planety, nadal kryje ona w sobie wiele nie zgłębionych tajemnic. Przywykliśmy nie zastanawiać się nad tym zbytnio, gdyż mogłoby to zachwiać naszą równowagą. Nie zidentyfikowane obiekty podwodne z pewnością należą do tej kategorii spraw, które wzbudzają w nas uczucie niepewności i niepokoju. Czas jednak spojrzeć prawdzie w oczy: doprawdy coś dziwnego dzieje się na niebie i w głębinach.

TRZEJ LUDZIE W CZERNI: PRZEPUSTKA DO PARANOI

Wszystko zaczęło się we wrześniu 1953 roku, gdy – jak powiadają – trzech mężczyzn odzianych w czerń odwiedziło Alberta K. Bendera, założyciela organizacji do badań Latających Spodków. Zgodnie z legendą i wiedzą ufologiczną, Bender uzyskał dostęp do pewnych danych, które według jego mniemania, stanowiły brakujące części teorii Latających Talerzy. W liście wysłanym do zaufanego przyjaciela pośpiesznie naszkicował zarys swej tezy. Gdy trzech na czarno ubranych nieznajomych zjawiło się u drzwi Bendera, jeden z nich trzymał ten list w ręku.

Oświadczyli Benderowi, że natknął się na rozwiązanie zagadki, ale nie zna wszystkich szczegółów. Gdy Bender poznał pełną historię UFO, popadł w chorobę. Uświadomił sobie, że gdyby prawda o Latających Talerzach dotarła do szerokiej publiczności, nastąpiłyby dramatyczne przeobrażenia wszystkich ziemskich spraw. Największego urazu doznałaby nauka. Z dnia na dzień rozpadłyby się struktury polityczne. Zapanowałby powszechny chaos. Albert K. Bender otrzymał posłanie. Porzucił swoje poszukiwania związane z UFO.

W 1956 roku Gray Baker opowiedział historię Bendera w książce *Oni wiedzieli za wiele o Latających Talerzach*, z pominięciem szczegółów rewelacji o UFO, ujawnionych przez trzech Ludzi w Czerni (MIB czyli MEN IN BLACK).

W tej samej książce poinformował, że Edgar R. Jarrold – założyciel Australijskiego Komitetu Latających Talerzy, Harold H. Fulton – kierownik Cywilnych Badań UFO w Nowej Zelandii oraz ufolog John H. Stuart, także Nowozelandczyk, zostali również odwiedzeni przez tajemniczych nieznajomych w czerni, czego konsekwencją było rozwiązanie ich organizacji i zaniechanie badań.

Baker zakończył książkę złowieszczym przewidywaniem: „Mam przeczucie, że pewnego dnia rozlegnie się dostojne pukanie do moich drzwi. Do was także zastukają, chyba że wszyscy nabierzemy rozumu i dowiemy się, kim naprawdę są Ludzie w Czerni.

Albert K. Bender milczał nieprzerwanie aż do 1962 roku, kiedy to opublikował książkę *Latające Talerze i trzej ludzie*. Miała ona odsłonić światu całą jego historię. Bender otrzymał rzekomo przepowiednię, przeznaczoną dla tajnej, podziemnej bazy UFO na Antarktydzie, zamieszkałej przez mężczyzn, kobiety oraz istoty biseksualne. Długo oczekiwane ujawnienie tajemnicy przerodziło się w przykre rozczarowanie. Ufologowie zastanowili się, czy przeżycia Bendera były natury psychicznej, czy też książka jest alegorią. Pozostała jeszcze inna możliwość: Bender poczuł się znużony oczywistą bezskutecznością poszukiwań UFO, wymyślił historię o „uciszaczach“ w czerni i spłatał figla przy pomocy grupki przyjaciół.

Jednakże nawet kilka lat po ukazaniu się książki Bendera jego przyjaciele twierdzili, że cała ta sprawa wydaje się jednak prawdziwa, że po wizycie MIB Bender stał się innym człowiekiem i wyglądało na to, iż dokonano na nim lobotomii. Naprawdę się bał, a później cierpiał na nieznośne bóle głowy, kontrolowane, jak utrzymywał, przez nich. Ilekroć pomyślał o przerwaniu milczenia, jeden z tych okropnych bólów głowy po prostu go nokautował.

Wkrótce okazało się, że Bender wcale nie był wyjątkiem. Od momentu gdy owo dostojne stukanie rozległo się u jego drzwi, duża liczba badaczy UFO, a także obserwatorów, doświadczyła dziwacznych przykrości. W pewnych wypadkach ponure głosy szeptały groźby przez telefon i ostrzegały niektórych ludzi, żeby przerwali swe dociekania. Tych, którzy robili zdjęcia UFO, odwiedzali osobnicy przypisujący sobie przynależność do kół rządowych i konfiskowali zdjęcia oraz negatywy.

W okresie od 1966 do 1970 roku setki ufologów, informatorów i przypadkowych obserwatorów UFO twierdziły, że odwiedzali ich złowróżbni nieznajomi – zazwyczaj trzej i zazwyczaj ubrani na czarno – którzy wyraźnie dawali do zrozumienia, że siłą wymuszą zaprzestanie badań nad Latającymi Talerzami i zwrot wszystkich fotografii lub artefaktów. Częstokroć groźby akcentowali twierdzeniem, że współpraca z Ludźmi w Czerni ma istotne znaczenie dla dobra „twojej rodziny, twojego kraju i twojego świata".

Około 24 czerwca 1967 roku, kiedy to w hotelu „Commodore" w Nowym Jorku trwał zjazd ufologów dla uczczenia dwudziestej rocznicy pierwszego doniesienia o UFO, szaleństwo związane z MIB przybrało największe rozmiary. Krzesiwem, od którego rozgorzała psychologiczna hubka, była wiadomość o śmierci Franka Edwardsa, ogłoszona w dniu tej szczególnej rocznicy.

Edwards był osobowością radiową, a jego hobby przez wiele lat stanowiło nadawanie opowieści o UFO i zjawiskach parapsychologicznych. Będąc przyjacielem Curtisa i Mary Fullerów, wydawców magazynu *Fate*, Edwards wyłuskiwał bryłkę za bryłką ze złotodajnej żyły tego czasopisma. W chwili śmierci był uznanym Królem Informacji w dziedzinie ufologii.

Frank Edwards kilkakrotnie wspominał o próbach uciszenia go. Prowadził cieszący się dużym powodzeniem program radiowy, sponsorowany przez Amerykańską Federację Pracy.

Wkrótce, jak mówił Edwards, słuchowisko zostało zawieszone i wyrzucono go z pracy za poświęcanie zbyt wiele czasu programowego na rozważania o Latających Talerzach. Edwards dowodził, że jego nieustanne wzmianki o zagadce UFO denerwowały Departament Obrony – utrzymywał, że odpowiedzialność za staranne tuszowanie sprawy spada na Siły Powietrzne.

A więc to „uciszacze“ z UFO pozbyli się Franka Edwardsa? Wielu ufologów tak właśnie sądziło, nawet jeśli nekrolog informował, że zmarł on na atak serca.

W istocie, doniesienia o spotkaniach z MIB szerzyły się po całym kraju. Obserwatorzy UFO byli nakłaniani do milczenia lub skonfiskowano ich fotografie. Ktoś krążył po kraju posługując się zawoalowanymi groźbami, ostrymi napomnieniami i nieodzowną teczką na artefakty UFO.

Pułkownik George P. Freeman, rzecznik Pentagonu do spraw UFO, przyznał się pewnemu badaczowi, że sprawdzono pewną ilość raportów o MIB i departament jest gotów oficjalnie ogłosić, że „ci ludzie nie są w żaden sposób powiązani z Siłami Powietrznymi“. Co więcej, pułkownik Freeman oświadczył, że podając się za oficerów Sił Powietrznych oraz agentów rządowych, „uciszacze“ z UFO popełniają przestępstwo przeciw prawu federalnemu. Powiedział też, że pracownicy jego departamentu pragną schwytać choć jednego z oszustów na gorącym uczynku, lecz niestety, w chwili gdy dowiadują się o takich przypadkach, nie ma już żadnych śladów.

Inne służby specjalne Stanów Zjednoczonych również nie przyznały się do MIB. Wiadomo, iż agentowi rządowemu nie wolno żądać od obywatela oddania prywatnej własności, grozić mu czy też wkraczać do jego domu bez nakazu rewizji.

Wiosną 1967 roku zdarzyło się jednak, że czterech mężczyzn, podających się za oficerów Sił Powietrznych, zgromadziło policjantów i obywateli cywilnych, którzy byli świadkami wzmożonej aktywności UFO w Wanague w stanie New Jersey i pouczyło ich, że „nic nie widzieli“. Obywatele i strażnicy prawa zostali surowo napomnieni, żeby z nikim nie dyskutowali o tym, co widzieli nad Wanague Reservoir.

W czasie wykonywania swoich obowiązków w Kalifornii Rex Heflin z departamentu dróg zrobił kilka bardzo interesujących, a zarazem kontrowersyjnych zdjęć UFO. W kilka miesięcy później złożył mu wizytę człowiek legitymujący się wiarogodnymi dokumentami North American Air Defense. Zażądał serii oryginalnych zdjęć Heflina i otrzymał je. Okazało się, że ów inspektor był oszustem, a NORAD zaprzeczyła, jakoby należała do jego personelu osoba o nazwisku podanym przez Heflina.

Śladem dwójki uczniów z Norwalk w stanie Connecticut – jak doniosły gazety – podążało UFO. Następnego dnia w szkole, do której chodzili chłopcy, zjawił się jakiś człowiek i przedstawił się dyrektorowi jako przedstawiciel „agencji rządowej tak utajnionej, że nie można podać jej nazwy". Tajemniczy agent przesłuchiwał chłopców prawie trzy godziny, aż zniecierpliwiony i podejrzliwy pryncypał poprosił go, aby opuścił szkołę.

Dziwne zjawisko obserwowane 7 czerwca 1968 roku nad Pittsburgiem zostało sfotografowane polaroidem przez dwóch młodzieńców. 5 lipca niejaki „kapitan Munroe" odwiedził jednego z tych młodych ludzi, przedstawił się jako przedstawiciel Instytutu Badań UFO w Pittsburgu i poinformował, że zdjęcia zostały podrobione. Przykazał też trzymać język za zębami, bo w przeciwnym razie przydarzy mu się coś nieprzyjemnego. Po wizycie grożono też chłopcu przez telefon.

Major Joseph Jenkins, kierujący Instytutem do Badań UFO w Pittsburgu, kategorycznie zaprzeczył, jakoby ktokolwiek od nich odwiedzał chłopców 5 lipca, i stwierdził, że nie znają żadnego kapitana Munroe.

Przy okazji Jenkins szczegółowo opisał przeżycia jednego z ich kolegów-badaczy, kierownika grupy zajmującej się UFO w sąsiednim mieście, niejakiego Franka. Frank był bez reszty pogrążony w badaniu „wielkiej fali" (okres wzmożonej aktywności UFO), gdy zaczął otrzymywać telefony z ostrzeżeniami, by „zapomniał o sprawie UFO". Zignorował je. Nieco później z jego samochodu zniknęło wyposażenie radiowe, a on sam ostrzeżony został telefonicznie, że „następnym razem nie będzie to materialne dobro".

Potem, jak mówi major Jenkins, odwiedziło Franka trzech mężczyzn w czarnych garniturach, przypominających pikowane uniformy używane podczas wojny w Korei. Ludzie ci mówili w dziwny sposób, jakby brakowało im tchu. Ani razu „pośród pogróżek nie wspomnieli wprost o kwestii

UFO". Frank przezornie zanotował numer rejestracyjny ich samochodu, jednakże okazało się, że takowy nie figuruje w kartotekach stanowych.

W jednym z raportów major Jenkins doniósł też o człowieku, który w styczniu 1968 roku obserwował UFO i przyjrzał mu się bardzo dokładnie. Spostrzeżeniami podzielił się z kolegami w pracy, lecz stwierdziwszy, że wzbudzają tylko śmiech, poniechał tematu. Wkrótce potem w ślad za nim zaczął jeździć czarny samochód. Pojawiał się zbyt często, żeby uznać to za zwykły zbieg okoliczności – ten sam czarny samochód, te same osoby w środku.

„Początkowo nie wiązał on tego ze swoją obserwacją UFO – pisał major Jenkins – ale wspomniał o tym żonie [...] i nadmienił również, że go to niepokoi. Pewnego ranka w drodze do pracy zauważył ów samochód z tymi samymi pasażerami, jadący tym razem z przeciwnej strony – wprost na niego. Zahamował ostro i zjechał z drogi, by uniknąć zderzenia. Z opresji wyszedł cało, aczkolwiek bardzo roztrzęsiony".

Major Jenkins pisał również o człowieku, który nakręcił jedenastominutowy kolorowy film, pokazujący UFO nad Wietnamem. Obiecał projekcję dla pracowników instytutu, ale wizyta trzech panów z „Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego" przeszkodziła komukolwiek z grupy zajmującej się UFO w obejrzeniu filmu. Panowie zażądali przekazania im filmu. Właściciel nie wyraził zgody, chyba że przedstawią mu nakaz rewizji, którego oczywiście nie mieli. Gdy wyszli, zdołał przynajmniej zobaczyć, że ich samochód miał tablicę rejestracyjną „Washington, DC". Próba jazdy za dziwnymi gośćmi skończyła się niepowodzeniem.

W czerwcu 1968 roku Thomas Wedemeyer z cywilnej grupy badaczy UFO (Commission on Aerial Phenomena) w Jamestown, w stanie Nowy Jork, miał wizytę oficera Sił Powietrznych, który przedłożył dokumenty tożsamości, opiewające na nazwisko major Smedley. Po przesłuchaniu, po którym Wedemeyer odczuwał silny ból głowy, Jim Norene, dyrektor CAP, zdecydował się sprawdzić, kim jest Smedley.

Rzecznik lokalnych Sił Powietrznych oświadczył, że żaden major o tym nazwisku nie pracuje w Jamestown.

Norene zajął się tą sprawą dokładniej, a w sprawozdaniu stwierdził: „Natychmiast po otrzymaniu informacji sprawdziliśmy (za pomocą dalekopisu) w dziale kadr Sił Powietrznych w Bostonie. Odpowiedź była niezwykle interesująca. Siły Powietrzne nie mają żadnego majora Smedleya w swoich rejestrach. Innymi słowy, ów człowiek nie pracuje w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Fakt, że ten osobnik, kimkolwiek by nie był, wydawał się zmartwiony posiadaniem przez naszą organizację informacji dotyczących lądowania UFO na skraju Buffalo, skłonił nas do gruntowniejszego zbadania tego incydentu".

Norene i CAP dowiedzieli się, że majora Smedleya, w uniformie Sił Powietrznych i z dokumentami tożsamości, widziano też w innych miejscach. W Erie, Pensylwania, fałszywy major przez godzinę indagował obserwatora UFO, w następstwie czego ów człowiek tak ciężko się rozchorował, że przez dwa tygodnie był przykuty do łóżka.

Można by napisać całą książkę w oparciu o listy mówiące o poczynaniach MIB. Niektóre doniesienia, jeśli przyjąć, że zawierają sprawozdania z rzeczywistych wydarzeń, są przerażające.

W tym samym czasie, gdy niewysocy zazwyczaj mężczyźni o ciemnej cerze, orientalnych rysach i dziwacznym akcencie usiłowali nastraszyć obserwatorów i badaczy UFO, pewne osoby utrzymywały, że później „cudzoziemcy" kontaktowali się z nimi telefonicznie lub poprzez odbiorniki radiowe. Zgodnie z licznymi doniesieniami, częstotliwość, na której nadawali cudzoziemcy, zakłócała normalny odbiór programu. Dziwnie odziani osobnicy zalecali obserwatorom Latających Talerzy współpracę z nimi i traktowanie spostrzeżeń jako poufnych. W zamian za milczenie i kooperację obiecywali, że umożliwią pracę nad pewnymi wspaniałymi projektami, które staną się dobrodziejstwem dla ludzkości.

Jeden z takich przymusowych łączników, pilot Sił Powietrznych w stanie spoczynku, który w życiu cywilnym był inżynierem, napisał w „Progressive Development", że jego doświadczenie trwające od jedenastu miesięcy było wyłącznie przekazywaniem myśli.

„W takiej chwili, czy się nam to podoba czy też nie, zaczyna się transfer myśli. Nasz umysł jest dla nich otwartą książką. Odniosłem wrażenie, że są bezwzględni w dążeniu do celu. Posługują się kłamstwami i półprawdami, aby nie dowiedzieć się o nich zbyt wiele.

Trzej Ludzie w Czerni wydają się być sterowanymi Ziemianami. Przypuszczam, że kontrola polega na oddziaływaniu na mózg, na obszary zwane przez nich «obszarem mówienia» albo «obszarem władzy». W ciągu jedenastu miesięcy sporządziłem notatki o rozwoju wydarzeń. Zjawiska te są zbyt fantastyczne, by ktoś, kto ich nie doświadczył, uwierzył w nie.

W jaki sposób udaje mi się to pisać? Jestem przekonany, że oni wiedzą o tym. Mam jednak pewną przewagę – niełatwo mnie zastraszyć, ponieważ nie boję się śmierci, a także jestem odporny na ból. Raz tylko wpadłem w panikę, gdy doświadczyłem ich mocy – zahamowali moje myśli [...] By wyjaśnić całkowity zwrot w działaniach ludzi zaangażowanych w sprawy UFO, należy uświadomić sobie, że Ludzie w Czerni mają zdolność «narzucania myśli»".

Cokolwiek by nie mówić o Ludziach w Czerni, są oni nieodłączną częścią zjawiska UFO i jeśli uzna się jego realność, trzeba też uznać, że i MIB są rzeczywistością.

Kim są? Istotami z kosmosu ucharakteryzowanymi na Ziemian czy też ubezwłasnowolnionymi Ziemianami, odgrywającymi rolę narzędzia?

Rekonstrukcja spotkania z duchami dworzan Ludwika XVI, które przytrafiło się dwóm Angielkom zwiedzającym Wersal w 1901 roku.

Łowca duchów, Harry Price.

Kamienny mur w Cuzco. Jak Inkowie osiągnęli taką precyzję w kamieniarstwie - na to pytanie odpowiada prof. Jean-Pierre Protzen (zob. rozdział *Kamienne mury w Peru*). O ile mur w Cuzco zbudowano z relatywnie małych głazów, prostokątnych i układanych w rzędach, o tyle mur w Sacsahuamán (po prawej), zbudowany z ogromnych wielobocznych głazów, poraża skalą przedsięwzięcia – waga największych „cegieł" dochodzi do 200 ton!

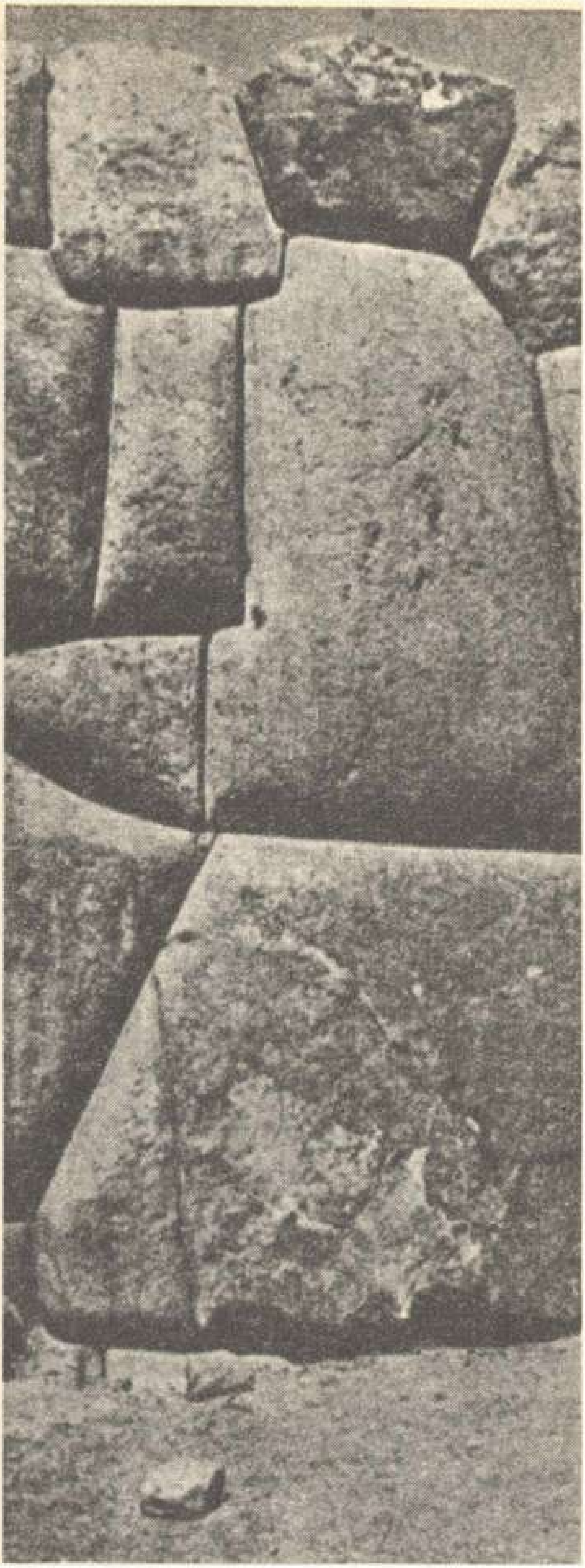

Cyklopowe mury
w Sacsahuamán.

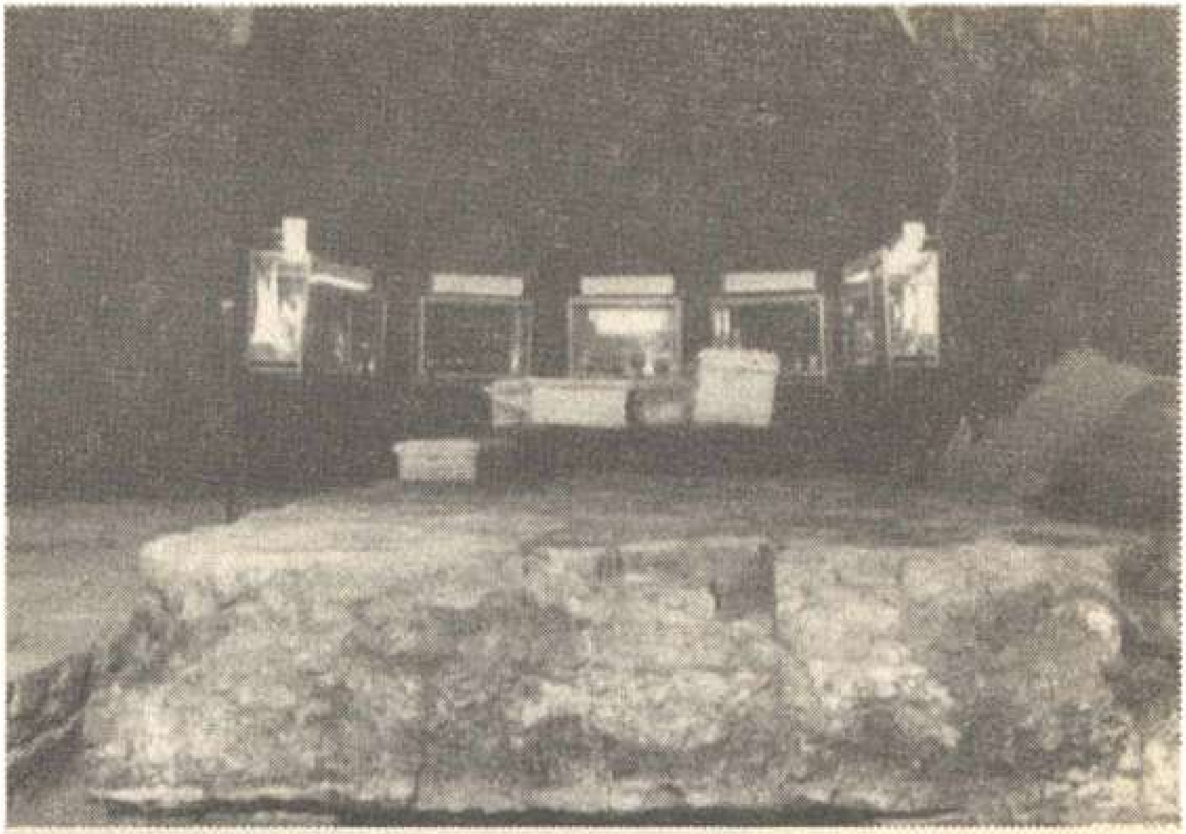

Wielka szklana tafla z Galilei. Przez lata ten zaskakujący przykład starożytnej technologii pozostawał nie zauważany, służąc jedynie jako półka dla muzealnych wystaw.

Prof. Frank J. Frost (pośrodku) badający chińskie kotwice z dwojgiem swych studentów.

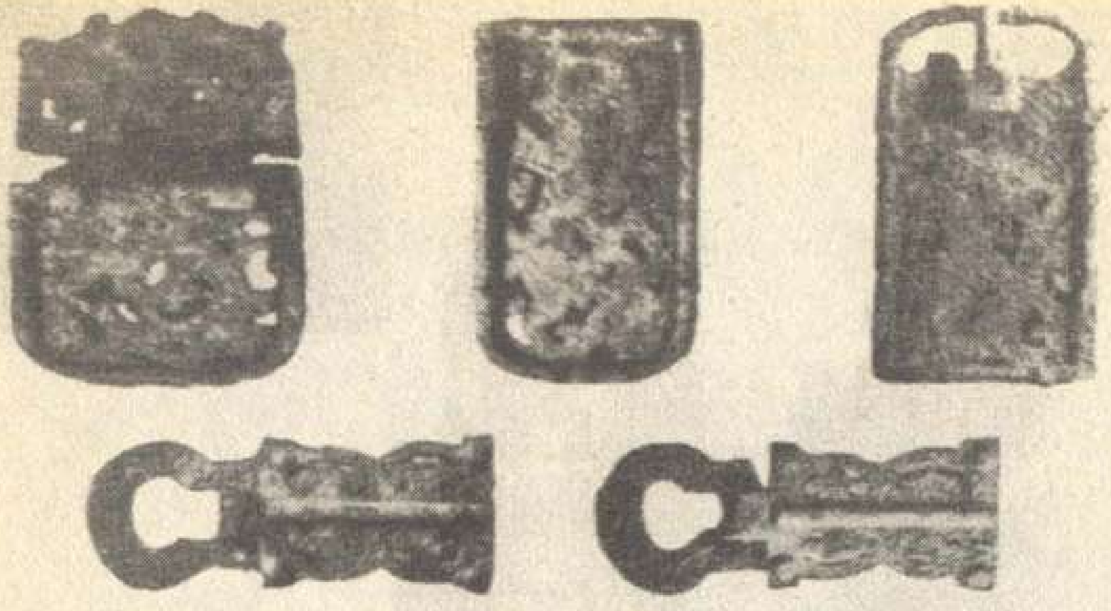

Pas wodza Chu. Odkrycie aluminium pośród fragmentów nasuwa przypuszczenia, że Chińczycy wyodrębnili ten metal co najmniej 1500 lat przed naukowcami europejskimi.

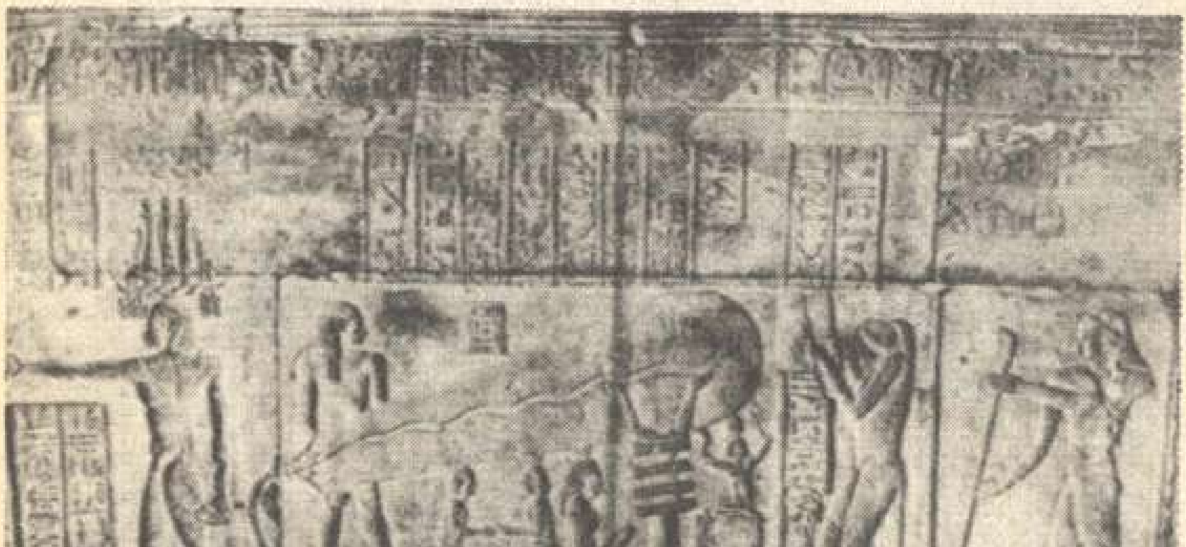

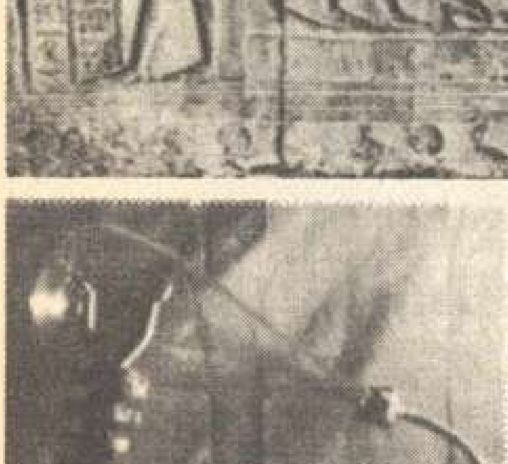

Zastanawiający relief ze świątyni Hathor w Denderze w górnym Egipcie.

Działający model żarówki z Dendery.

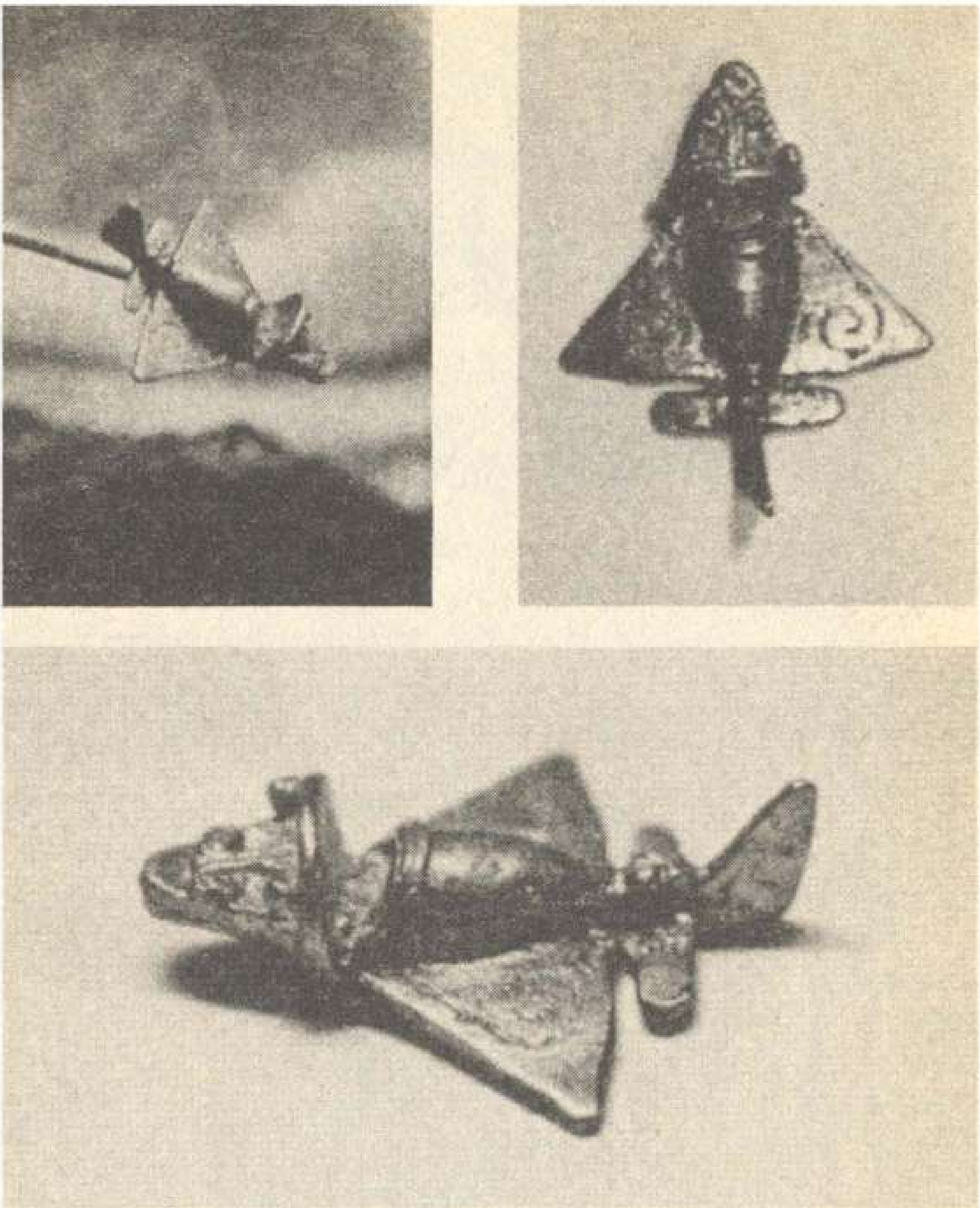

Złoty przedmiot z kolumbijskiej kolekcji narodowej, przechowywany w *Banco de la Republica*. Wydaje się być ukształtowany na podobieństwo czegoś, co artysta kiedyś widział, jakkolwiek *nie* jest to żaden rodzaj zwierzęcia, a raczej przypomina nowoczesny myśliwiec typu „Delta”...

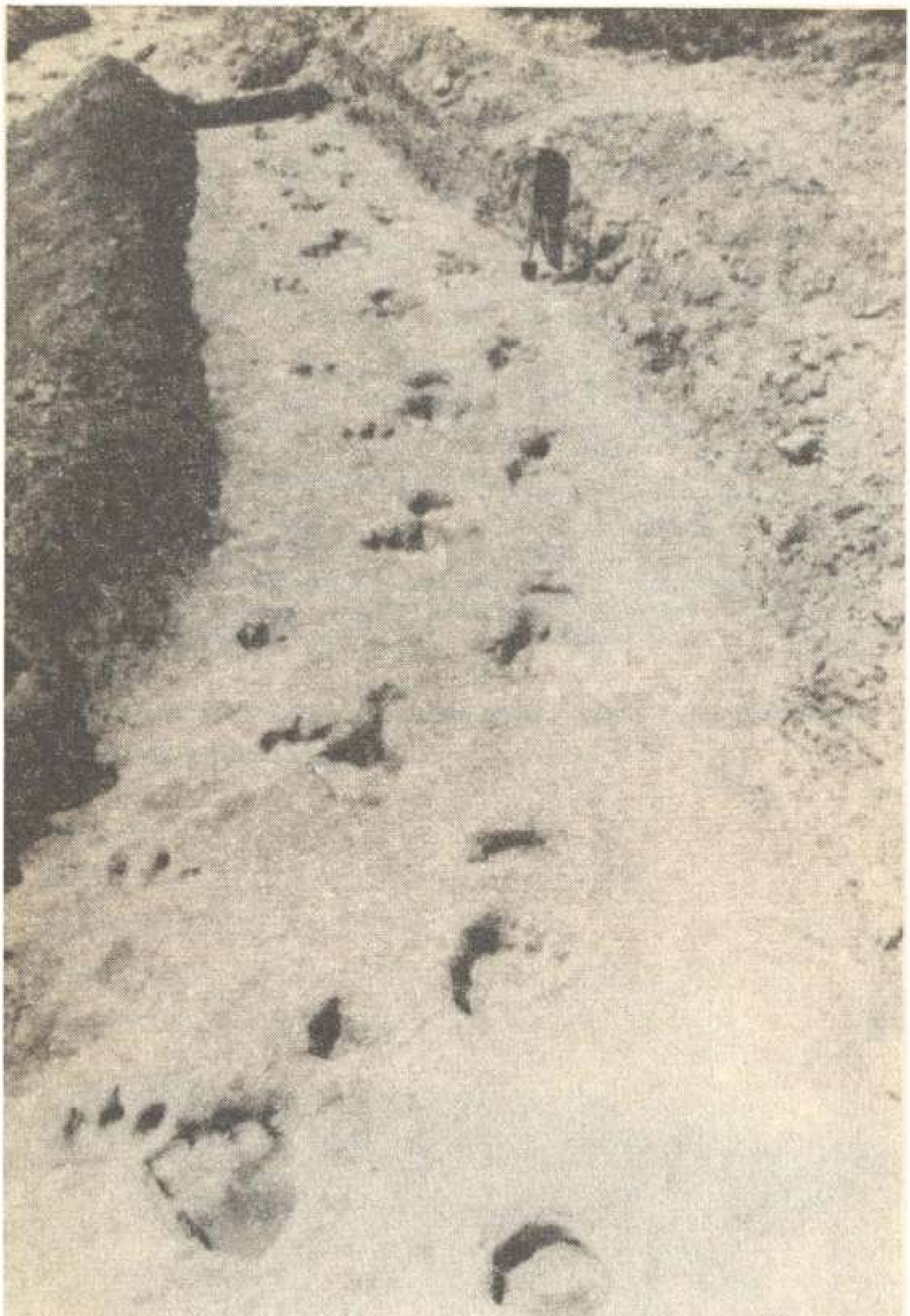

Tropy dinozaurów odkryte przez Ronalda T. Birda w Paluxy Creek w 1944 roku.

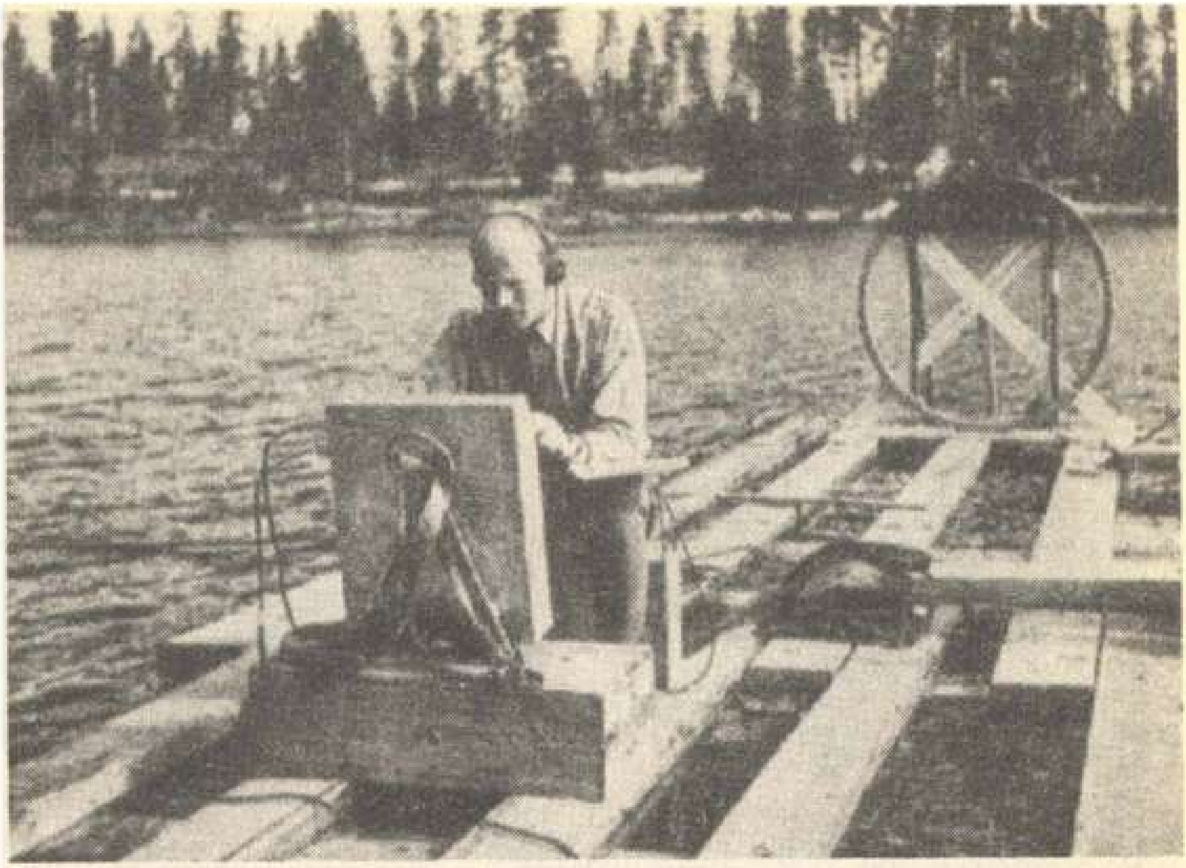

Karl-Gösta sprawdzający doniesienie o upadku rzekomej rakiety na jeziorze Kölmjärv w 1946 roku.

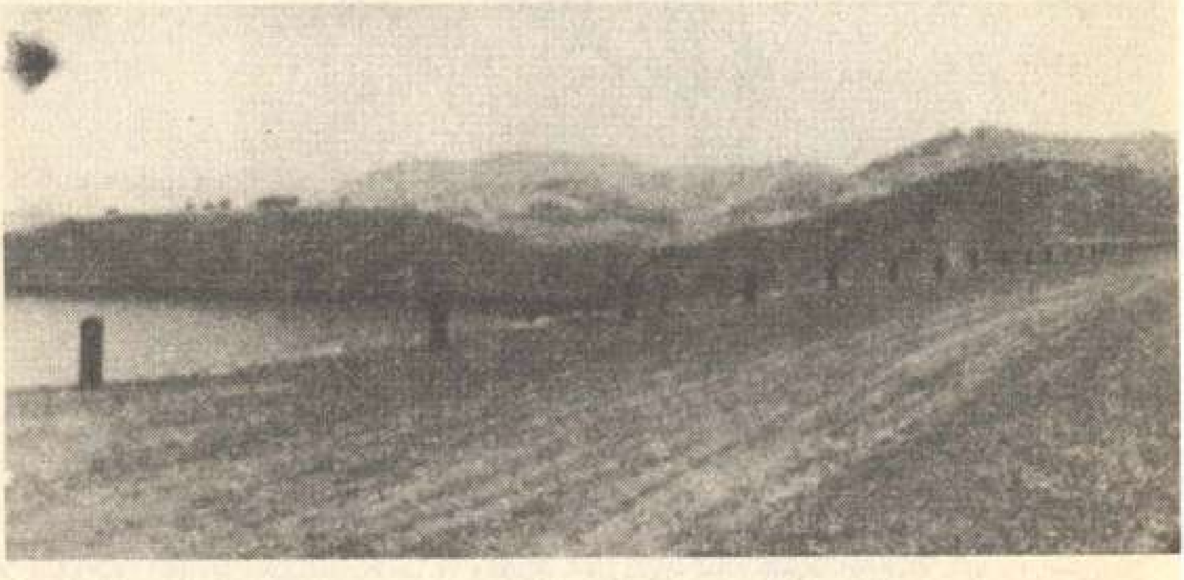

Fotografia UFO po wynurzeniu się z wód Casitas Reservoir, wykonana przez Franka S. Kinsey'a.

SPIS TREŚCI

TAJEMNICZE ZJAWISKA

Domy-widma 6
Czy można przenieść się w przeszłość? 15
Kolejne zagadki czasu 21
Niezwykłe fatamorgany 24

LUDZIE I DUCHY

Poltergeist 28
Widmowy atak na Ohiro Lodge 33
Cel: klinika w Arcachon 36
Elektryczny duch z Rosenheim 40
Nawiedzona plebania 45

NIEZWYKŁE ODKRYCIA

Zagadka kopców Mima 50
Tajemnicze cylindry z Nowej Kaledonii 53
Tajemnicze kopalnie miedzi 57
Kamienne mury w Peru 62
Wielka tafla z Galilei 65
Zagadka chińskich kotwic 68
Aluminiowy pas wodza Chu 72
Studnia z nieznanego metalu 79

TAJEMNICE PRZESZŁOŚCI

Proch i dynamit w czasach antycznych? 90
Elektryczność w świecie starożytnym 95
Modele samolotów w starożytności 101
Latające maszyny i miasta kosmiczne 106
Ślady z najdalszej przeszłości 113
Potwory z Acambaro 125
Zdumiewający przedmiot z Coso 131
Poprzedni świat umarł 136
Jeszcze o poprzednim świecie 142

ZAGADKOWE ZWIERZĘTA

Czy żyją jeszcze dinozaury? 154
Żywy pterodaktyl i inne zagadkowe zwierzęta 164
Plezjozaur patagoński 168
Smok wrót bogini Isztar 181

ISTOTY POZAZIEMSKIE WŚRÓD NAS

Ślady obcych istot 194
Dziwne światła na niebie siedemnastowiecznej Ameryki 198
Co stało się w Roboziero 202
Nie zidentyfikowane obiekty podwodne 207
Trzej ludzie w czerni: przepustka do paranoi 225

PO SUKCESIE, JAKI ODNIOSŁA
KSIĘGA TAJEMNIC (Pandora Books 1991)
JEJ AUTOR, Thomas De Jean, PRZEDSTAWIA
NOWY ZBIÓR
ZAGADKOWYCH ZDARZEŃ I RZECZY
NIEZWYKŁYCH

KSIĘGĘ TAJEMNIC-2

DOMY WIDMA
STUDNIA Z NIEZNANEGO METALU
POTWORY Z ACAMBARO
TAJEMNICA LUDZI W CZERNI
CZY ŻYJĄ JESZCZE DINOZAURY?
NAWIEDZONA PLEBANIA
NIESAMOWITE OBIEKTY PODWODNE
ELEKTRYCZNY DUCH Z ROSENHEIM
oraz kilkadziesiąt innych niepokojących
i tajemniczych faktów

PONAD 30 ILUSTRACJI
I FOTOGRAFII

NAJWIĘKSZE
TAJEMNICE ŚWIATA

ISBN 83-900427-0-3